

Graham Eleanor

OPOWIEŚĆ O DICKENSIE

Rozdział pierwszy WCZESNE DZIECIŃSTWO

Są ludzie, którzy szybko zapominają o swoim dzieciństwie. Inni, a takim był właśnie Karol Dickens, nie rozsta ją się z nim do końca swoich dni; jest ono dla nich tak żywe i tak nierozdzielnie z nimi związane, że wystarczy najmniejszy drobiazg — zapach kwiatu czy echo starej piosenki — by przywołać przed oczy dawne obrazy, wierne w każdym szczególe czy odr cieniu.

Stojąc u szczytów stawy i spoglądając wstecz na swoją młodość, Karol czuł, że „pierwszy, mglisty zarys” wszystkich jego późniejszych książek zrodził się w jego wyobraźni jeszcze wówczas, kiedy jako mały chłopiec biegał po Chatham.

Nie był on dzieckiem w czepku urodzonym. Ojciec i matka nie dbali o niego — zbyt byli zajęci własnymi sprawami, by im wiele czasu zostawało na dom czy wychowanie dzieci. Karol pamiętał, jak chwytao go za włosy i szorowano od stóp do głów, by przyzwoicie wyglądał w kościele, lecz nikt go nie przyzwyczajał do codziennej czystości i porządku, nikt go nie uczył prawdomówności, odwagi czy poważnego podejścia do pewnych problemów. Sam do tego doszedł i na długo, nim osiągnął dojrzałość, przywiązywał już do tych spraw ogromną wagę, ale musiał samodzielnie zrozumieć, jak wielkie mają one znaczenie.

W książkach swoich opisywał wiele takich nieszczęsnych domów, znał je bowiem doskonale z własnego doświadczenia. Wiedział dobrze, co przeżywa dziecko wysyłane do lombardu, by pożyczyć trochę gotówki pod zastaw łyżek, lub takie, co ze wstydem wchodzi do sklepiku po odrobinę herbaty i skrawki sera, prosząc o kredyt, którego sklepikarz niechętnie mu udziela. Był świadkiem wielu brudnych sztuczek, jakie praktykowali jego rodzice chcąc wykręcić się od spłaty długów. A przecież nie należeli do „biedoty”. Pan Dickens był urzędnikiem państwowym i kiedy się żenił, zarabiał dwieście funtów rocznie. Gdy Karol miał osiem lat, ojciec jego otrzymywał już trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie. W owych czasach pieniądze te miały trzykrotnie większą wartość niż dzisiaj.

W pierwszym okresie małżeństwa, kiedy państwo Dickens byli jeszcze młodzi, ładni i beztroscy, zagadnienie, czy uda im się jakoś powiązać koniec z końcem, nie miało większego znaczenia. Ktoś im zawsze pomógł. Matka Johna, wdowa, która była gospodynią w pewnym zamożnym domu, nieraz dopomagała synowi, lecz przecież starzała się, a John nie był jej jedynakiem. Rodzina pani Dickens, Barrowie, znajdowała się i#wet w lepszych warunkach i również pomagała Dickensom, dopóki nie przekonała się, że nie prowadzi to do niczego dobrego, ale przeciwnie, popycha ich do tym większej lekkomyślności. Sklepy łatwo udzielały Mm w owych czasach kredytu, tak więc parjwo Dickens lekką ręką trwonili pieniądze; wkrótce też zaczęły narastać długi. Nieprzyjemnie było stwierdzić, że trzeba te długi spłacać, lecz młodzi wyciągnęli z tego jeden tylko wniosek: że należy jak najsprytniej wykręcać się od podobnych zobowiązań.

Pewne cechy charakteru swego ojca sportretował Karol w postaci pana Micawbera w „Dawidzie Copperfieldzie”, inne zaś w postaci Ojca Marchalsea w „Małej Dorrit”. Matka

posłużyła mu za wzór do postaci pani Micawber oraz pani Nickleby. Każdy, kto czytał te książki, może sobie łatwo wyobrazić, w jakich warunkach wychowywał się Karol Dickens.

Urodził się w Portsmouth 7 lutego 1812 roku. Siostra jego, Fanny, miała wówczas piętnaście miesięcy. Mieszkali w małym, miłym domku na Landport Terrace (w domu tym mieści się teraz muzeum Dickensa), lecz przenieśli się, kie

dy Karol był jeszcze bardzo mały. Niewiele zapamiętał z tego pierwszego domu—oprócz ogrodu od frontu oraz tego, że przyglądał się paradzie wojskowej i uczył się chodzić od wyciągniętych rąk matki do klęczącej służącej.

Urzednicy Płatniczego Biura Marynarki mogli być wysyłani wszędzie, gdzie znajdowały się Doki Marynarki Królewskiej, w ten właśnie sposób Dickensowie znaleźli się w Portsmouth. Kiedy Karol miał dwa lata, przenieśli się do Londynu, przed wyjazdem musieli jednak uregulować długi. Na spłatę ich prawdopodobnie poszły meble, bo w Londynie Dickensowie zamieszkali w pokojach umeblowanych.

W tym czasie urodził im się jeszcze jeden syn i jeszcze jedna córka. Syn umarł po kilku miesiącach, lecz mała Letycja chowała się znakomicie. W roku 1817 pan Dickens został znowu przeniesiony, tym razem do Chatham, gdzie rozpoczął się najszczęśliwszy okres dzieciństwa Karola.

Pani Dickens miała siostrę, wdowę, która знаła Chatham i zaproponowała, że pojedzie tam z nimi, aby prowadzić im dom, partycypując w wydatkach. Propozycję przyjęto z radością, bo pani Dickens była osobą niepraktyczną i nie bardzo sobie radziła z trojgiem dzieci poniżej siedmiu lat. Z początku zatrzymali się w pokojach umeblowanych i szukali dla siebie domu. Wkrótce znaleźli uroczy domek, położony wysoko w tyle za miejscem, które nazywa się dzisiaj stacją kolejową Chatham; w owych czasach ciągnęła się tutaj bujna łąka — przyjemne miejsce zabaw dla dzieci.

Dom na Ordnance Terrace był jednym z niewielu stojących rzędem na tej ulicy. Solidnie zbudowany, miał kuchnię w suterenie, obszerne piwnice, a z tyłu, na zewnątrz, piekarnię z wielkimi piecami chlebowymi. Karol sypiał od frontu na poddaszu, z którego okien widać

było miasto i rzekę Medway wijącą się w węzowych skrętach ku estuarium Tamizy. Z okien tych mógł chłopiec oglądać wysokie maszty zakotwiczonych w porcie, kursujących do Indii statków — wiele z nich było zniszczonych przez wichury i fale podczas długich podróży dookoła przylądka Horn, inne czekały, wyszykowane i wyporządzone, by wyruszyć znowu do dalekich portów. Wychylając się z okna, widział Karol maszty i kominy okrętów remontowanych w dokach, a dalej zielone wzgórza, pola uprawne i sady. Żołnierze w szkarłatnych mundurach i białych pasach ćwiczyli między portem a Ordnance Terrace, a szcęk broni i słowa komendy musiały dochodzić do chłopca.

Od ulicy teren spadał łagodnie ku Staremu Miastu i dalej, ku rzece. Pomiędzy High Street a rzeką tłoczyły się, jak w każdym portowym mieście, kantory kupieckie i składy ze sprzętem okrętowym; były to przeważnie ciemne, sklepione piwnice, do których schodziło się po paru schodkach, zapchane beczkami i baryłkami, zwojami lin, latarniami okrętowymi i innymi narzędziami pachnącymi smołą i smarem. Ta dzielnica i doki pełne wyjeżdżających i przyjeżdżających statków, pełne marynarzy, żołnierzy i tragarzy, sprawiała, że dla małego chłopca Chatham było miejscem wprost cudownym. Nawet dni spędzone w łóżku nie mogły się dłużyć — a Karol często leżał w łóżku, miewał bowiem w boku bóle tak silne, że nocami nie mógł zasnąć; trwały one niekiedy po parę dni.

Często w takich wypadkach ojciec lub któraś ze służących — a było ich trzy — przychodzili do niego i opowiadali mu bajki. Opowieści pana Dickensa nie były interesujące same w sobie. Składały się na nie anegdotki o ludziach, których znał, lub historyjki zasłyszane gdzieś przypadkiem, lecz Karol przeżywał je, jakby był w teatrze, patrząc na ojca, który opowiadał wypiąwszy pierś, potrząsając siwą głową i bawiąc się monoklem i zwisającym przy kamizelce pękiem pieczęci. Inne były opowieści Mary Weller, bajki, od których krew krzepła w żyłach, o upiorach, mordercach i zbójcach albo o narodzinach i śmierciach. Mary pochodziła z Chatham i znała tu wszystkich. Kiedy Karol był zdrow, a ona mogła wysłiznąć się wieczorem z domu, brała go często z sobą — „jako obrońcę” — jak myślał chłopiec. Wiele razy czekał na nią w kuchenkach skromnych domków, a słysząc stłumione dźwięki, dochodzące z pokojów na górze, wyobrażał sobie, że muszą się tam rozgrywać okropne jakieś sceny.

Rodzina, która sąsiadowała z Dickensami na Ordnance Terrace, nazywała się Stroughill. Był tam chłopiec George i dziewczynka Lucy, w wieku mniej więcej Karola i Fanny. Dzieci szybko zaprzyjaźniły się serdecznie i odwiedzały się nieustannie, wspólnie się bawiąc

i dzieląc swoimi skarbami. George miał latarnię magiczną, którą przynosił czasem do domu Dickensów; wyświetlali przezrocza na prześcieradle zawieszonym w kuchni, a Karol i Fanny śpiewali i recytowali wiersze. Mary Weller, która dożyła dni sławy Karola, przypominała sobie później, jak chłopiec biegł na górę, kiedy wszystko już było w kuchni gotowe, wołając do starszych osób: „Chodźcie i zobaczcie, jaka pyszna zabawa!” i opowiadała, jak recytował wiersze, „a jak gestykulował, jakie przybierał pozy!” Śmieszyło to również jego ojca, tak że brał czasem chłopca ze sobą, by zabawić swych przyjaciół w gospodzie „Pod Mitrą”. Stawiali wówczas Karola na stole i śmieli się do rozpuku z jego błazeństw, popijając przy tym wino. Pan Dickens bowiem nie gardził kieliszkiem.

Kiedy Karol przyjechał do Chatham, znalazł już trochę na literach, bo pokazała mu je matka. Potrafił jako tako przesyłabizować nagłówki w gazetach czy napisy uliczne, daleko mu jednak było do czytania książek; zresztą stanowiły one rzadkość u Dickensów. Pan Dickens wprawdzie zamówił kiedyś komplet książek, które jak powiadało ogłoszenie, stanowiły zawiązek biblioteki każdego dżentelmena. Przyszła ciężka paczka zawierająca dwadziestu? czy więcej tomów. Położono ją w sieni i drzwiami wejściowymi, gdzie leżała nie kowana przez kilka tygodni, dopóki pani

Dickens, potknąwszy się o nią po raz nie wiadomo który, nie rozkazała ze złością służbie, by zabrać paczkę z przejścia i zanieść na strych. Tam znalazł ją pewnego dnia Karol, kiedy atak bólów zapędził go znów do łóżka; chłopiec zajrzał wówczas na sąsiedni strych, szukając tam czegoś, co pomogłoby mu zabić czas. Stwierdził, że paczka zawiera książki, ktoś bowiem zrobił dziurę w opakowaniu. Wyciągnął jeden z tomów i wziął go ze sobą do łóżka. Kiedy z trudem przeliterował jedną czy dwie strony, zaczął powoli orientować się w treści opowiadania, które wkrótce całkowicie go pochłonęło.

Nauczył się więc porządnie czytać, by móc dokończyć tej książki, później zaś ze wzrastającym podnieceniem stwierdził, że czytanie to przyjemność.

W paczce książek znalazł „Robinsona Crusoe”, „Podróże Guliwera”, „Bajki z tysiąca i jednej nocy”, „Geni-monogotari” * „Don Kichota”, „Gil Blasa”**, „Plebana z Wake-field” ***, „Toma Jones” ◆***, „Peregrine'a

Piekle", „Rodericka Random", „Humphreya Clinker" * — dokładnie te wszystkie, które wymienia w „Dawidzie Copperfieldzie", kiedy (w rozdziale IV) mówi: „Z tej to kryjówki wyciągałem na światło dzienne liczne powieści... To pewne, że czytanie zostało mi pociechą, że się wcielałem sam lub wcielałem tych, których kochałem, w bohaterów, w każdym czarnym charakterze dopatrując się rysów podobieństwa z panem i panną Murdstone. Przez całe tygodnie bywałem Tomem Jonesem, przez miesiące Roderickiem. Zajmowały mnie też niesłychanie opisy podróży, nie wiem już czyje, znalezione na półkach. Stawiałem siebie w położeniu podróżników zdanych na pożarcie dzikich zwierząt i tym podobne niebezpieczeństwa... Każda sąsiednia stodoła, dach każdy, każdy cementarny kamień wiąże się w wyobraźni mojej z jakąś czarodziejską historią..." **

Później, jako dojrzały już mężczyzna, spoglądając wstecz na owe lata, Dickens przypomniał sobie, jak to siadywał na łóżku „czytając tak zapamiętałe, jakby od tego zależało życie".

„Tak, tak, to był chłopak zawzięty na książki" — przytakiwała Mary Weller.

Nic nie mogło oderwać go od lektury, nawet krzyki bawiących się dzieci. Przez całe życie potrafił się w ten sposób koncentrować na interesujących go przedmiotach. Przerabiał też czytane opowiadania na zabawy, w których wszystkie dzieci brały udział — Ali Baba i Czterdziestu Rozbójników, Crusoe i Piętaszek, Gil Blas w jaskini zbójców — nawet Mary i jej wielbiciel z doków przysłuchiwali się i prosili o więcej.

Czasami ojciec Karola, chcąc zrobić synowi przyjemność, brał go ze sobą do biura, a chłopiec był bardzo dumny i ważny, kiedy mijał warty w bramie. Ojciec musiał wejść do wewnątrz i spędzić całe przedpołudnie na wysokim urzędniczym stołku, Karol zaś mógł chodzić, gdzie chciał, byle tylko nie przeszkadzał nikomu. Przebiegał więc wzdłuż arsenału na nadbrzeżu, gdzie ładowano armaty. Przyglądał się, jak się wbija pale i buduje śluzy, patrzył na pracę kowali i cieśli. Robił inspekcje składów żagli, oglądał zaułki powroźników i składy masztów. Przyglądał się pracy żurawi i z zachwytem patrzył na ogromne ramię, które wrzucało całe wielkie pnie drzewa do suszarek lub też przenosiło je z suszarek do tartaku, ponieważ zaś miał już takie usposobienie, zwracał również uwagę na ludzi, nie tylko na ich pracę. Zauważył, że kowale śpiewają przy kowadłach, i kazał śpiewać tak właśnie Joe'emu Gargery w „Wielkich nadziejach". Również w porcie

Chatham zobaczył po raz pierwszy „te ohydne statki bez masztów o dachach jak Arka Noego” zwane „pływającym więzieniem”, na których czekali na zaokrętowanie więźniowie skazani na deportację do Botany Lay czy innych kolonii karnych. Widział gromady tych ludzi, zakutych w kajdany, wyprowadzanych na brzeg do pracy w porcie. Tu właśnie usłyszał po raz pierwszy historię o stolarzu i diable.

Karol oglądał Chatham w ostatnich dniach panowania statków żaglowych, bo między Dover a Calais kursowały już parowce, lecz on pasjonował się każdym manewrem żaglowców. Notował ich wyjazdy i przyjazdy i znał wszystkie ceremonie, jakiś .-tym uroczystościom towarzyszyły.

Od czasu do czasu pan Dickens czy któryś z jego biurowych kolegów wysyłany był służbowo do Sheerness jachtem Urzędu Płatniczego „Chatham”, zbudowanym chyba za czasów, kiedy Cromwell był protektorem Anglii. Oznaczało to wielkie święto dla Karola i Fanny, a nawet dla dzieci Stroughillów, bo zabierano je z sobą. Kiedy statek odpływał, Karol wyszukiwał szybko wzrokiem znane mu miejsca na brzegu, zanim zasłonił je dym z licznych portowych kominów. A kiedy cichł w oddali stukot młotów, pomruk pił i tysiąc innych dźwięków płynących z tego ruchliwego miejsca, dzieci mogły się przyglądać stateczkom na rzece — małym, dymiącym holownikom parowym, ciężkim, starym węglarkom, barkom, szkunerom, jachtom i łodziom żaglowym.

Były to wielkie przeżycia, a zawdzięczał je ojcu, którego za to uwielbiał. Starł się też naśladować jego żwawy krok i grymas ust, z których płynęły kwieciste słowa, jakimi szczylił się pan Dickens i jakie później odbiły się echem poprzez stronicę „Pickwicka”, „Dawida Copperfielda” i innych książek Karola. Dzięki rządowi ciotki w domu panowały ład, wygoda i dostatek. Nic dziwnego, że Karol uznał za pewnik, iż ma swoje miejsce w świecie, i począł marzyć, że pewnego dnia stanie się Kimś — czyli dżentelmenem, co w jego pojęciu było równoznaczne z człowiekiem bardzo wykształconym, kulturalnym i poważanym.

W pogodne ranki niedzielne zwykł chodzić na spacer na wieś z ojcem, który po drodze wstępował na kieliszek wina. Jednym z ich ulubionych miejsc było Gadshill, gdzie dochodziło się drogą przez Rochester, koło tych drewnianych domów, w których, w świecie wyobraźni Karola, mieli zamieszkać wuj Pumblechook* i pan Sapsea **. Przechodzili przez stary most, gdzie, jak mówiono chłopcu, ludzie w 1307 roku zarabiali przy budowie pensa dziennie. Po

drugiej stronie rzeki droga wiodła przez łąki i sady na niski pagórek, gdzie stała gospoda „Pod Sir Johnem Falstaffem”. Miejsce to miało dla Karola nieopisany urok i nawet ojciec nie pozostawał nań nieczuły, bo lubił zatrzymywać się przed bielonymi ścianami, przybierać odpowiednią pozę i deklamować Szekspirowskie słowa:

„No, moje chłopcy, jutro raniuteńko o czwartej trzeba nam być u Gadshilla. Pielgrzymi z kosztownymi darami, udający się do Canterbury, przechodzić będą tamtędy i kupcy z naładowanymi kieskami, dążący do Londynu, przejeżdżać będą. Mam dla was maski, konie zaś macie sami” *.

Właśnie tutaj, na Gadshill, Falstaff urządził nieudany napad na podróżnych i uciekł. Gospoda pochodzi z tamtych mniej więcej czasów. Stoi przy drodze do Dover, kędy wiódł niegdyś szlak pielgrzymów do Canterbury i stary trakt rzymski.

Dokładnie na wprost gospody wznosił się wygodny, czerwony, ceglany dom, pańska rezydencja, duża, lecz brzydka. Dom ten mógł stać tu już jakieś czterdzieści lat; miał dwie białe bramy i półkolisty podjazd. Patrząc nań, Karol zaczął snuć sny na jawie. Właśnie taki dom chciałby mieć, gdy dorośnie. Był on dla chłopca symbolem życia, jakie pragnął prowadzić w przyszłości. Zapytał w sekrecie ojca, czy uważa, że on, Karol, naprawdę mógłby kiedyś mieszkać w tym domu, a John Dickens, niezwykle połączony tym pytaniem, odparł bez wahania, że nie widzi przeszkód, dlaczego by tak się nie miało stać, jeśli tylko chłopiec będzie wytrwały i pracowity. Słowa te zabrzmiały w uszach Karola jak obietnica.

W wiele lat później dom ten stał się jego domem. Karol był wytrwały tak, jak to mu nakażał ojciec, a przeszedł tak trudne chwile i zwalczył takie kłopoty, że myśl o Gadshill całkowicie wywietrzała mu z głowy. Pracował niezwykle ciężko (bynajmniej nie w tym właśnie celu), a kiedy zupełnie o Gadshill zapomniał, nadarzyła mu się przypadkowo sposobność kupna. Miewał już w owych czasach inne domy, równie duże lub nawet bardziej okazałe, żaden jednak nie był tak drogi jego sercu i nie odpowiadał mu tak jak ten, którego cień padł wesoło na jego drogę w tych wczesnych dniach życia.

Rozdział drugi

OBRAZ ZACIEMNIA SIĘ

Spokojny tryb życia na Ordnance Terrace został niespodziewanie przerwany wiadomością, że ciotka Maria ma zamiar powtórnie wyjść za mąż. Poznała chirurga, nazwiskiem Lamert, który pracował w szpitalu wojskowym w Chatham. Był to człowiek zamożny, wdowiec, ojciec jedynego syna, Jamesa, który czekał na patent oficerski do wojska. James miał dużo wolnego czasu i spędzał go na organizowaniu amatorskich przedstawień teatralnych w przestronnym mieszkaniu ojca w gmachu szpitalnym. Zaprzyjaźnił się też z Karolem, patronując mu łaskawie z zawrotnych wyżyn swych siedemnastu lat. Słuchał również recytacji chłopca i postanowił go nauczyć odpowiedniej wymowy. Opowiadał mu o sztukach i grze aktorskiej, zabierał go do teatru w Chatham, a raz wziął go do Londynu na pantomimę na Drury Lane, by zobaczyć Grimaldiego, wielkiego klow- naj którego sława przetrwała do dzisiaj.

20

Niezapomniany dzień! Było to w styczniu, w dniu tak mroźnym, że nim jeszcze dylizans przejechał most w Rochester, Karolowi przemarzły palce u nóg w nowych butach; kiedy jednak znalazł się w teatrze, zapomniał o zimnie, a gdy kurtyna poszła w górę, nie odrywał oczu od sceny. Śmiał się jak szalony i klaskał, aż piekły go dłonie. Nie odezwał się prawie do Jamesa, dopóki nie znaleźli się w drodze powrotnej. Wtedy zaczął wypytywać o wiele najróżniejszych rzeczy. Dlaczego Grimaldi miał taką białą twarz? Czy już się taki urodził? Czy klowni wyrastają na pantalonów*, czy też do końca życia zostają klownami? Czy on naprawdę zjadł ten sznur kiełbasek? Czy ktoś kiedyś miał pretensję z powodu psot, jakie on ludziom płała? Czy myśleli, że on im naprawdę coś ukradł, kiedy posłali po policję?

Karol nie miał wówczas jeszcze ośmiu lat, lecz w osiemnaście lat później, gdy wydawał „Pamiętniki” Grimaldiego, potrafił zużytkować własne żywe wspomnienia tego występu klowna.

Tymczasem przygotowania do ślubu ciotki szły pełną parą. Doktor Lamert postanowił porzucić szpital i osiedlić się w Irlandii, a James

miał pozostać u Dickensów, dopóki nie otrzyma patentu. Niewątpliwie chodziło o to, by pieniędzmi na jego utrzymanie załatać dziurę, powstałą w budżecie domowym na skutek wycofania udziału ciotki Mary.

Natychmiast po wyjeździe Lamertów do domu zaczęły napływać rachunki, nie wszystkie mające związek z weselem. Sklepione piwnice na Ordnande Terrace, tak odpowiednie do przechowywania wina, okazały się zbyt wielką pokusą dla pana Dickensa. Teraz kupcy żądali pieniędzy, a tych znowu pan Dickens nie miał. Zwracał się po kolei do krewnych i przyjaciół z prośbą o pożyczkę, ale bez wielkich rezultatów, postanowił więc ograniczyć wydatki i przenieść się do tańszego mieszkania. Sprzedał część mebli i oddalił służące — najlepsza z całej trójki odeszła z panią Lamert. Mary Weller uprosiła, by ją zostawiono, liczyła bowiem, że wkrótce wyjdzie za mąż, i nie chciała na tak krótki okres szukać innego miejsca. Została więc, z niższą pensją.

Z miłego domu na wzgórzu przenieśli się do małego pudełka, położonego nisko koło portu; był to brzydki, mały domek robotniczy, pozbawiony wszelkiego komfortu. Stał on obok Kaplicy Baptistów, która choć zmieniona dzisiaj w nędzny, stary magazyn, zachowała wyraźnie kształt kaplicy. Pastor miał syna, który chciał założyć szkołę. Był on gruntownie wykształcony i zaczął od dawania lekcji własnym braciom i siostram. Dołączyły się do nich dzieci Dickensów, a wkrótce i dzieci Stroughillów. Poprzednio Karol i Fanny chodzili do prywatnej szkoły na wzgórzu, prowadzonej przez nauczycielkę. Zmiana mieszkania nie wpłynęła na przyjaźń dzieci obydwu rodzin. Dzielili ich tylko większa odległość oraz to, że mali Stroughillo- wie mieli przewagę, bo mogli do przyjaciół zbiegać z góry, podczas gdy Karol i Fanny musieli drapać się pod górę.

Nowy nauczyciel, William Giles, przywiązywał duże nadzieje do zapału, z jakim Karol garnął się do nauki, do jego bystrej inteligencji, rozmachu oraz niezwyklej pasji do wszelkiego rodzaju doświadczeń. Giles doceniał ambicję, potrafił uczyć i dobrze wychowywał swych uczniów. On właśnie dał Karolowi przywilej „Nieporównany”, które przez wszystkie lata sławy Dickensa powtarzano w momentach największego entuzjazmu. Wkrótce Giles założył szkołę, i to znakomicie się rozwijającą, co usprawiedliwiło fakt, że wynajął na nią dom z miejscem do zabaw dla uczniów, których wkrótce zaczęto nazywać w okolicy „Kotami Gilesa” — niewiele to jednak znaczyło w mieście, gdzie innych chłopców przezywano „Szczurami z Domu Wariatów”, „Buldogami Piekarza” i „Nowomiejskimi Smieciarzami”.

Giles zachęcał Karola do nauki, pożyczał mu książki i zmuszał go do zastanawiania się nad nimi — co sprawiło, że zapewne już wtedy chłopiec zaczął sobie mgliście wyobrażać, jak wyglądać będzie jego przyszła kariera. Być może marzył o dojściu do sukcesów drogą studiów na uniwersytecie, choć już w tym okresie byłoby to ogromnie trudne ze względu na warunki materialne jego rodziny. Nadzieje chłopca mierzyły tak wysoko, że nie zdawał sobie prawie zupełnie sprawy z tego, co się dzieje w domu. Zbyt u siebie uwielbiał ojca, by mu nie ufać czy podawać jego rozsądek w wątpliwość, dzięki zaś Mary Weller dom był jeszcze wcale przyzwoicie prowadzony. Nie mógł jednak nie zwrócić uwagi na oznaki zbliżających się kłopotów, zwiększającego się stale ciężaru zadłużenia oraz na pewne zmiany, jakie zaczęły się rysować w stosunku kupców i sprzedawców do rodziny Dickensów. Stanowisko pana Dickensa w porcie chroniło go od zbyt otwartego natręctwa wierzycieli, bo urzędnik państwowy nie mógł uciec nagle, pozostawiając nie zapłacone rachunki; kredytu jednak nie można było udzielać w nieskończoność.

Mniej więcej w rok po przeprowadzeniu się do St. Mary's Terrace John Dickens dowiedział się, że ma zostać natychmiast przeniesiony do Londynu; rozumiał doskonale, że teraz zemsta go nie minie. Wiadomość musi wydostać się na zewnątrz — przyniosą mu rachunki, których on w żaden sposób nie będzie mógł zapłacić.

Z najbardziej „młocawberowską” miną próbował więc pożyczyć pieniędzy wszędzie, gdzie miał choć najdrobniejszą szansę powodzenia. Sprzedał resztę mebli i rozdał niewielkie sumy pomiędzy wierzycieli, zapewniając ich solennie, że spłaci wszystko natychmiast, kiedy spełnią się jego „nadzieje”. Mary Weller kupiła krzesła z saloniku (dotychczas można je oglądać w muzeum w Rochester).

Wiadomość o przeniesieniu była przykrym wstrząsem, który w pewnym stopniu otworzył Karolowi oczy na warunki, w jakich znajduje się jego rodzina. Prosił, by go zostawiono u pana Gilesa. Prośba ta musiała zdumieć i zaskoczyć rodziców, bo Karol był przywiązanym synem. Czuli się dotknięci, lecz w końcu pozwolili mu zostać.

Przed wyjazdem pani Dickens poszła do „Domu Pracy” (w którym, w wiele lat później, Karol umieścił Olivera Twista), aby sobie wybrać dziewczynkę, sierotę, na służącą. Dziecko było w tym samym mniej więcej wieku co Oliver, to znaczy miało dziewięć lat, kiedy parafia zaofiarowała pięć funtów każdemu, kto je do siebie zabierze. Później, gdy Karol lepiej poznał dziewczynkę, dowiedział się, co to znaczy być

„popychałem z domu pracy”. Opisał ją jako Markizą w „Antykwariacie” i jako sierotę w „Dawidzie Copperfieldzie”.

Karol pozostał w Chatham jeszcze przez parę miesięcy; chodził do szkoły i wałęsał się po okolicy, którą tak kochał i tak mocno miał kochać przez całe życie. W styczniu, tuż przed jego jedenastymi urodzinami, przyszło nieuniknione wezwanie. Wykupiono mu miejsce w dyliżansie do Londynu i kazano wracać natychmiast. Wiadomość ta sprawiła mu ból — posłuchał rozkazu z płaczem. Giles podarował mu na pożegnanie komplet „The Bee” („Pszczoła”), czasopisma Olivera Goldsmitha, czyli „wyboru rozpraw na najbardziej ciekawe i zajmujące tematy”. Karolowi podobało się tam każde słówko, a kiedy później planował, jak ma wyglądać „Master Humphrey's Clock” i „Household Words”, wziął „Pszczołę” na wzór tego rodzaju wydawnictwa.

Dickens zostawił własny opis wyjazdu z Chatham w ponury, deszczowy dzień, kiedy to jechał dyliżansem jako jedyny jego pasażer, a nogi miał owinięte słomą dla ochrony przed zimnem. Robiło to przykre wrażenie, jakby był przekazywaną rodzicom paczką z dziczyzną, za którą z góry opłacono transport. Z rozpaczą żuł kanapki. Chociaż był bardzo przywiązany do swej rodziny — nie ma co do tego żadnych wątpliwości — wyraźnie nie chciał do niej wracać, a kiedy go do tego zmuszono, czuł tylko żal i niechęć. Ojciec oczekiwał go w zajeździe dyliżansów „Pod Skrzyżowanymi Kluczami” na Wood Street w Cheapside i zabrał go do domu na Bayham Street. Dom był tej samej wielkości, co poprzedni w Chatham: wzniesiono go niedawno na polach, między ziemiami uprawnymi Camden Town, na które powoli zaczął wkraczać Londyn. Jeździły stąd dyliżanse do miasta, lecz większość tutejszych mieszkańców stanowili urzędnicy i pracownicy z City* (jak Bob Crathit w „Opowieści wigilijnej”), których nie stać było na opłaty za przejazd i którzy szli do pracy piechotą, podobnie jak Karol w parę miesięcy później.

Nowy dom okazał się pusty, nieprzytulny i pozbawiony wygód, a mała sierotka, dziewczynka do wszystkiego, stanowiła nie najlepsze zastępstwo obrotnej Mary Weller. Karol dostał pokój na poddaszu, na tyłach domu, z oknami na pola. (Małe okienko z tego pokoju mieści się teraz w Domu Dickensa na Doughty Street). Wodę czerpało się z pompy na ulicy, prawie naprzeciwko drzwi. Nieco dalej stała budka stróża nocnego. W sąsiednim domu mieszkała praczka, która w wolnych chwilach robiła cukierki.

Droga była błotnista, a w deszczowe dni pełna kałuż, usiana kuchennymi odpadkami, głębami kapuścianymi, obierzynami z kartofli, potłuczonymi naczyniami, starymi czajnikami i garnkami.

Rodzice przyjęli Karola chłodno. Nikt się nie interesował jego postępami w szkole. Nie padło ani jedno słowo na temat jego dalszej edukacji, chociaż robiono wielkie plany dla Fanny — a przecież ona była tylko dziewczynką, kształcenie zaś dziewcząt stanowiło niezwykłość w tych czasach. Fanny, jak się okazało, miała słuch i dzięki przyjacielowi rodziców, który był stroicielem fortepianów, uzyskała stypendium w Akademii Muzycznej. W dwa miesiące po powrocie Karola opuściła dom, by spędzić cztery lata w Akademii jako najlepsza uczennica mieszkająca u przełożonej. Od Karola tymczasem żądano, by czyścił ojcu buty, biegał po sprawunki dla matki i w ogóle przydawał się na coś w domu. Dobrze to świadczy o jego sercu, że był jeszcze zdolny cieszyć się z sukcesów Fanny, choć własny jego los był opłakany. O tamtych czasach pisał później: „Kiedy rozmyślałem na stryszku od podwórza na Bayham Street o wszystkim, co utraciłem, opuszczając Chatham, czegoż bym nie dał — gdybym w ogóle miał coś do dania — by mnie posłano znowu do jakiegokolwiek szkoły, by mnie gdziekolwiek czegokolwiek uczono”.

Fanny miała dwanaście i pół roku. Pracowała pilnie i zdobyła sobie pewną pozycję zawierając przyjaźnie z wieloma młodymi muzykami, z których niejeden zdobył nawet sławę. Uniknęła biedy, jaką cierpiał teraz Karol, kiedy natarczywi lichwiarze wymyślali pod drzwiami, a w domu nie było pieniędzy, by ich spłacić. Ze zdolnego ucznia, o znakomitych perspektywach na przyszłość, Karol przedzierzgnął się nagle w popychadło domowe, które wiodło życie prawie na tych samych warunkach, co mała sierota-służąca.

Rozdział trzeci DWUNASTOLETNI ROBOTNIK

Karol był ogromnie przybity, gdy zrozumiał po kilku tygodniach, że rodzice nie mają zamiaru oddać go znowu do szkoły. Starał się zapamiętać to, czego nauczył się w Ghatham, ale nie miał podręczników, by sprawdzić wiadomości, a chociaż powtarzał czasowniki i deklinację łacińską, nigdy nie był pewny, czy bez pomocy podręcznika lub nauczyciela powtarza je właściwie.

Szukał pociechy w poznawaniu Londynu, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście jest taki, jak to sobie wyobrażał z romantycznych opowiadań, jakie czytał. Nade wszystko marzył o zobaczeniu Covent Garden. Pewnego dnia wysunął się cichutko z domu o świcie i trafił tam, idąc za wozami i zaprzężonymi w osły wózkami, które, pełne jarzyn i owoców, toczyły się z łoskotem po ulicznym bruku. Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej fascynująca, niż to sobie wyobrażał. Słuchał rozmów farmerów i ulicznych sprzedawców; przyglądał się tragarzom balansującym na głowach nieskończone ilości kosztów ustawionych jeden na drugim; weszyl pod drzwiami garkuchni. Dla Karola Dickensa bowiem nauczenie się Londynu było równie ważne, jak nauczenie się jakiegokolwiek innego przedmiotu w szkole; tak właśnie „pierwszy mglisty zarys” zaczął nabierać wyraźniejszych kształtów.

James Lamert wciąż mieszkał z Dickensami, nie zajmując się niczym specjalnie, jego patent bowiem jeszcze się nie zmaterializował. Młodzieniec z przyjemnością odgrywał rolę starszego brata Karola i pokazywał mu niektóre miejsca warte obejrzenia. Wybierał dzielnice cieszące się najgorszą reputacją i opowiadał chłopcu mrozące krew w żyłach historie tłumacząc mu, jakie straszne rzeczy mogłyby się przytrafić komuś na tyle szalonemu, by wędrować tu samotnie z czysto wymytą, grzeczną buzią i w przyzwoitym ubraniu. Poszli też obejrzeć Rookery of St. Giles, stłoczone stare domy wokół kościoła St. Giles in the Fields, i stali chwilę, przypatrując się świniom i ptactwu grzebiącym się w błocie ulicznym oraz klatkom ze śpiewającymi ptakami, którymi zawieszono były zewnętrzne ściany wszystkich domów.

W jasnym świetle dnia miejsce to wyglądało spokojnie, lecz i złowrogo. Żebracy przychodzili

tu wynajmować niemowlęta, kominiarze — małych chłopców. W nocy domy przepełnione były włóczęgami i żebrakami; była to dzielnica brudna, o złej sławie, zapomniana przez Boga i ludzi. Spędzenie nocy w Rookery kosztowało od pensa do szylinga, lecz choć za tę najwyższą cenę mogło się dostać łóżko, było ono z pewnością brudne i dzielić je trzeba było z tyloma osobami, ile właściciel uznał za stosowne, na podłodze zaś leżało ściśniętych jak sardynki w puszcze tyle mężczyzn i kobiet, ile zdołało się upchać po pensie za nocleg. Siedemnaście osób potrafiło dzielić jedną małą, cuchnącą izbę, a kiedy dom był przepełniony, można było wynająć na noc za trzy pensy „żłób z sianem” na podwórzach od tyłu.

Niańki straszyły niesforne dzieci opowiadaniem o porywaniu niemowląt — i nie były to bajki! Takie rzeczy zdarzały się codziennie.

Tuż przy Rookery znajdowało się Seven Dials* — dzielnica położona w okolicy teatru Cambridge. Schodziło się tu siedem ulic; każdą z nich wskazywał niegdyś zegar słoneczny umieszczony na postumencie. Gay pisał o tym miejscu w „Operze żebraczej”: „Tu dla siedmiu ulic siedem zegarów mierzy dzień”. Mieszkali tu drukarze wstrząsających ballad ulicznych

i ulotek nadzwyczajnych, które po każdym morderstwie szły jak woda. Jedną z siedmiu ulic była ulica Monmouth, siedlisko handlarzy starzyzną, którym wystarczył jeden rzut oka na chłopca, by poznać dokładnie wartość jego ubrania.

9M

I

Karol mocno trzymał się Jamesa, rozglądając się wokoło i wchłaniając o wiele więcej, niż rozumiał; czuł jednak, że to, na co patrzy, jest czymś potwornym, toteż ogarniało go ogromne przerażenie, które dręczyło go później przez wiele miesięcy. A jednak to miejsce urzekło go — niejednokrotnie wracał, by jeszcze raz na nie popatrzeć. Czyżby widział tu Fagina, Krętaacza i Billa Sikes *? Być może. Kiedy tak stał na ulicy, trzymając Jamesa za rękę, i czuł na sobie ponure spojrzenia, wydawało mu się, że to miejsce jest jakimś wirem, gdzie każde dziecko, pozostawione bez opieki, może być łatwo wciągnięte i skąd — tego był pewien — nie ma powrotu.

Nie wszystkie jego wyprawy tego lata były równie przerażające. Wuj chłopca, Tom Barrow, brat matki, leżał ze złamaną nogą na Gerard Street, na Soho, a że lubił towarzystwo, Karol wpadał do niego dość często. Wpuszczała go zwykle do domu pewna wdowa po księgarzu, która mieszkała na dole, i pożyczała mu książki do czytania. Wuj znał dziwnego francuskiego cyrulika, który przychodził golić go i rozprawiał przy tym szeroko o Napoleonie i jego fatalnych błędach, podobnie jak dzisiaj ludzie rozprawiają o tym, dlaczego Hitler przegrał

J

w końcu wojnę. Karol był tym tak zafascynowany, że próbował opisać cyrulika i nawet uważał, iż mu się to nieźle udało, ale nie chciał na razie nikomu tego opisu pokazywać. W trzydzieści lat później opisał go po raz wtóry w „Opowieści o dwóch miastach”.

Jednym z chrzestnych ojców Karola był wytwórca sprzętu żeglarskiego oraz dostawca tacierzynek dla marynarki królewskiej. Miał on mały sklepik nad rzeką na Limehouse, nie opodal Ropemakei's Fields. Daleko było do pana Huffama z Camden Town, ale ponieważ droga prowadziła przez City, nigdy nie dłużyła się Karolowi; w ten właśnie sposób zawarł znajomość z małym, drewnianym posążkiem podchorążego marynarki na Threadneedle Street, który stał się dlań przyjaznym znakiem orientacyjnym, tak że kiedy Dickens był już sławny, zawsze poklepywał figurkę po drewnianych, wyprężonych nogach, ilekroć koło niej przechodził.

Gdziekolwiek był, zewsząd wynosił świeże, żywe wrażenia miejsc i ludzi, dziwnych zdarzeń i osobliwości codziennego życia. Limehouse musiało mu przypominać Chatham, gdy patrzył na przybijające i odpływające statki na Tamizie, żeglarzy i małe, ciemne sklepiki, takie, jakie oglądał nad Medway — tam też prawdopodobnie powstały po raz pierwszy w jego

umyśle obraży Sola Gili, kapitana Cuttle * i Rogue Riderhooda **. Wiele mu w życiu brakowało, lecz zapas wspomnień uskładał sobie bogaty.

Stary ból wciąż mu jeszcze dokuczał, toteż Karol często spędzał w łóżku przykre dni, martwiąc się, co się z nimi wszystkimi stanie. James zrobił mu miniaturowy teatr, by łatwiej mógł znosić długie godziny choroby, i bawili się nim razem, wystawiając własne sztuki.

Nie trzeba było wielkiej bystrości, by stwierdzić, że sprawy pana Dickensa wyglądają coraz gorzej. Wierzycciele i lichwiarze wciąż kręcili się wokół domu, waląc i kopiąc w drzwi frontowe, krzycząc do okien czy też wzywając pana Dickensa przez szparę w skrzynce do listów, by zszedł na dół i zapłacił im jak uczciwy człowiek. Karol opisał to, co wówczas przeżywał, w „Dawidzie Copperfieldzie”, kiedy rysował obraz domu Micawberów i owych wypraw do lombardu. Słowa pani Micawber: „Jeśli wierzycciele mego męża nie zostawią mi czasu dla uregulowania interesów, sami padną ofiarą swojej niecierpliwości... Z kamienia krwi nie można wycisnąć, a z pana Micawber a żadnych zaliczek ani nawet na prawne koszty nikt nic nie wyciś

nie" * — musiały być dokładnym echem słów jego własnej, niemądrej matki.

Rzecz jasna, Karol nie rozumiał w pełni, co to wszystko znaczy. Sądził, że krzywdzą jego ojca — nie wiedział, że rodzice przeciągnęli stru

nę wykorzystując hojność własnych przyjaciół, że nigdy nie usiłowali spłacić zaciągniętych pożyczek, że nie zdobyli się na najmniejsze osobiste wyrzeczenie, by oczyścić się ze starych długów lub uniknąć nowych. Pan Dickens był zawsze tak wzniosłe pewny, że szczęśliwy los czeka nań tuż za progiem, iż uważał prawdopodobnie za rzecz niegodną i bez sensu, wyrzekanie się ulubionych drobiazgów nawet wtedy, gdy nie stać go było na nie.

W tym okresie James porzucił myśl zaciągnięcia się do wojska i zamiast tego przystąpił do interesu swego kuzyna, który kupił fabrykę czernidła. James przeniósł się z Bayham Street i w ten sposób zniknął nawet ten mały dodatek do budżetu Dickensów. Wówczas pani Dickens postanowiła łątać budżet rodzinny otwierając szkołę. Miała nadzieję, że „morskie koneksje” pana Huffam przydadzą się w nakłanianiu rodziców wyjeżdżających za morze, by zostawiali dzieci pod jej opieką. Wynajęła duży dom na Gower Street i natychmiast się tam przeniósła wraz z resztką nie sprzedanych jeszcze czy nie zastawionych mebli. Było ich zresztą tak niewiele, że większość pokoi stała pusta. Pan Dickens ułożył prospekt, sądząc z kwiecistego stylu autora, na pewno wart czytania. Kiedy wydrukowano prospekt, wysłano Karola, by wrzucał po egzemplarzu do każdej skrzynki pocztowej w sąsiedztwie. Robił to po

zapadnięciu zmroku, z nadzieją, że nikt go nie zobaczy, lecz prospekty dodawały mu otuchy, że wreszcie będzie mógł się znowu czegoś uczyć. Wreszcie zamówiono mosiężną tabliczkę z napisem „ZAKŁAD PANI DICKENS” i przymocowano ją na drzwiach frontowych — nie płacąc za nią, rzecz jasna. Nie zrobiono żadnych innych przygotowań — nie urządzono ani jednej klasy, nie zaangażowano ani jednego profesora, nie sporządzono żadnego planu zajęć i — nigdy żaden uczeń się nie zjawił. Nikt nie przyszedł nawet po informacje. Wkrótce grawer, który wyrył i przymocował tablicę, zdjął ją i zabrał.

W tej posepnej atmosferze przyszły dwunaste urodziny Karola. James wpadł do zimnego domu, by złożyć mu najserdeczniejsze życzenia. Widząc, co się tam dzieje, zrobił propozycję najrozsądniejszą, jego zdaniem, jaką mógł uczynić. Zapropował Karolowi, by przychodził i pracował w fabryce jego kuzyna, a on sam (James) będzie go uczył księgowości, choć niewiele się na niej zna. Obiecał płacę tygodniową od sześciu do siedmiu szylingów, a to było na pewno lepsze niż nic. W owych czasach wielu chłopców jeszcze przed dwunastym rokiem życia zaczynało pracować w znacznie gorszych warunkach — Karolowi jednak zdawało się, że ta propozycja przekreśla na zawsze wszystkie jego sny o przyszłości i skazuje do końca na żywot wyrobnika lub co najwyżej kancelisty.

Kiedy zacznie pracować w fabryce, nie będzie już mógł się kształcić, toteż z bólem w sercu patrzył na rozpromienioną twarz matki i słuchał jej zachwyków. Wydawało mu się, że ani ona, ani ojciec nie byłiby bardziej uradowani, gdyby syn ich uzyskał stypendium na uniwersytecie.

Miał pracować sześć dni w tygodniu po dwanaście godzin dziennie w fabryce czernidła położonej nad rzeką. Był to ostatni dom po lewej ręce przy drodze wiodącej od Strandu w dół, koło Hungerford Stairs, czyli za stacją Charing Cross, która znajduje się teraz na miejscu Hungerford Market. Karol opisał skład, gdzie pracował, jako „zwariowaną, walącą się, starą, za-szczurzoną rudere, przytykającą do samej rzeki; pokoje miały odrapane lamperie, podłogi były zbutwiałe, schody również, a w piwnicach roilo się od starych, szarych szczurów, tak że przez cały czas dochodziły na górę odgłosy ich pisków i bijatyk”.

Praca jego polegała na naklejaniu nalepek na buteleczkach z czernidłem i nakładaniu na korki małych kapturków papierowych, tak by czer- nidło wyglądało równie przyzwoicie jak buteleczki z lekarstwem u aptekarza. Z początku miał stół w kancelarii na pierwszym piętrze, pod okiem Jamesa, a chłopak z sutereny przynosił mu materiały i pouczał, co ma robić. Patrząc na niego, Karol zastanawiał się, czy i on kiedyś będzie równie biednym, nieokrzesanym nieszczęśnikiem jak ten chłopak, który na pierwszy rzut oka nie różnił się niczym od chłopców, co biegali po Seven Dials. Ambitne nadzieje, jakie Karol niegdyś żywił, sprawiały, że trudno mu było teraz przyjmować pouczenia od kogoś, kogo uważał za o tyle niższego od siebie, analfabety w porwanym, brudnym fartuchu i w papierowej czapce. Bardziej go jednak upokarzał fakt, że pomimo wszelkich wysiłków nie potrafił wykonywać swej pracy równie dobrze jak inni, którzy pracowali szybciej i zręczniejszy, nalepiali etykiety prosto, mocno zawiązywali sznurek i równiutko nakładali papierowe kapturki na szyjki butelek.

James na swym wysokim stołku za szklanym przepierzeniem, pochylony nad rozłożonymi księgami handlowymi, przyglądał się, jak Karol walczy z nożyczkami i nalepkami, i doszedł do wniosku, że chłopiec jest do niczego. Mógł uczyć go tylko w godzinach przeznaczonych na obiad, a że wydawało mu się, iż Karol bynajmniej nie docenia wszystkiego, co się dlań robi, wkrótce dał spokój. W kilka miesięcy później Karol stwierdził, że stół jego został przeniesiony do sutereny, gdzie pracowali wszyscy pozostali chłopcy. Byłoby mu tam bardzo ciężko, bo koledzy nie znosili jego „wielkopańskich” manier, gdyby nie Bob Fagin, ów „nauczyciel”,

który wziął Karola pod swe opiekuńcze skrzydła. Bob uwielbiał przyjaciela za to, że umiał pisać i czytać i zawsze był czysty i porządny, a Karol uważał to za rzecz oczywistą. A jednak właśnie dzięki Bobowi nauczył się odróżniać nieokrzesanie, którego źródło leżało w złych warunkach i braku wykształcenia, od głęboko zakorzonej brutalności, której tak się bał u chłopców ulicznych, od kolebki prawie przywykłych do życia pośród zbrodni i gwałtu.

Kiedyś, podczas pracy, Karol spróbował im deklamować — przypomniał sobie dawną mimikę, pozy, gesty — i zdumiony był widząc wściekłość kolegów. Zrobiło to na nim tak głębokie wrażenie, że nawet kiedy już był żonaty i zdobywał sobie znaczenie jako pisarz, śniła mu się po nocach ta scena i budził się wówczas spocony i przerażony. Nigdy nie mówił o tym przeżyciu, dopóki nie zaczął myśleć o pisaniu „Dawida Copperfielda”.

Sprawy domowe szybko zmierzały do kulminacyjnego punktu i mniej więcej w dwa tygodnie po rozpoczęciu przez Karola pracy ojciec jego został aresztowany za czterdzieści funtów długów. W domu zawrzało. Pani Dickens dostała ataku hysterii, a pan Dickens płakał i wygłaszał pożegnalne mowy. Karol nie poszedł do pracy, lecz biegał z listami błagającymi o pożyczki, choćby najdrobniejsze. Biedny chłopiec!

Wydawało mu się, że to koniec świata, kiedy widział, jak zabierano ojca deklamującego, że słońce zaszło na zawsze nad jego nieszczęsną głową. Z niepokojem patrzył na pozostałych członków rodziny. Jego własne, skromne zarobki nie wystarczały na kupno jedzenia, nie mówiąc już o dachu nad głową — niepotrzebnie się jednak kłopotał. Pan Dickens szybko doszedł do wniosku, że pobyt w więzieniu Marshalsea, gdzie natrętni wierzyciele nie mogli go osiągnąć, nie jest w końcu najgorszym nieszczęściem. Ponieważ zaś żonom wolno było mieszkać w więzieniu wraz z mężami, pani Dickens szybko się tam przeniósła, zabierając ze sobą młodsze dzieci. Przy bramie więziennej wynajęła pokój dla sierotki i znalazła również miejsce dla Karola. Dziwne warunki więzienia Marshalsea opisane są zarówno w „Dawidzie Copperfieldzie”, jak i w „Małej Dorrit”.

Nowe mieszkanie Karola znajdowało się w Camden Town. Był to rodzaj pensjonatu dla dzieci, prowadzonego przez kobietę, którą opisał później pod nazwiskiem pani Pipchin w „Dombey i Syn” jako „zgorzkniałą starszą panią”, z której „wypompowano wszelką radość i słodycz ludzkiej dobroci” i która miała twarz „pocętkowaną jak marmur pośledniego gatunku, nos haczykowaty i szare, twarde oczy” *.

W pokoju mieszkało oprócz niego dwóch chłopców, lecz jedzenie musiał kupować sobie z własnych pieniędzy i sam o siebie dbać. Miał wrażenie, że nikt się tam nigdy do niego nie odezwał, ale zapewne wstawał wcześniej niż pozostali koledzy, a wieczorem był zbyt zmęczony, by myśleć o czymś innym oprócz kolacji i łóżka. Kupował sobie rano prowianty na cały dzień: mleko, chleb, ser; na śniadanie jadł chleb i wypijał kubek mleka, a na kolację to samo z dodatkiem kawałka sera. Kusily go ogromnie czerstwe ciasta po niżonych cenach, które oglądał idąc do pracy na Tottenham Court, zawsze bowiem był głodny, lecz kupienie czegoś tutaj byłoby równoznaczne z pójściem spać na głodno, bez kolacji. Nie wystarczało pieniędzy na jedno i drugie. Aby związać koniec z końcem, dzielił swój tygodniowy zarobek na sześć części, po jednej na każdy dzień tygodnia, i zawiązywał pieniądze w osobne paczuszki. Obiad jadł zazwyczaj w taniej garkuchni koło Strandu — był to zwykle pudding na łaju za kilka pensów. Prócz tego miał jeszcze półgodzinną przerwę na herbatę. Kiedy nie wystarczało mu pieniędzy na jedzenie, skręcał do Covent Garden i wpatrywał się w ananasy. Jeśli miał pieniądze, szedł do jakiejś kawiarenki na filiżankę kawy i kawałek chleba z masłem. W wiele lat później przypominał sobie, jak to zwykł był chodzić do pewnej kawiarenki na St. Martin's Lane i siedzieć tam wpatrując się tępo w szklane drzwi, na których na zewnątrz wypisane było białymi literami „Kawiarnia”. Z jego miejsca napis układał się w „ainraiwak”, które to słowo powtarzał pod nosem z rozpaczliwą satysfakcją: — Ainraiwak, ainraiwak, ainraiwak.

Rozdział czwarty W MARSHALSEA

W każdą niedzielę rano Karol szedł po Fanny i prowadził ją do Southwark, by spędzić dzień z resztą rodziny. Nie wiadomo, o czym ze sobą rozmawiali podczas długiej drogi przez Gity i przez most na Tamizie — wiadomo tylko, że przed Fanny otwierały się piękne perspektywy, a Karol był nieszczęśliwy, pogrążony w beznadziejnej rozpacz. Prawdopodobnie robił dobrą minę do złej gry i własne kłopoty chował dla siebie, nigdy bowiem nie zrodziło się między nimi uczucie zawiści i przez całe życie pozostali dobrymi przyjaciółmi i sojusznikami.

W momencie kiedy dozorca wpuszczał ich przez ogromną bramę więzienną, Karol zapomniał o wszystkim, pochłonięty jednym pragnieniem: napatrzeć się jak najwięcej dziwnego świata zamkniętego wewnątrz tych murów. „Członkowie Kolegium” — jak ich nazwał później w „Małej Dorrit” — korzystali z pewnej swobody, ponieważ byli tylko niewypłacał

nymi dłużnikami, a nie przestępcami. Otrzymywali oni nie cele, lecz coś w rodzaju kwater, a za małą opłatą mogli dostawać ciepłą wodę i miejsce w kuchni do gotowania strawy. Stopień wygód uzależniony był od ilości gotówki, jaką rozporządzał więzień. Pan Dickens, mając regularne pobory urzędnika państwowego, urządził się wcale wygodnie. Nie potrzebował wydawać pieniędzy na komorne i nie robił najmniejszych wysiłków, by spłacić długi teraz, kiedy lichwiarze i wierzyciele nie deptali mu po piętach. Więźniom nie wolno było wychodzić z więzienia, lecz ich rodziny miały na to pozwolenie w dość szerokich granicach czasu. Pan Dickens cieszył się życiem, a jego werwa działała orzeźwiająco na starych mieszkańców więzienia, którzy przeważnie żywili się złudnymi nadziejami. Zbierali się wokół niego i patrzyli nań z uwielbieniem, a on przyjmował to z wdzięczną łaskawością. Wkrótce stał się też najpopularniejszym człowiekiem w Marshalsea i zadawał szyku, miał bowiem własną małą służącą, która przybiegała natychmiast po otwarciu bram (było to o godzinie szóstej rano), by gotować, sprzątać, biegać na posyłki i opiekować się dziećmi.

W „Małej Dorrit” „ojciec” więzienia Marshalsea jest jego najstarszym mieszkańcem. Pan Dickens natomiast wyróżniał się spośród innych więźniów względną zamożnością.

Zachowywał

się zawsze tak, jakby mieszkał tu tymczasowo, z własnej nieprzymuszonej woli jedynie, jako gość honorowy w miłym klubie z pokojami hotelowymi. Pozdrowiał łaskawie syna i córkę, kiedy przychodzili z cotygodniową wizytą, i przedstawiał ich oficjalnie swym towarzyszom bawiącym właśnie u niego „w gościnie”. Mówił dużo i kwieciście, przerywając sobie kaszlem, kiedy stracił wątek — a że zdarzało się to co parę słów, większość z tego, co mówił, nie miała sensu. Lecz Karol uwielbiał nawet dźwięk jego głosu, a Członkowie Kolegium słuchali go z entuzjazmem.

Pani Dickens również mówiła dużo i bez sensu, ale była znakomitą mimiczką i dzieci wiły się czasem ze śmiechu, kiedy naśladowała różnych zamieszkujących więzienie dziwaków.

Urodziny Jerzego IV obchodzone były uroczyście w czerwcu i tego roku pan Dickens wpadł na genialny pomysł, by wysłać petycję o zasiłek pieniężny, za który można by wypić zdrowie Jego Królewskiej Mości. Miał już doświadczenie zdobyte w służbie państwowej i był w swoim żywiole, układając tę szlachetną prośbę; ustalono potem dzień, w którym wszyscy niewypłacalni dłużnicy mieli ją podpisać. O całej sprawie mówiono jako o czymś tak niezwykłym, że Karol prosił, by mu pozwolono asystować przy uroczystości składania podpisów. Pozwolenie uzyskał pod warunkiem, że otrzy

ma na ten dzień zwolnienie z pracy. I to mu się udało, wobec czego w ów wielki dzień siedział wciśnięty w kąt, z którego mógł wszystko dokładnie widzieć nie zawadzając nikomu. Przyglądał się scenie z najwyższym uznaniem. Ojciec jego, jako Prezes Komitetu Organizacyjnego Dłużników, grał pierwsze skrzypce. Długi wąż papieru przygotowanego na podpisy rozciągnięty był na desce do prasowania, która w nocy służyła komuś za łóżko. Obok stał kapitan Porter, gotów czytać kwieciste zdania każdemu, kto wykazał najmniejszą ochotę, by ich słuchać, a w ustach jego wyrażenia takie, jak „Wasza Królewska Mość”, „Wasza łaskawa Królewska Mość”, „Nieszczęśliwi poddani Waszej Królewskiej Mości” —■ brzmiały rozgłośnie i dźwięcznie ku zachwytowi pana Dickensa, który słuchał, jak to stwierdził Karol, „z odrobiną dumy autorskiej”. Później, nad garnkami z czernidłem, chłopiec często przywoływał na pamięć tę scenę, a kiedy opisywał pobyt pana Pickwicka w więzieniu Fleet, włączył ją do tego opisu i twierdził, że nie opuścił „ani jednej osoby z tłumu w Marhalsea”.

Z początku Karol sądził, że ojciec jego, znalazłszy się w więzieniu za długi, umrze ze wstydu. Cieszył się, że tak się nie stało, lecz ta radość niewielką była pociechą, kiedy zobaczył z kolei, jak obojętne są rodzicom jego własne losy. Wydawało się, że nie uważają go za własnego nieletniego syna, ale za jakiegoś młodzieńca, któremu szczęście wyraźnie sprzyja i który od czasu do czasu poświęca jeden dzień ze swego swobodnego, pełnego wrażeń życia, by ich odwiedzić. Kiedy żegnali go w niedzielne wieczory, oczekiwali od niego litości, lecz sami nie mieli dlań współczucia, choć wracał do samotnego domu i do ciężkiej pracy. No dobrze, może swoje kłopoty schować dla siebie i znosić je dzielnie, lecz udawanie, że jego życie jest usłane różami, było ponad siły. Był głodny, a nikt się tym nie przejmował. Bał się często, a nikt nie przypuszczał nawet, że jest coś, czego on może się bać. Przez większą część sześciu długich dni pracy czuł się strasznie samotny i opuszczony. Tęsknił za jakimś stałym punktem oparcia, za czyjąś opieką. Pewnej niedzieli, kiedy nadszedł czas do wyjścia, rzucił się ojcu w objęcia i zaczął płakać. Pan Dickens był zdumiony, lecz i wzruszony, a pierś wezbrała mu sentymentalną dumą, zbyt jednak był zaskoczony, by móc ukryć, że nie ma najmniejszego pojęcia, o co chłopcu chodzi. Lecz Karol nic mu nie tłumaczył, płakał tylko i mówił, że jest samotny i chce być razem z rodziną! — co pan Dickens uważał za bardzo właściwe. Oświadczone Karolowi w mało zrozumiałych słowach przerywanych kaszlem, że coś trzeba będzie zrobić. Sierota miała pomieszczenie poza obrę-

bem więzienia. Pani Dickens wynajdzie coś podobnego i dla syna.

O parę minut od bram więzienia znajdowała się Lant Street, gdzie znaleziono dla Karola mały pokój w czystym, miłym domku, u miłych, swojskich ludzi. Materace i pościel przysłano z siedziby Dickensów i Karol w przeciągu tygodnia zainstalował się w nowym mieszkaniu. Wbrew obrazowi tej ulicy, jaki namalował w „Klubie Pickwicka”, gdzie umieścił Boba Sawyera i innych studentów medycyny, Karol był tu bardzo szczęśliwy i z myślą o atmosferze owego nowego domu stworzył postać dobrej pani Garland w „Antykwariacie”.

Przeniósł się tu w początkach lata; lubił wstawać wcześniej i biec nad rzekę, nim otworzono bramę więzienia. Często przyłączała się do niego sierota i razem wałęsali się koło mostu Londyńskiego, przyglądając się statkom i patrząc w dół rzeki, ku zamkowi Tower; czasami Karol wymyślał dla swej towarzyszki mrozące krew w żyłach opowiadania, które tam się rozgrywały.

Bramę więzienia zamykano codziennie o dziesiątej, lecz Karol wracał zwykle do swego pokoju przed dziewiątą; było mu tu jak w raju w porównaniu z ponurym pensjonatem pani Roylance. Teraz szedł do pracy z drugim śniadaniem owiniętym w czerwoną, bawełnianą chustkę, a często zostawało mu jeszcze przy

końcu tygodnia parę pensów na prezenty, gazetę czy na kawę zbożową, którą pili ci, co nie mogli sobie pozwolić na prawdziwą. Czasem zatrzymywał się, by obejrzeć różne osobliwości i menażerie, gdzie widział: „Tłustą Świnie, Dzikiego Indianina i Małą Dame”. Wałęsał się po „małych, starych, śmiesznych sklepikach” szukając tam skarbów. Opowiada w „Dawidzie Copperfieldzie”, jak to kiedyś odważył się wejść do baru i zamówić sobie kufel „dobrego, ale to najlepszego piwa — z czubatą pianką”, chociaż był taki mały, że nie dosięgał lady głową.

Śmierć matki zakończyła pobyt Johna Dickensa w Marshalsea. Zmarła zostawiła mu część swoich oszczędności, zresztą o połowę mniej niż jego bratu, Williamowi, a to ze względu na nieustannie udzielane pożyczki. William natychmiast wpłacił do Sądu sumę potrzebną dla wypuszczenia brata z więzienia — za co ten bynajmniej nie był wdzięczny, równało się to bowiem ponownemu zetknięciu z niecierpliwymi wierzycielami.

Okrzyki, jakie wznosili więźniowie na pożegnalnym przyjęciu, ponuro musiały brzmieć w uszach pana Dickensa. Triumfalnie przekroczył wraz z rodziną bramę i pośpieszył do pensjonatu pani Roylance, gdzie zamieszkali wszyscy, dopóki nie znaleźli odpowiedniego domu. W rodzinie przybyło nowe dziecko, August, mała sierotka miała więc pełne ręce roboty.

Najbardziej palącym dla pana Dickensa problemem było zapewne stwierdzenie, jak wyglądają jego sprawy w Płatniczym Biurze Marynarki. Żywił pewne obawy co do powrotu za biurko, chociaż przezornie wysłał był uprzednio zaświadczenie lekarskie dla wyjaśnienia swej nieobecności. Kiedy okazało się, że istnieją rzeczywiście wątpliwości co do przyjęcia go z powrotem, mimo iż przez cały czas nieobecności wypłacano mu pełne wynagrodzenie, zwrócił uwagę na swą „niezdolność do pracy” i zapytał ze zwykłym optymizmem, czy nie wysłano by go na emeryturę — płatną, oczywiście.

Prawdę mówiąc, zaświadczenie lekarskie nie stanowiło podstawy do takiej decyzji urzędu, toteż polecono mu nie przychodzić do biura, zanim władze zwierzchnie nie zdecydują, co z nim zrobić. Wreszcie, wzięwszy pod uwagę jego dwudziestoletnią pracę w biurze i odpowiedzialność, jaką ponosił będąc mężem i ojcem sześciorga nieletnich dzieci, dano mu emeryturę roczną w sumie stu czterdziestu pięciu funtów, co go szczerze uradowało.

Następny jego krok był zdumiewający. Okazało się, że nauczył się w więzieniu nieco stenografii, a to, co umiał, wystarczało w zupełności, by znaleźć dorywcze zajęcie stenografa na galerii Izby Gmin. Praca reportera w Izbie zaczynała się dopiero po południu i często przeciągała się do wczesnych godzin porannych,

ii

a jednak ten rodzaj życia bardziej mu odpowiadał niż monotony tryb pracy w służbie państwowej.

Być może pomysł ten podsunął mu drugi brat pani Dickens, John Henry Barrow, który założył małe pismo „The Mirror of Parliament”, („Zwierciadło Parlamentu”), zawierające dosłowne sprawozdania z debat w Izbie, tak jak to dzisiaj robi Hansard. Stenogramy pana Dickensa nie były jednak wystarczająco dokładne dla tego pisma, które zdobywało sobie reputację wydawnictwa godnego zaufania.

Od chwili, w której dowiedział się o uwolnieniu ojca, Karol czekał z zapartym tchem na wiadomość, jak będzie wyglądała jego własna przyszłość, niczego się jednak nie dowiedział. Widocznie ani matce, ani ojcu nie przyszło do głowy, że można by go zabrać z fabryki czernidła. Ojciec miał tak wielki talent do upiększania wszystkiego, że nędzne zajęcie syna zwykł przedstawiać jako wstęp do zawrotnej kariery, toteż nie mógł spojrzeć rzeczywistości w twarz. Nie dostrzegał pytającego spojrzenia Karola, lecz nagle w całą sprawę wtrącił się los.

Lamert i jego kuzyn przenieśli swoją fabryczkę na północ od Strandu, na Chandos Street i kazali Karolowi pracować w oknie wystawowym w charakterze reklamy. Karol nie powiedział o tym w domu. Tak się złożyło, że pewnego razu ojciec znalazł się tam niespodziewanie,

spacerując w godzinie obiadowej ze swym przyjacielem z Biura Płatniczego. Przyjaciół poznał chłopca w oknie i zatrzymał się, by mu dać pół korony. Pan Dickens nie powiedział ani słowa. Rozsadzała go złość. Próżność jego została zraniona. Kiedy Karol wrócił do domu, ojciec wrzał oburzeniem, które w sobie coraz mocniej rozjątrzał. Napisał ostry list i następnego dnia wysłał go do pana Jamesa Lamert, a Lamert, równie jak pan Dickens wściekły, oświadczył Karolowi, że po tym wszystkim, co zaszło, nie może go trzymać dłużej w fabryce. Odesłał go do domu. Chłopcu ciężko było opuścić pracę w tych warunkach, choć bardzo pragnął wydostać się z tego wstrętnego mu miejsca. Płakał, a później „z ulgą tak dziwną, że prawie bolesną” opuścił na zawsze fabrykę czernidła.

Pani Dickens bynajmniej nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Złajęła Karola, zwymyślała męża i pośpieszyła na Chandos Street, by wszystko naprawić. Udało się jej i wróciła w triumfie do domu, oświadczając, że James przyjmie Karola z powrotem, jakby nic się nie stało.

Ale nie zdawała sobie sprawy, co przeżywa jej mąż. Pan Dickens został upokorzony, głęboko upokorzony, i to w obecności przyjaciela. Był więc niewzruszony. Powiedział żonie, że nie chce nic więcej słyszeć o tej sprawie. Karol tam nie wróci.

Rozdział piąty DROGA WZWYŻ

Aby choć trochę wynagrodzić synowi przebyte trudy, pan Dickens zaproponował ze zwykłą sobie bez troską, aby po osiemnastomiesięcznej blisko przerwie Karol poszedł z powrotem do szkoły.

Wybrał Wellington House Academy na Hampstead Road. Nie była to dobra szkoła i Karol w niej nie zabłysnął. „Szkoła ta wyróżniała się białymi-myszami —• pisał później, wspominając ten okres życia — i ptakami. Zięby, makolągwy, a nawet kanarki mieszkwały w ławkach, szufladach, pudłach na kapelusze i innych dziwnych, jak na ptaki, miejscach. Białe myszy były jednak ogólnymi faworytami. Chłopcy kształcili myszy o wiele lepiej niż nauczyciele kształcili chłopców. Jedna mieszkła w oprawie słownika łacińskiego. Wspinała się po drabinach, ciągnęła rydwany rzymskie, brała muszkiet na ramię, toczyła kółka, a nawet całkiem przekonywająco odgrywała na scenie psa

z Montargis Dickens opisał tą szkołą jako Salem House w „Dawidzie Copperfieldzie”.

Być może, nawet lepsza szkoła nie przyniosłaby Karolowi większych korzyści. Niełatwa to sprawa powrócić do nauki po długiej przerwie, spędzonej przy takiej pracy i w takim towarzystwie. Trudno mu się było skupić, zapomniał przy tym większość przerobionej już łaciny i matematyki i nie mógł teraz dać sobie rady z tymi przedmiotami. Był ongiś najzdolniejszym uczniem Williama Gilesa. Teraz był nikim, ot, jednym ze stada, nie tępy, lecz zapóźniony. Nie okazywał jednak po sobie rozczarowania, a okres spędzony w Wellington House przyniósł dobre skutki, bo dał Karolowi możliwość odzyskania równowagi i spokojniejszego spojrzenia w przyszłość.

Być może nie różnił się wyglądem od innych chłopców — nosił ubranko w czarno-białą pepitkę, krótką kurteczkę z wyłożonym kołnierzykiem, świadom był jednak doskonale, że ma za sobą przeżycia, jakich nie znali ci dobrze wychowani uczniowie. Często przychodziło mu do głowy pytanie: „Co by pomyśleli, gdyby wiedzieli?” i spoglądał to na nich, to na siebie. Próbował naśladować ich zachowanie, lecz nie umiał już myśleć na ich sposób i przyjmować życia tak, jak oni. Czuł teraz, że chłosta byłaby dlań upokorzeniem nie do zniesienia, toteż pilnie starał się jej unikać. A jednak trudno mu było podporządkować się dyscyplinie szkolnej. Był już przecież robotnikiem, niezależnym na swój biedniutki sposób, układał sam codziennie swoje życie i sam gospodarował pieniędzmi. Ten dziwny kontrast, którego tak bardzo był świadom, zbyt mocno go absorbował i wciąż kazał mu się zastanawiać, jakie on sam robi wrażenie. Bardzo pragnął zabłysnąć, a że nie mógł tego osiągnąć na lekcjach, wymyślał tysiące innych sposobów, by zdobyć uwielbienie kolegów. Ułożył nowy „język”, którego wyuczył chłopców; posługiwali się nim szybko na ulicy w nadziei, że przechodnie wezmą ich za cudzoziemców. Znalazł wśród kolegów doskonałe audytorium, które słuchało jego opowiadań. Niektóre z tych opowiadań spisywał i dawał je do czytania w zamian za wypożyczenie rysika. Chłopcy urządzili teatr lalkowy, a on wystawiał sztuki, które niegdyś wymyślał z Jamesem dla własnego teatrzyku. Wyprawiał z nimi głupie figle; wałęsali się na przyłdad po Euston Road i dla czystego kawału zebrali u starych dam, nauczeni uprzednio przez Karola, co mają mówić i jak się zachowywać. Chodził do tej szkoły przez z górą dwa lata. Zdobył trochę powierzchownych, ubożuchnych wiadomości z łaciny, historii i matematyki oraz

nauczył się grać na kobzie. Pod koniec tego okresu umarł wuj William, zostawiając to, co otrzymał w spadku po matce, do podziału między siostrzenice i siostrzeńców po śmierci jego żony. Suma ta wynosiła około tysiąca trzystu funtów. Nie mogło to zadowolić Johna Dickensa. Zawsze brakowało mu pieniędzy, a właśnie teraz został usunięty sądownie z zajmowanego domu za zaleganie z czynszem. Nic dziwnego więc, że Karol śpiesznie opuścił szkołę i zaczął rozglądać się za jakąś pracą. Tym razem już się tym nie przejmował. Dwa lata szkoły pozwoliły mu nabrać oddechu i pomyśleć o przyszłości. Stare marzenia o studiach uniwersyteckich oczywiście rozwiały się, jednak i inne drogi prowadziły do tego samego celu. Miał piętnaście lat i musiał zaczynać od początku; to go jednak nie przerażało.

Wysłuchał wielu dobrych rad, od czego powinien zaczynać. Wystarczająco dokładnie znał życie urzędnika w służbie państwowej, by tę drogę odrzucić. Wiedział też trochę o pracy sprawozdawcy z obrad Izby Gmin i ta bardzo mu się podobała, ale musiałby czekać, aż skończy dwadzieścia lat i opanuje po mistrzowsku stenografię. Widocznie przestrzegli go o tym jego wuj lub koledzy ojca.

Pierwszą pracę otrzymał przypadkowo dzięki znajomościom matki; został najmłodszym kancelistą, prawdę mówiąc, chłopcem na posyłki u adwokata z Symonds Inn nazwiskiem Karol Malloy.

Stąd się wzięły początki tej niezwykle szczegółowej znajomości biur prawniczych, które stały się natchnieniem do słynnych scen „Pi-ckwicka”, „Domu na pustkowiu”, czy innych.

W „Klubie Pickwicka” Karol w zabawny sposób przedstawiał różnice stanowe pomiędzy poszczególnymi kancelistami adwokata, opisując własne wrażenia z Symonds Inn jako wrażenia jednego „z chłopaków biurowych, co to włożyli pierwsze swoje surduty”, kpili wesoło z chłopców chodzących jeszcze do szkoły i składali się w drodze powrotnej na suche kiełbaski i porter, radośnie pewni, że „nie ma lepszego życia”.

Karol niewiele miał tu do roboty, lecz już teraz bacznie obserwował najrozmaitsze typy, często przychodzące do kancelarii. Pilnie notował w pamięci ich historie, a wspomnienia wszystkiego, co oglądał, zbierał na tę przyszłość, która była bliżej, niż mógł to sobie wyobrazić ktoś, kto widział go teraz na wysokim kancelaryjnym stołku — zwłaszcza że nie powierzano mu żadnej roboty wymagającej bodaj odrobiny inteligencji czy inicjatywy.

Pracował u pana Malloy równo sześć tygodni, a potem przeniósł się do innej kancelarii adwokackiej, do Ellisa i Blackmore'a z Gray's Inn, zostawiając w poprzednim biurze swojego dozgonnego przyjaciela, kancelistę nazwiskiem Tom Mitton. Nowa posada była niewiele lepsza, ale choć zaczął w niej od trzynastu szylingów, po próbnym miesiącu podniesiono mu pobory do piętnastu. Do dzisiaj istnieje księga, prowadzona w tym biurze przez Karola. Kiedy Dickens stał się sławny, panu Blackmore zdawało się, iż poznaje w rozdziałach „Pickwicka” i „Ni- ckleby” wypadki i osoby, których prawozorem były zdarzenia, jakie miały miejsce u niego w biurze.

Praca tutaj tak mało absorbowała Karola, że zaczął uczyć się stenografii. Kupił za pół gwiney „Brachygrafię” Gurneya — bo tak się wówczas stenografia nazywała. Zaczął naukę z entuzjazmem, szybko jednak wpadł w rozpacz; potem zwyciężył upór, zaciekłość i zapamiętanie. Opisywał w „Dawidzie Copperfieldzie” koszmary, które przeżywał próbując opanować alfabet stenograficzny, kropki, kółka i znaczki „jak nóżki musze” i „potworności w postaci tak zwanych znamion”. Nie przerwał jednak nauki, dopóki nie opanował przedmiotu całkowicie. W ciągu osiemnastu miesięcy osiągnął szybkość i wydajność rzadko wówczas spotykane, a przy tym zawsze znajdował czas na włączęgi z kolegami. Po pierwszej wizycie w teatrze stare zainteresowania Karola odżyły i rozwinęły się jeszcze bardziej, tak że wybierał teraz starannie sztuki, wyszukując aktorów, na których warto popatrzeć i których karierę warto śledzić. Próbował oceniać krytycznie sztukę opierając się na stosunku interpretacji aktorskiej do tego, co uważał za intencje autora, i natychmiast gdy sztuka się kończyła, wszczynał z przyjaciółmi dyskusje na jej temat. W owych czasach statyści do scen zbiorowych

byli często angażowani na jeden wieczór przy wejściu dla aktorów. Karol wykorzystał tę okazję, by przekonać się, jak to jest, kiedy się wychodzi na scenę. Okazało się, że to bardzo ciekawe i niezwykle, i choć atmosfera była trochę jarmarczna, pozostało mu jednak poczucie romantycznego przeżycia. Kiedyś dano mu kilka słów tekstu do powiedzenia na scenie i choć ku wielkiemu swemu zmartwieniu stwierdził, że słowa z trudem wychodzą mu z gardła, zaczął jednak uważać się za aktora.

Przez cały ten czas rodzina jego wciąż mieszkała w wynajętych pokojach umeblowanych, które zmieniano co parę miesięcy. Mimo ustawicznych trudności finansowych, w domu panowała zawsze miła atmosfera. Fanny wróciła do rodziców i zaczęła zarabiać na życie muzyką. Karol dokładał do kasy domowej jednego lub dwa szylingi, jeśli udało mu się uratować je przed ojcem. W sobotnie wieczory przyjmowano gości: schodzili się przyjaciele. Wino i opał nie były drogie, toteż zawsze na kominku buzował ogień, wokół którego zbierali się młodzi ludzie, a na stole stała waza domowego ponczu z pasztecikami, a czasem leżała nawet paczka tanich cygar dla mężczyzn. Dzięki przyjaciołom Fanny wiele było w domu muzyki; prowadzono ożywione rozmowy. Czasem tańczono lub bawiono się w żywe obrazy. Podczas takich wieczorów pani i pan Dickens byli w najlepszych swoich nastrojach: on — wyniośle uprzejmy, ona — mistrzyni wszelkiego rodzaju urzekających i łaskawych póż.

Słabą stroną pracy pana Dickensa jako reportera politycznego była jej okresowość, kiedy się bowiem Parlament nie zbierał, stenografowie nie mieli ani roboty, ani zarobków. Najdłuższe wakacje wypadały w lecie — dobre trzy miesiące, przez które trzeba było jakoś przebrnąć. John Dickens nie przejmował się tym zbytnio. Miał dzięki temu wiarygodne usprawiedliwienie swych ustawicznych pożyczek; poza tym lubił prowadzić życie nie uregulowane. Oczywiście, ciężar długów rósł, a uciekanie przed wierzycielami stało się zajęciem samym w sobie.

Zarobki Fanny i Karola wciąż były nikłe, a chłopiec często z niepokojem przenosił wzrok z „marnotrawnego rodzica” na młodsze dzieci, jeszcze przecież od niego zależne. Karol dawał im wszystkie pieniądze, jakie tylko zaoszczędził, i brał udział we wszystkich ich kłopotach. Przy okazji wyciągał wnioski z lekcji, jaką mu dawano, i był przekonany, że nieszczęścia płyną przede wszystkim stąd, iż jak mówił pan Micawber, nie udaje się zestroić rozchodów z dochodami.

U Ellisa i Blackmore'a pracował osiemnaście miesięcy, tyle, ile mu było potrzeba do opanowania stenografii. Potem wymówił. Zwykły sposób awansowania urzędników w kancelariach

adwokackich był zbyt powolny dla niego, zwłaszcza że teraz zdobył lepsze kwalifikacje.

Kuzyn podsunął mu pomysł spróbowania szczęścia w Doctors' Commons. Oznaczało to wynajęcie sobie „przegródki”, wywieszenie biletu wizytowego i czekanie na klientów. Ani Sąd, ani ten budynek leżący niedaleko cmentarza Sw. Pawła nie istnieją już dzisiaj. Było to zrzeszenie doktorów prawa cywilnego, którzy załatwiali sprawy z dziedziny prawa duchownego, zatwierdzali testamenty, śluby i rozwody i rozstrzygali spory w sprawach związanych z marynarką. Potrzebni tu byli stenografowie, by spisywać dosłownie zeznania świadków. Karol dowiódł, że jest szybki i można na nim polegać, wkrótce też miał pełne ręce roboty. Tak więc w wieku szesnastu lat po raz pierwszy zdobył upragnioną niezależność i dodał wiele do swoich dotychczasowych doświadczeń, które miały uczynić go tak wielkim pisarzem.

W Doctors* Commons oglądał prawo od innej strony; tam spotykał oko w oko starych, przebiegłych i despotycznych adwokatów, których opisywał później w swych książkach. Tu nauczył się nie dowierzać im i nienawidzić ich. Widział, jak bezbronny jest zwykły, uczciwy człowiek, zdany na łaskę zawodowych krętaczy, którzy walili pięściami w pulpity i grzmieli gromkim głosem. Tam uzmysłowił sobie, że to, co nazywa się wymiarem sprawiedliwości, jest

w istocie zwykłą korupcją. Najbardziej pożądanym rodzajem spraw — mówił później w „Dawidzie Copperfieldzie” — była „dobra sprawa testamentowa, gdzie idzie o jakie trzydzieści czy czterdzieści tysięcy funtów wartości...”, odpowiednia do „oskubania” na każdym etapie, aż do chwili kiedy dla spadkobiercy nie pozostanie nic zgoła. Inne światło na to, co się działo w sądach, rzucają nam słowa Sama Wellera w „Pickwicku”, w związku z drugim małżeństwem Tony Wellera i spekulowaniem licencjami na śluby.

Rozdział szósty PIERWSZA MIŁOŚĆ I NOWE AMBICJE

Prawnicy, którzy zatrudniali Karola jako stenografa, nie zdawali sobie sprawy, jaką broń dają mu do ręki, każąc mu spisywać słowo po słowie zeznania swoich świadków i ujawniając wszystkie sztuczki i kręactwa, przy pomocy których oszukiwali i okradali swych klientów. To, co nie zmieściło się w spisywanych sprawozdaniach, zostało równie dokładnie zarejestrowane w znakomitej pamięci Karola; niejednokrotnie zapewne wracał myślami do owych czasów, kiedy szukał do jakiegoś ze swych opowiadań właściwego tonu czy odpowiedniego słowa.

To, czego był tam świadkiem, postawiło go na resztę życia po stronie prostego człowieka, zwykle równie mało znającego prawo, jak mało go ono w owych czasach chroniło. Stwierdził z gniewem, że: „Prawo rzuciło wszystkich uczciwych ludzi pod diabelskie kopyta łajdaków”. W przeciągu następných pięćdziesięciu lat zawód prawniczy sam sobie narzucił reformy, trzeba jednak przypisać tu pewną zasługę Dickensowi, który ostrzegał prostych ludzi i wykazał pilną konieczność wejrzenia w ten problem.

Dorastał teraz i poważnie myślał o życiu, starając się stworzyć sobie pogląd na to, co naprawdę istotne i w co sam wierzy; robił przegląd zasad obowiązujących w codziennym życiu i zachowaniu i starał się wybrać te, przy których pozostanie. Wykuwał je w gorących dysputach z przyjaciółmi, wiele przy tym robiąc hałasu, bo uczucia jego były silne, a wahania lub obojętność innych bardzo go niecierpliwiły. Była w nim wrodzona uczciwość i głód prawdy i tak uzbrojony wyzywał wszelki fałsz i oszustwo, często z niepotrzebną gwałtownością.

Zaczął nabierać coraz większej wiary w siebie, świły mu coraz piękniejsze nadzieje na przyszłość. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że upór i skupienie, jakie włożył w naukę stenografii, są rzeczą rzadką u młodych ludzi i że otacza go ich podziw. Wiedział, że jest inteligentny, ciągle jednak zastanawiał się z niepokojem, czy brak wykształcenia nie będzie mu kulą u nogi, choć pozbył się już teraz owego dumnego uczucia żalu, iż nie pozwolono mu się uczyć, kiedy tak gwałtownie tego pragnął. Teraz postanowił sprawdzić, co sam może zrobić dla siebie. Przede wszystkim musi douczyć się historii i poznać o wiele lepiej litera-

ture swojego, a może i innych krajów. Brakowało mu jednak pieniędzy na kupno książek, a tego rodzaju biblioteki, jakich potrzebował, były dlań niedostępne. Potem odkrył, że jak skończy osiemnaście lat, będzie mógł korzystać z czytelni w British Museum. To rozwiązywało najważniejszy problem. Wcześniej złożył podanie o bilet wstępu, tak że miał go już w rękach w rano swoich osiemnastych urodzin. Ułożył sobie plan studiów, a choć był to plan ambitny, nie odstępował od niego. Do lektury podchodził w zwykły sobie porywczy sposób, pożerając co najistotniejsze z jednej książki po drugiej i robiąc podczas czytania szybkie notatki; mimo to po tej lekturze pozostawały trwałe ślady.

Nie sądził, że zdobędzie w ten sposób wiedzę, jaką mógł mu dać uniwersytet, był jednak realistą, brał życie takim, jakie było, i korzystał zeń, jak mógł. John Forster, prawnik i krytyk literacki, który stał się najbliższym jego przyjacielem i napisał jego życiorys, będący najlepszym materiałem źródłowym dla wszystkich następnych biografów Dickensa, twierdził, że nikt, kto później znał Karola i dyskutował z nim na różne tematy, nie przypuściłby nawet, że jego studia były „tak przypadkowe i dorywcze”.

Zdaniem Forstera, o sukcesie Karola zdecydowało przede wszystkim jego podejście do życia, o którym mówi Dawid Copperfield w słowach: „Jeśli dążyłem kiedy do czego, to wytrwale, jeśli się czemu poświęcałem, to najzupełniej, a wielkim i mniejszym celom oddawałem się z całego serca. Nie sądziłem nigdy, aby wrodzone czy nabyte zdolności obyć się mogły bez pracy, wytrwałości i wytkniętego celu”.

Taki był Karol, kiedy postanowił poświęcić się scenie. Doszedł do wniosku, że ma nieprzeciętny dar wcielania się w inną postać — wspomagała go w tym świetna pamięć oraz ogromne zainteresowanie sprawami innych ludzi; dar ten wykorzystywał już zresztą na swój rozsądny sposób przy opowiadaniu. Zastanawiając się nad sobą, doszedł do wniosku, że ma zadatki na aktora, a ta myśl ogromnie go podnieciła. Zaczął studiować poszczególne role i choć nie porzucił swego planu lektury, nauczył się wielu ról na pamięć. Wyszukał sobie jakiegoś aktora, który uczył go sztuki poruszania się na scenie — dowiedział się od niego, jak należy z wdziękiem wychodzić czy wchodzić do pokoju, jak siadać i wstawać, jak kłaniać się z gracją, i pilnie ćwiczył każdą lekcję przed lustrem.

Nie mylił się sądząc, że ma talent aktorski — dowiodły tego dalsze jego losy, lecz w tym okresie nie mógł mu jeszcze zawierzyć. Być może sądził, że nie zarobi aktorstwem na życie, dopóki talent jego nie znajdzie uznania. Jeśli odrzuci dziś to, do czego doszedł przy pomocy jedynej swej pewnej kwalifikacji — to jest stenografii — na czym będzie mógł się oprzeć

w ciężkich czasach? Po wielu wahaniach zaniechał więc myśli poświęcenia się aktorstwu. Nie poszły jednak na marne lekcje dobrych manier. Nabyta podczas nich wiedza wspomagała go ogromnie w kilka lat później, kiedy domy możnych stanęły przed nim otworem i witały młodego „Boza” jako lwa świata literackiego.

Pomiędzy gośćmi, zbierającymi się w soboty u Dickensów, było parę osób, które miały w przyszłości zdobyć sobie imię jako kompozytorzy czy śpiewacy. Zarażeni entuzjazmem Karola dla sceny, jego zainteresowaniem i zapałem, pisali operetki, sztuki i układali żywe obrazy, które wystawiali zupełnie jak w prawdziwym teatrze; wynajmowali kostiumy i odbywali tak poważne próby, jakby sztuka miała być wystawiona w Covent Garden. Nawet obydwójce państwo Dickens i mały August zostali zaprzęgnięci do roboty i odgrywali drobne role, tak że wreszcie zabrakło audytorium. John Hullah był w ich zespole najlepszym kompozytorem, pomiędzy zaś aktorami znajdował się Henry Austin, który później ożenił się z Letycją Dickens. Był tam również Henry Kolie, wielki przyjaciel Karola, fabrykant perkalu w City.

Kolie ogromnie podziwiał Karola. Kochał się w dziewczynie mieszkającej na Lombard Street, niedaleko miejsca, gdzie pracował, na Addle Street, koło Aldersmanbury. W tym właśnie czasie zaręczył się z nią i ogromnie pragnął, by Karol poznał jego narzeczoną. Nazywała się Anna Beadnell. Miała dwie siostry: starszą, zaręczoną z kupcem herbaty — oraz młodszą, Marię. Ojciec dziewcząt był dyrektorem banku. Była to dość typowa w tych czasach, zamożna rodzina mieszczańska, snobistyczna, dość ograniczona, o bardzo materialistycznym podejściu do życia. Dziewczęta nigdy nie wychodziły bez czyjejś opieki, każdy młody człowiek, który zaczął bywać w domu, musiał przejść wstępne badania dotyczące jego rodziny i perspektyw na przyszłość. Kiedy Kolie przedstawił im Karola, ten musiał wywijać się od pytań, na które nie mógł szczerze odpowiedzieć, a do wielu rzeczy nie chciał się przyznać od razu podczas tego pierwszego spotkania — na przykład do tego, jak wyglądała sytuacja finansowa jego ojca. Szczupły, nerwowy, żywy — nie zrobił dobrego wrażenia na pani Beadnell. Kiedy zaś minęło pierwsze onieśmienie, zaczął mówić zbyt wiele, powtarzał za dużo dowcipów i dykteryjek z sądów i opowiadał je w zbyt teatralny sposób, zresztą naśladowując głosy poszczególnych mówców, wobec czego pani Beadnell uznała, że jest hałaśliwy, dziwaczny, nie można więc go uważać za człowieka godnego szacunku. Traktowała go lekceważąco i wyrażała się o jego rodzinie z pogardą — nieszczęście jednak już się stało.

Karol spojrział na Marię — i natychmiast zakochał się w niej jak szalony.

Była starsza od niego o blisko rok — mała, figlarna, głupiutka istota, która najbardziej lubiła wygrywać jednego ze swych wielbicieli przeciwko drugiemu, a sama siedzieć i z uciechą przyglądać się ich porażce. Wymyślała też najrozmaitsze romantyczne opowieści, by zabawić swe przyjaciółki. Trudno byłoby doszukać się w niej serca, a już najmniej miała go dla Karola, dowiodła też, że ma podły, złośliwy charakter. Bardzo jej imponował oryginalny sposób mówienia chłopca, lecz jego szalone uczucie, które zbyt szczerze jej okazywał, śmieszyło ją niesłychanie. Robiła z niego wariata i bawiła się tym — ale on kochał ją mimo to dalej z całą młodzieńczą pasją. Myślał o niej w dzień i w noc. Przychodził ciągle w okolice jej domu w nadziei, że może uda mu się choć rzucić na nią okiem. Wałęsał się tam nawet w nocy, wpatrując się w jej okna i marząc o jakichś niestworzonych głupstwach — co oczywiście doprowadzało ją do jeszcze większego śmiechu.

Pierwsza miłość gwałtownie wyrwała go z ostatniej fazy chłopięctwa i Karol ponuro stwierdził, że rodzice Marii traktują go lekceważąco, ona zaś drwi z niego. Postanowił więc szybko zdobyć pozycję, która kazałaby im przyjąć go z radością i szacunkiem. Nie śniły mu się takie szczyty sławy, jakie w rzeczywistości osiągnął, nie widział jednak przeszkód w zdobyciu pozycji chociażby Kollego czy też narzeczonego Margaret. Uważał, że i tak dobrze się sprawił rezygnując z zawodu kancelisty i zdobywając sobie pozycję w Doctors' Commons, lecz ambicje jego nie kończyły się na stanowisku wziętego stenografa. Jeśli nie wystarczało to Beadnellom, gotów był na jeszcze bardziej kateryczne pociągnięcie. Nie było w zwyczaju Karola czekać, co mu los przyniesie — zbyt dobrze poznał na przykładzie własnego ojca, co daje taka postawa życiowa. On sam ten los stworzył, a teraz ambicja jego dostała mocną ostrogę.

Niewiele wiedział o życiu prowadzonym w szacownym, bezpiecznym domu, gdzie nie trzeba się martwić o długi, lichwiarzy i wierzycieli, toteż solidny komfort, jaki oglądał u Beadnellów, musiał go ogromnie pociągać. Maria żyła w otoczeniu pewnym i bezpiecznym. Prawdopodobnie Karol nie widział jej nigdy taką, jaką była naprawdę. Słuchał gry siostr — Maria grała na harfie, robiąc wdzięczne minki — a jemu wydawało się to wprost urzekające. Była zwykłą kokietką. Miała malutkiego psa — tego właśnie psa opisał później jako ulubieńca Dory w „Dawidzie Copperfieldzie”. Używała go, podobnie jak Dora, jako osłony. Konwenanse wy

magaly, by rodzice Marii i Karola wymienili wizyty. Trudno przypuścić, by mieszkańcy City szybko nie rozszyfrowali osoby Johna Dickensa oraz sposobu, w jaki pani Dickens prowadziła dom. To wystarczyło, by pani Beadnell wiedziała już wszystko, co chciała wiedzieć o warunkach materialnych tej rodziny. Upewniła się teraz prawdopodobnie, że miała rację nie pozwalając, by między jej córką a ich synem rozwinęło się poważniejsze uczucie. Pozwalała Karolowi przychodzić do domu, lecz okrutnie jasno dawała mu do zrozumienia, że nigdy nie zostanie uznany za odpowiedniego kandydata do ręki panny Beadnell. Być może nie pozwolono by mu nawet przychodzić do domu, gdyby nie to, że był duszą zbierającego się tam towarzystwa. Opisał jedno z tych przyjęć u Beadnellów w długim wierszu pod tytułem „Jadłospis”. Scharakteryzował zebrane tam osoby, określając je nazwami różnych potraw, skończył zaś epitafiami. Pan Beadnell był „smakowitą ćwiartką wołową”, jego żona „znakomitym żeberkiem tego samego gatunku”, Maria zaś i Anna „dwie- ma małymi, miłymi kacuzkami w doskonałej przyprawie”. Jeśli zaś chodzi o niego samego, był „młodym głąbem kapuścianym”, ponieważ stracił rozum „rok temu w maju”. Dziewczęta przełknęły wiersz ze śmiechem, lecz nie wiadomo, jak się on spodobał rodzicom.

Teraz, pragnąc dowieść, co potrafi, Karol zaczął poważnie myśleć o swojej karierze. Ma dziewiętnaście lat i na następne urodziny będzie mógł ewentualnie zostać przyjęty do pracy jako reporter w Izbie Gmin. Wydawało mu się, że to jest ogromny krok na drodze do sukcesów, ale czy to aby wystarczy Beadnellom? Ogromnie się bał utracić Marię i marzył, by zrobić coś, co wszystkich zadziwi. W teatrze można sobie wyrobić nazwisko w przeciągu jednego wieczoru. Czyżby sama pani Beadnell mogła mu być nadal przeciwna, gdyby się wykazał sławą, pozycją i pieniędzmi?

Tak sobie myśląc, zebrał całą odwagę i napisał list do inspicjenta teatru Convent Garden, niejakiego pana Bartleya, prosząc o przyjęcie. Opisał to zdarzenie później w liście do Forstera:

„Napisałem do Bartleya podając mu, ile mam lat i co w moim pojęciu mógłbym zrobić oraz że mam chyba duże wyczucie charakteru i oryginalności i wrodzony dar odtwarzania cech, które zaobserwowałem u innych ludzi. Pamiętam, że pisałem ten list w małej kancelarii, jaką miałem w Doctors' Commons, dokąd też przyszła odpowiedź.

Musiało być w moim liście coś, co uderzyło zarząd teatru, bo Bartley odpowiedział mi prawie natychmiast — pisał, że mają teraz du

zo zajęcia z przygotowaniem »Garbusa«, ale że skomunikuje się ze mną w ciągu dwóch tygodni.

Dokładnie w tym czasie przyszedł następny list, naznaczający mi dzień spotkania w teatrze z Bartleyem i Karolem Kemble; miałem odegrać przed nimi coś z Mathera. Dopuszcili moją siostrę Fanny do tajemnicy miała iść ze mną i zagrać piosenki.

Kiedy jednak nadszedł ów dzień, leżałem okropnie przeziębiony, z zapalnym obrzękiem twarzy. Sam widzisz, jak -mało brakowało, by życie moje potoczyło się zupełnie inaczej". Był to śmiały krok i Karol musiał być nieprzytomny z podniecenia, czekając na umówiony dzień. Czy mądrze było przekreślać wszystkie dotychczasowe wysiłki, zaczynać od nowa z pustką w kieszeni, bez żadnego poparcia, mając za jedyną pomoc własne ambicje i ślełą wiarę w samego siebie? Łatwo też zrozumieć, że kiedy przyszedł ów fatalny dzień, Karol źle się poczuł i nie mógł się stawić na umówiony termin. Miał możliwość uzyskania jeszcze jednego spotkania, ale nie wykorzystał jej i pozwolił sprawie umrzeć naturalną śmiercią. Nim zdecydował się ostatecznie, do czego ma największe zdolności, otworzyły się przed nim inne perspektywy: nadarzyła się upragniona sposobność dostania się na galerię Izby Gmin

w charakterze reportera gazety „The True Sun". Wykorzystał tę sposobność i wszystkie wysiłki skupił na zdobyciu sobie pozycji w nowej pracy, którą zaczął w marcu, mając w perspektywie przerwę wielkanocną Parlamentu, a co za tym idzie, cztery czy pięć tygodni bez płacy. Był jednak na to przygotowany i zatrzymał swoją izdebkę w Doctors' Commons, gdzie pracował rankami, ponieważ praca w Parlamencie zaczynała się dopiero po południu.

Rozdział siódmy REPORTAŻE Z IZBY GMIN

Kiedy Karol układał swój intensywny plan zajęć, zdawał sobie dobrze sprawę, że będzie mógł widywać Marię tylko podczas weekendów, pogodził się z tym jednak w nadziei, że przyjdzie czas, kiedy pozwolą mu się z nią ożenić. Ale pani Beadnell wybrała tę chwilę na to, by wydać córkę do Paryża. Maria była zachwycona; sądziła, że jej wyjazd bez uprzedzenia i pożegnania to świetny dowcip. Karol nie mógł wprost uwierzyć, że jest do tego zdolna; poszedł do Kollego, by wylać przed nim swe żale i szukać pocieszenia. Kolie, zaręczony z Anną, wiedział o wszystkim, co się działo u Beadnellów, ale w tej sprawie musiał im być prawdopodobnie przyrzec milczenie. Nie chciał również ranić uczuć przyjaciela, mówiąc mu w oczy nagą, przykrą prawdę. Karol jednak nie dawał za wygraną. Rzucił się w wir pracy z jeszcze większą niż dotychczas zawziętością, postanawiając pokazać Beadnellom, z jakiej jest gliny ule

piony. Nie szczędził sił i chwycił każdą nadarzającą się sposobność. Był to ogromny wysiłek fizyczny, lecz Karol stawiał już pierwsze kroki na drodze do zrobienia kariery.

Nie świtało mu jeszcze w głowie, że mógłby zostać pisarzem, gdyby jednak rozmyślnie szukał doświadczeń, przydatnych później w karierze pisarskiej, trudno by mu było znaleźć bardziej owocne przeżycia niż te, które wyniósł z Sądów w Doctors' Commons czy z Izby Gmin. Debaty w Parlamencie pozwoliły mu na szczegółowe poznanie warunków, w jakich żyli ludzie biedni, były to bowiem czasy, kiedy wszędzie naokoło rodziły się idee rewolucyjne, a dążenie do reform zarówno społecznych, jak i politycznych osiągało szczytowe napięcie. Karol zdążył dostać się jako reporter na galerię Izby Gmin właśnie na czas, by usłyszeć jeden z największych programów reform, jakich kiedykolwiek dokonała jakaś partia w Anglii w tak krótkim okresie. U władzy była wówczas partia wigów pod kierownictwem lorda Greya, a reforma wyborcza 1832 roku znajdowała się w ostatniej swojej fazie. W dwa lata później, po rezygnacji lorda Greya, zrewidowano stary system „prawa ubogich”, zniesiono niewolnictwo w dominiach brytyjskich i ustalono pierwsze naprawdę skuteczne prawa fabryczne, włączając w to ustawę o dzieciach, która głosiła, że dzieciom poniżej dziewięciu lat nie wolno pracować

w fabrykach i kopalniach, a dzieci zatrudnione tam w wieku od dziewięciu do trzynastu lat muszą przynajmniej przez dwie godziny dziennie uczyć się w szkole. Również po raz pierwszy w historii Anglii państwo zaczęło dawać fundusze na szkolnictwo.

„The True Sun” było gazetą radykałów. Kosztowało siedem pensów (z czego pięć pensów szło na podatek), a każdy przedsiębiorczy woźnica pocztowy, który wywoził egzemplarze na wieś, mógł być pewny, że je sprzeda po podwójnej cenie. Głód wiadomości był niesłychany, przez „wiadomości” zaś rozumiano przede wszystkim wiadomości polityczne, a nie sportowe, sądowe czy zwykłe plotki. Mimo to nie można było zrobić na gazecie wielkich pieniędzy, tak że właściciele pism wydawali je, licząc jedynie na zdobycie sobie tą drogą wpływów politycznych. Większość bowiem społeczeństwa nie umiała czytać i pisać, wobec czego czytano gazety na głos w gospodach, zajazdach i wszędzie, gdzie się zbierali ludzie łaknący wiadomości — w ten sposób jeden egzemplarz mógł obsłużyć większą ilość publiczności.

Ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że nieumiejętność czytania jest dla nich poważnym obciążeniem; na północy Anglii zaczęto otwierać instytuty techniczne, w których prowadzono kursy wieczorowe i gdzie tłumnie gromadzili się robotnicy. Były to początki szkolnictwa powszechnego — istniało już dwanaście tysięcy szkół państwowych.

Karol chciał zostać korespondentem politycznym Izby Gmin częściowo dlatego, że był to jeden z najpoważniejszych nowych zawodów tej epoki. Prawnie od 1770 roku pozwalano publikować sprawozdania z obrad w Izbie Gmin, zarówno jednak politycy z partii wigów, jak i torysów tak byli temu niechętni, że już sam fakt, iż było się jednym z niewielu odpowiedzialnych, dopuszczonych do Izby dla dokonywania sprawozdań, miał w sobie coś podniecającego. Wobec takiej opozycji wyższych czynników gazety w rodzaju „Mirror of Parliament” wuja Karola poszukiwały najlepszych reporterów. (Reporterzy Hansarda muszą dzisiaj osiągnąć dwieście stenogramowanych słów na minutę, mieć doskonały słuch i świetnie orientować się w procedurze parlamentarnej i w sprawach publicznych).

Jak niezwykle ważna była rzetelność tych sprawozdań — tego dowiodła sprawa Daniela O'Connel, „wyzwoliciele Irlandii”, który narzekał nieustannie na fałszowanie sprawozdań prasowych. Wreszcie zajęli się tym reporterzy „Timesa” i wysłali do swego redaktora zbiorową petycję, oświadczając, że nie będą więcej robić sprawozdań z mów O'Conella, dopóki ten nie wycofa oskarżenia. Stanęli za nimi wszyscy koledzy z galerii prasowej, a bojkot tak dał się

Izbie we znaki, że Irlandczyk musiał się ugiąć i przyznać, że nie miał racji.

Inny wypadek zdarzył się, kiedy Karol otrzymał pracę w piśmie swego wuja. Panowało wtedy pewne napięcie, którego źródłem była sprawa czynszów i dziesięcin w Irlandii; lord Stanley, odpowiedzialny za sprawy irlandzkie, wygłosił w Izbie Gmin długą, wielkiej wagi mowę o polityce rządu. W wypadkach kiedy wiadomo było, że mowa będzie długa, reporterzy dzielili się pracą, stenografując po kolei; jedna zmiana trwała trzy kwadransy. Karol miał pracować podczas pierwszej zmiany i — tak się złożyło — podczas ostatniej. Następnego ranka pan Barrow otrzymał, ku swemu przerażeniu, skargę lorda Stanleya, że reportaż w „The Mirror” jest bardzo nieścisły, z wyjątkiem początku i końca; lord Stanley, zażądał, by wydawca natychmiast przysłał odpowiedzialnego reportera, który by z jego własnych ust spisał jak najdokładniej stenogram całej mowy. Gdyby taki poprzekręcany tekst przemówienia dotarł do Irlandii, mógłby wyrządzić nieopisane szkody.

Karol udał się do Carlton House Terrace z uczuciem zadowolenia, lecz i z pewnym zderwowaniem. Wprowadzono go do wielkiego pokoju, zasypanego porannymi gazetami. Karol czekając zaczął przeglądać niektóre z leżących na stole gazet i czytać sprawozdania innych reporterów z wczorajszego przemówienia.

Nagle lord Stanley wsadził głowę w drzwi i kasznięciem dał do zrozumienia, że spodziewał się tu zastać pana, który wczorajszego wieczoru robił sprawozdanie z części jego mowy. Wyraźnie uważał, że Karol jest za młody, by mógł być tą właśnie osobą; kiedy jednak upewniono go, że to właśnie ten, a nie inny reporter, lord Stanley zaczął natychmiast dyktować, chodząc po pokoju i gestykulując, jakby przemawiał do Izby. Przyłączył się do nich James Graham, który pracował z lordem Stanleyem i teraz przysłuchiwał się każdemu jego słowu, trzymając w ręku jedną z gazet i czasem coś poprawiając. Ołówek Karola fruwał. Kiedy nowy reportaż wysłano mówcy do przejrzania, lord Stanley napisał liścik z ciepłym podziękowaniem i nawet pan Barrow wyraził Karolowi swoje uznanie.

Ten wypadek był bezsprzecznie dla Karola przyjemny. Młodzieniec zastanawiał się, czy nie mógłby wykorzystać sytuacji, nim jego nazwisko pójdzie w zapomnienie, napisał więc do prywatnego sekretarza lorda Stanleya, pytając, czy ten ostatni nie mógłby mu pomóc w zdobyciu jakiejś dodatkowej pracy reporterskiej podczas wakacji Parlamentu. List ten zachował się po dziś dzień, z adnotacją ołówkiem u góry dla piszącego odpowiedź: „Wątpliwe, czy będzie sposobność — gdyby tak, zarekomenduję bez wahania”.

Zycie na galerii reporterskiej wydawało się

Johnowi Dickensowi bardzo przyjemne, a i Karol lubił towarzystwo swoich kolegów-reporterów. Sam był również bardzo lubiany, zawsze skromny, raczej cichy, sumienny, zawsze tam, gdzie go potrzebowano, tak że wkrótce przylgnęło do niego serdeczne przezwisko: „wierny stenograf”. Stwierdził, że zarówno tu, jak i w Doctors' Commons może przysłuchiwać się wszystkiemu krytycznie, co wcale nie wpływa ujemnie na dokładność jego stenogramów. W Parlamencie zaś ogarniała go taka sama złość i oburzenie jak podczas przewodów sądowych. Nienawistny mu był brak wszelkich uczuć i jaskrawa nieuczciwość niektórych słynnych mówców.

Wysłuchał na galerii całego sprawozdania Komisji Królewskiej, która badała skutki działania startego prawa ubogich, i zdawał sobie sprawę, że te suche sprawozdania niewielkie dają wyobrażenie o cierpieniach, jakie ludziom wyrządziło to prawo, czy o tym, jak głęboko raniło dumę i godność biednych. Jego współczucie dla szarego człowieka zrodziło się w Sądach, teraz zaś Karol stał się szermierzem sprawy biedoty, bo wszystko, co słyszał w Parlamencie, umacniało go w tej postawie. Głęboko poruszył go również O'Connell, kiedy opisywał warunki, jakie w Irlandii były jednym ze źródeł wystąpień przeciwko dziesięcinie; czasem, kiedy słuchał i spisywał mowy, oślepiały go łzy i wstrzą

sał nim .szloch. Nie potrafił przysłuchiwać się temu obojętnie i odczuwał cierpienia innych prawie tak, jakby to były jego własne. Przez całe życie reagował w ten sposób na biedę i poniżenie. „Takim byłbym i ja, gdyby nie łaska Boska” *.

W Izbie Gmin wysłuchał najróżniejszych mów lorda Wellingtona, Gladstone'a, Macaulaya, lorda Johna Russella i Cobbeta. Z tych wszystkich najbardziej podziwiał lorda Russella sądząc, że wart jest naśladowania i — jak się później okaże — rzeczywiście poszedł jego śladem.

Ponieważ reporterów niechętnym okiem widziano w Izbie Gmin, nie mieli żadnych urządzeń udogadniających im pracę. Nie istniała taka jak dzisiaj galeria dla prasy. Reporterzy musieli po prostu korzystać z pozwoleń zajmowania tylnych rzędów w galerii dla publiczności. Nie mieli pulpitów, światło było bardzo złe. Często nie mogli nawet dosłyszeć tego, co się mówi na dole, w Izbie.

Karol opisał te warunki w mowie, którą wygłosił na obiedzie prasowym, kiedy już od dawna był sławny.

— Zdarłem sobie kolana — powiedział wówczas słuchaczom — pisząc na nich w starych,

tylnych ławkach starej galerii starej Izby Gmin. Zdarłem sobie nogi stojąc i pisząc w idiotycznej zagrodzie w starej Izbie Lordów, gdzie byliśmy stłoczeni jak stado owiec.

Praca jego dla „The True Sun” zaczęła się w marcu 1832 roku. Tego roku, pod koniec sesji letniej, mając przed sobą trzy długie miesiące bez pracy i płacy, poszedł do wuja, chcąc sprawdzić, czy ten nie mógłby mu pomóc. Karol wiedział dobrze, iż „The Mirror of Parliament” również nie wychodzi w czasie wakacji parlamentarnych, ponieważ zawiera tylko sprawozdania z debat, pragnął jednak dostać tam jakieś zajęcie, aby potem, jako jeden z „ludzi pana Barrow”, móc liczyć na to, że go zatrudnią pomiędzy sesjami Parlamentu przy stenografowaniu mów posłów wygłaszanych w ich okręgach wyborczych lub gdzie indziej. Jego zarobki wciąż jeszcze wyglądały skromnie i niepewnie, ale widać było, że chłopak daje sobie radę — nawet wuj musiał to zauważyć.

Pan Barrow nie był człowiekiem ujmującym i serdecznym, lecz białutkim, zasuszonym i pompatycznym jegomościem — pierwowzorem pana Spenlowe w „Dawidzie Copperfieldzie”, bardzo do niego podobnym. Karol nie miał dla niego wielkiego uznania, a i pan Barrow był ostrożny w stosunku do siostrzeńca, nie chcąc się narażać na nowe próby zaciągania pożyczek ze strony swej siostry i szwagra. Niewątpliwie rodzice Karola więcej mu przynosili kłopotów niż zaszczytu z ich wiecznymi długami i prośbami o pożyczki, których nigdy nie spłacali.

W czerwcu wróciła z Francji Maria Beadnell i zaczęła po kryjomu korespondować z Karolem dzięki pomocy usłużnego Kolie. Młodzi ludzie przemawiali nawzajem do siebie pretensjonalnymi wyrażeniami z tanich powieści. Nawet załączone listy* Karola do Kollego były niesłychanie sztuczne: „Miałbym doprawdy pewne uczucie niepokoju, prosząc cię znowu o doręczenie załączonego tu listu pod wskazanym adresem, gdyby nie dwie przyczyny — pisał. — Przede wszystkim znasz tak dokładnie moją obecną sytuację, że musisz świetnie zdawać sobie sprawę, jaka jest ogólna tego listu natura, a po drugie, nie napisałbym go, a przekazałbym ustnie jego treść, gdyby nie to, że nie miał zeszłego wieczoru sposobności zatrzymać starszego pana jak najdłużej z dala od nas. Bądź łaskaw dołączyć do tej przesyłki prośbę, by panna Beadnell przeczytała ją tylko wtedy, gdy w całkowitej znajdzie się samotności”.

Maria była, jak dawniej, bez serca, on, jak dawniej, zakochany po uszy. Nocami, gdy kończyły się debaty w izbie, a Karol przepisał już swój reportaż dla drukarzy i oddał go w kancelarii swego pisma, często szedł w kierunku Lombard Street. Tam wczesnym letnim świtem spoglądał w okna pokoju, w którym spała jego

ukochana, i wzdychał rozpaczliwie. Po śniadaniu włóczył się w okolicy jej domu w nadziei, że ją choćby na chwilę zobaczy. Kiedyś poszczyło mu się i wpadł na nią, Annę i matkę, płynące w zielonych, wełnianych pelerynach po Cornhill. Zatrzymał je jednym ze swych najpiękniejszych ukłonów i zaofiarował się eskortować panie, co acz niechętnie, powstało jednak przyjęte. Szły właśnie do krawcowej na St. Mary's Axe, a dziewczęta świergotały, mimo surowej miny matki, figlarnie i tajemniczo o strojach weselnych. Przed drzwiami zakładu pani Beadnell kazała wracać Karolowi do swoich spraw, mówiąc doń z wyraźnym chłodem:

— A teraz, panie Dickin, my powiemy panu do widzenia. — Przy tym umyślnie przekreślała jego nazwisko, był to bowiem jeden z jej sposobów studzenia zapałów młodego człowieka. Drzwi sklepu otworzyły się, a on został patrząc na odwrócone odeń plecy.

A jednak — „zaledwie wróciłem do City — pisał w długi czas potem — poszedłem przez stare podwórze na tyłach Mansion House i wyszedłem na róg Lombard Street” — a więc na róg, na którym mieszkali Beadnellowie.

Tej jesieni „The True Sun” zaczęło podupadać, toteż Karol złożył tam rezygnację i pracował już tylko dla wuja. Był pewien, że zdobywa grunt pod nogami, i zrobił teraz krok, który zapewne uważał za krok przygotowawczy

90

do małżeństwa. Wynajął sobie mieszkanie na Cecil Street, przy Strandzie, gdzie i Dawid Copperfield przeżywał swe kawalerskie dni; sam Karol jednak nigdy nie zaznał spokoju i poczucia niezależności, jakimi obdarzył Dawida.

Życie płynęło całkiem przyjemnie. Karol przywykł do spacerów niedzielnych na świeżym powietrzu, czasem zapraszał także Kollego, by mu towarzyszył do Hampstead, aby „pojeździć trochę konno”. Wieczory sobotnie spędzał zwykle z rodziną, a pod koniec roku przeniósł się do nich na stałe. Dickensowie znowu zmienili mieszkanie, tym razem na umeblowane pokoje nad sklepem tapicerskim pod numerem osiemnastym na Bentinck Street. Z listów Karola możemy się dowiedzieć, że sam dopilnował, by wszystko było tam gotowe na ich przyjęcie, kominki uprzątnięte, okna umyte i węgiel zwieziony do piwnicy. Musiało to być wygodne mieszkanie, bo wiele się tu odbyło przyjęć i przynajmniej jedno przedstawienie amatorskie na dużą skalę — oczywiście, główną tej ostatniej imprezy spęzyną był Karol: układał poszczególne sceny, dobierał kostiumy, instruował aktorów, no i grał główną rolę. Kolie grał również, ale będąc w ostatniej fazie zaręczyn z Anną, nie mógł myśleć o niczym innym oprócz zbliżającego się dnia ślubu i nie było go nigdy, kiedy potrzebowano go na próbie.

„Cała rodzina ma pełne ręce roboty — gry-

91

zmoili do niego Karol — zespół teatralny w niesłychanym podnieceniu. Dekoracje wykańcza się w pośpiechu, maszyneria w porządku, kurtyna obrębiona, orkiestra skompletowana — a dyrektor jeszcze brudny".

Dzięki pewnemu małemu, złośliwemu figlowi, spletanemu w związku z tym przedstawieniem, doszło do ostatecznego zerwania pomiędzy Karolem a Marią. W ciągu poprzednich tygodni spotkali się raz czy dwa, może dzięki przypadkowi, może umawiając się uprzednio, w każdym razie na pewno bez wiedzy pani Beadnell. Oczywiście było nie do pomyślenia, by Maria mogła brać udział w przedstawieniu czy choćby przyjść je obejrzyć. Prawdopodobnie w największej mierze sobie zawdzięczała, że w sprawie Karola nie była panią własnej woli, a jednak czuła ukłucia zazdrości, że została wyłączona z tak dobrej zabawy. Przyjaciółka jej, która przewracała oczyma do Karola (bez skutku zresztą) na próbach, oświadczyła Marii złośliwie i bez żadnych podstaw, że Karol „zaleca się" do niej, a Maria wybuchnęła natychmiast gniewem i napisała do Karola śmieszny list, oskarżając go, że z nią tylko igrał. Chciała scen, to je miała. Postanowiwszy uwierzyć w najgorsze, szalała, rozpaczała nie chcąc w ogóle go słuchać, wyraźnie upajając się własnym nieszczęściem.

W kilka dni później odbył się ślub jej siostry z Koilem, którego družbą był Karol. Maria unikała go starannie, a natychmiast po ślubie została znowu wysłana do Paryża przez rodziców. Jak za pierwszym razem, tak i teraz nie powiedziała Karolowi słowa o decyzji wyjazdu. Tym razem oznaczało to dla niego koniec. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, by ją nakłonić do wysłuchania głosu rozsądku, i nie mógł sobie nic zarzucić. Przecierpiał niezmiernie całą tę historię. Gorzko wyrzucał przyjacielce Marii złośliwe plotki. Miał pretensję do Fanny o nierozważne słowa. Teraz odsunął to wszystko od siebie, nie jako doświadczenie, za które musiał zapłacić i z którego wyciągnął naukę, ale jako najbardziej gorzkie cierpienie, które musi zagrzebać głęboko, razem ze wspomnieniami z fabryki czernidła — zagrzebać tam, gdzie ich nikt nie dosięgnie. Ani on, ani nikt inny nie powinien już o tym mówić. A jednak nie złamał go ten cios. Nie miał zamiaru się poddawać — minione wypadki dodały tylko sił jego ambicji i dumie. Postanowił uparcie, jak mówił: „jechać dalej — ostro podkuty, jeśli to będzie konieczne, lub lekko podkuty, jeśli to wystarczy — ale jechać dalej

Rozdział ósmy PIERWSZE OPOWIADANIE W DRUKU

Nie ma wątpliwości co do tego, że Karol jechał dalej, i to ostro, nie zważając na własne kłopoty; chcąc jednak zdobyć wewnętrzny spokój, musiał zapełnić czymś pustkę, jaką w jego życiu pozostawiło ostateczne zerwanie z Marią. Marzył o niej, dla niej jedynie robił swoje plany, toteż niełatwo mu było zmienić teraz cel wszystkich swoich myśli. Sądził, że nigdy jej nie zapomni. Byłby urażony i oburzony, gdyby mu kto powiedział, że przyjdzie czas, kiedy nią wzgardzi, lecz musiał natychmiast wykreślić ją z wszystkiego, co się składało na jego codzienne życie, a do tego celu najlepiej mogła posłużyć praca. Rozglądając się uważnie wokoło, usłyszał o nowej możliwości, która bardzo go zafra- powała. Chodziło o „Morning Chronicle” — pismo przejęte przez grupę finansjery wigowskiej, by stworzyć opozycję „Timesa”. To, co się kryło za tym wydarzeniem, wywołało duże zamieszanie w dziennikarskim świątku, a Karol zrozu

niał, że potrzebni będą do tego tylko pracownicy o najwyższych kwalifikacjach.

Jeszcze kilka lat temu „Morning Chronicle” była faktycznie jedynym rywalem „Timesa”, a i dziś miała dobrą reputację, choć straciła grunt pod nogami. Teraz miała być znów przywrócona do życia i wykorzystana jako broń w politycznej walce partii liberalnej.

Sprawa polegała na tym, że rząd był poważnie zaniepokojony atakami „Timesa” przeciwko reformie prawa ubogich, dyskutowanej właśnie w Izbie Gmin. Miała ona położyć kres wszelkim zasiłkom dla ubogich (dotychczas używano funduszy uzyskiwanych z podatków parafialnych na rzecz ubogich na zapomogi dla najmniej zarabiających); zamiast tego proponowano wprowadzenie tzw. „doświadczalnych domów pracy”, co wielu uważało za nieskończenie gorsze. Wydawcą „Timesa” był wówczas sławny Tomasz Barnes, który namiętnie atakował nieludzki stosunek ustawy nie tylko do biedaków w ogóle, lecz szczególnie do kobiet i dzieci. Uważał, iż „zasieje to tylko ziarno wiecznej nienawiści pomiędzy ubogimi a bogatymi”.

Lord Althorp, ze strony rządu, był tak mocno przyciskany do muru, że zaczął przemyśliwać, jak by tu stłumić ów krytyczny głos. Zapytał lorda kanclerza na kartce papieru, czy mają „zadeklarować otwartą wojnę przeciwko »Timesowi[^] czy też załatwić rzecz polubownie”.

Kartka ta, wykradziona z koszyka na śmieci w Izbie Lordów, została przysłana anonimowo na ręce Barnes'a, który z kolei przesłał jej odpis do lorda kanclerza z dopiskiem: „ otwarta wojna czy próba polubownego załatwienia sprawy? Co ten dureń ma na myśli?”

Po tym incydencie musiała już wybuchnąć wojna, a obranym przez rząd narzędziem została „The Morning Chronicle”. Na czele postawiono niezwykle twardego maklera giełdowego. Nazwisko jego brzmiało John Easthope, lecz w gronie dziennikarskim nazwany został Blasthope (stracone nadzieje). Potrzebował najlepszych ludzi, jakich tylko można było wynająć za pieniądze, i gotów był płacić dobrze.

Karol pragnął zwrócić się do Easthope'a bezpośrednio, miał bowiem zaufanie do własnej inteligencji i reputację dobrego pracownika na galerii, toteż poprosił wujka, żeby go przedstawił, lecz pan Barrow jakoś nie bardzo się do tego kwapił. Zamiast tego napisał liścik do człowieka, który w „The Morning Chronicle” był odpowiedzialny za dobór pracowników (Payne Collier), rekomendując nader wstrzemięźliwie swego siostrzeńca jako „niezwykle zdolnego młodego człowieka”. W danych warunkach była to ocena niewysoka, zwłaszcza że Collier pytał o pochodzenie i edukację Karola — a takich pytań Karol bał się najbardziej, wiedział bowiem, że na papierze niewiele ma do zaoferowania. Po głębszym zastanowieniu pan Barrow zgodził się zaprosić Colliera na obiad, by poznał Karola i sam wyrobił sobie o nim zdanie.

Wieczór udał się znakomicie. Karol był we wspaniałym nastroju, wesoły, zajmujący, rozmowny. Namówiono go, by zaśpiewał jakieś zabawne piosenki, które udały się wybornie, i Collier wrócił zadowolony, że może poprzeć podanie młodego Dickensa bez obawy o wprowadzenie Easthope'a w błąd. Tak więc Karol otrzymał nową posadę z pensją pięciu gwinei tygodniowo, płatną przez okrągły rok, z tym, że mógł ją objąć dopiero w lecie 1834 roku.

Przy sposobności powiedzieć należy, że o posadę zastępcy naczelnego redaktora pisma ubiegał się młody człowiek, którego pochodzenie i wykształcenie nie nasuwało najmniejszych wątpliwości — William Makepeace Thackeray — nie udało mu się jednak i wkrótce zaczął pracować w redakcji „Timesa”.

Karol doszedł zapewne do wniosku, że jest teraz na dobrej drodze do zdobycia pozycji w swoim światku, i zaczął się zastanawiać, czy nie udałoby mu się zarobić dodatkowo pisaniem. Wiedział, że potrafi dobrze opowiedzieć jakąś historię, a nawet zachwycić nią słuchaczy, ale czy będzie umiał osiągnąć taką samą żywość na papierze? Wiedział, że w pisaniu nic mu nie będzie wskazówką. Kiedy miał przed sobą audy

torium, poznawał po wyrazach twarzy, czy mówi dobrze, czy źle. Patrząc na białą kartkę papieru i zanurzając pióro w atramencie, czuł się straszliwie niepewny i nieszczęśliwy. Nie pozostawało jednak nic innego, jak tylko spróbować — musi to przecież zrobić każdy pisarz — tak więc Karol pisał i poprawiał, darł z rozpaczą papier i znowu zaczynał od początku, wciąż jednak nie wiedział, czy to, co napisał, jest choćby trochę prawdopodobne, jeszcze mniej, czy ktoś to kupi, a nie mógł znieść myśli, że zrobi z siebie publicznie dumia. Tak więc zachowywał swoje wysiłki w tajemnicy* a kiedy wreszcie wypolerował jedno z opowiadań tak, że był z niego zadowolony, przepisał je najpiękniejszym swoim pismem (nie było wtedy maszyn do pisania) i pewnego wieczoru o zmroku wyszedł, by wrzucić je ukradkiem do skrzynki do listów biura na podwórzu Fleet Street.

Przez długi czas nie słyszał nic o swoim manuskrypcie, lecz zdaje się, że czekał cierpliwie. Wreszcie natknął się na swój utwór w druku, zanim otrzymał choćby słowo od wydawcy. Szedł właśnie na galerię i wstąpił do nowej księgarni, otwartej niedawno na Strandzie, by sprawdzić, czy nie mają tam egzemplarza świątecznego numeru „The New Monthly Magazine”, do którego wysłał był swój utwór. Właśnie zamykano sklep, toteż Karol szybko zapłacił pół korony i poszedł dalej StranDEM w kierunku Whitehall, poprzez gęstniejący zmrok grudniowego popołudnia. Nie zajął do środka, póki nie doszedł do Westminster. Wtedy znalazł wewnątrz swój „Obiad na Poplar Walk”, bez podpisu, lecz na pierwszy rzut oka cudownie upiękaszony godnością, jaką druk daje słowu pisanemu. Karol był podniecony, łzy napłynęły mu do oczu, drżał tak, że minęła dłuższa chwila, nim mógł spotkać się ze swymi kolegami z galerii.

Trudno jest cofnąć się o blisko sto dwadzieścia lat i sprawdzić, jakie wrażenie zrobiła ta opowieść na pierwszych swoich czytelnikach. Z pewnością musiała wydawać się czymś nowym i całkowicie odmiennym od tego, do czego ludzie byli dotychczas przyzwyczajeni; niektórzy uważali ją zapewne za zbyt pospolitą. Technicznie jest jeszcze niedojrzała, lecz postacie są krwiste i prawdziwe, a obraz oddaje nam żywo drobne szczegóły codziennego życia prostych ludzi.

Opowiadanie było ogłoszone anonimowo, chociaż Karol zaopatrzył* je był w pseudonim „Boz” — przezwisko, jakie dał najmłodszemu swemu bratu w żartach, które powstały na tle historii o Mojżeszu w „Plebaniu z Wakefield”. Mojżesz, wymawiany przez nos, został zmieniony na Bojzes i z tego przerodził się w Boza.

Młody autor, rzecz jasna, pragnął się do

wiedzieć, co sądzą jego przyjaciele o tym opowiadaniu, toteż Kolie znalazł pewnego dnia egzemplarz pisma rzucony niedbale w bardzo widocznym miejscu. Karol był pewien, że przez przyjaciela Beadnellowie dowiedzą się w końcu o jego małym sukcesie. Nie trzeba chyba dodawać, że Kolie uważał opowiadanie za coś wspaniałego i chwalił je entuzjastycznie.

Czekając na wiadomość o tym, jaki los spotkał pierwsze jego wysiłki, Karol nie ustawał w pracy i mógł teraz pokazać jeszcze kilka opowiadań temu samemu wydawcy. Pragnąc przede wszystkim zadebiutować jako pisarz, nie wspomniał nawet o tym, że mu nie zapłacono, lecz natychmiast wrzucił sześć następnych opowiadań do skrzynki na listy. Wszystkie zostały przyjęte i, jak pierwsza, opublikowane anonimowo. Ukazywały się w odstępach miesięcznych od grudnia do maja. Przynosiło to Karolowi ogromne zadowolenie, ale czek powiększyłby jeszcze jego satysfakcję. Kolie otrzymał kartkę od niego, gdzie pisze: „Miałem grzeczną rozmowę z redakcją »Monthly«, komplementują mnie, proszą o więcej szkiców, ale są nieco opieszali z omówieniem tego, do czego mi śpieszno”.

Jak się później okazało, nigdy nie dostał ani pensa za żadne ze swoich opowiadań umieszczonych w tym piśmie, jego właściciel bowiem znajdował się w kłopotach finansowych. Wreszcie w sierpniu jedno z opowiadań ukazało się opatrzone podpisem „Boz”. Dla młodzieńca, który bardzo potrzebował pieniędzy, zachęta ta wydała się raczej skromna, wkrótce jednak Karol stwierdził, że dała mu to pewną pozycję w świecie literackim. Szkice jego czytali miarodajni krytycy i niebawem zaczęli dopytywać się o owego „Boza”. Karol pokazał opowiadanie podpisane imieniem „Boz” swojemu nowemu redaktorowi naczelnemu w „The Morning Chronicle”, a ten, dostrzegając w nim talent i nowatorstwo, polecił młodzieńcowi napisać serię szkiców z życia ulic londyńskich. Jak na ironię i te opowiadania nie miały mu przynieść dodatkowych zarobków. Uznane zostały za część jego usług dla pisma, lecz dały mu większy rozgłos niż poprzednie, ogłoszone w „The New Monthly”.

Karol został zaangażowany do „Chronicle” od chwili rozpoczęcia wakacji parlamentarnych — co stanowiło dlań ogromną pomoc finansową. John Black, naczelnny redaktor, był człowiekiem o mocnym kręgosłupie i wielkim sercu; Karol polubił go od pierwszego wejrzenia. Zaprzyjaźnił się również z krytykiem muzycznym, George'em Hogarthem, znanym już dobrze w Szkocji. Czternaścioro jego dzieci z niezwykłą radością witało młodego reportera, kiedy przyjeżdżał do nich z wizytą.

W pierwszym ze swoich nowych szkiców Karol opisał Londyn wczesnym rankiem, przyjazd

produktów na targ Covent Garden wozami, wózkami zaprzężonymi w osły i taczkami, kupno i sprzedaż, tragarzy, kawiarnie, zajazdy, gdzie bladzi i zziębnięci pasażerowie czekają na wczesne dylżanse wśród tłumu przekupniów, wychwalających sprzedawane scyzoryki, notesy, gąbki, komplety karykatur i tak dalej. W drugim szkicu opisał nocne życie małych uliczek, gdzie zjawia się o zmroku sprzedawca racuszków, niosąc na głowie tacę nakrytą bajową płachtą i dzwoni swoim dzwoneczkiem, gdy nadchodzi pora herbaty; gdzie o dziewiątej wieczorem sprzedawca piwa, powłócząc nogami, wyrusza w obchód z lampą na przodzie dwupiętrowej tacy, na której ustawione są kufle; gdzie małe sklepiki żywnościowe otwarte są do jedenastej w nocy, a z wystaw padają blade plamy światła na chodniki przed drzwiami. Ludzie w owych czasach żyli bardziej ekskluzywnie w małych, odrębnych grupkach. W Londynie przynajmniej — bogaci nie mieli pojęcia, jak pospolite życie wiodła klasa średnia, klasa średnia zaś nie wiedziała nic o brudzie i nędzy życia najbiedniejszych. Karol potrafił uchwycić dominujący nastrój codziennego życia raz tej, raz innej grupy ludzi i przenieść go na gorąco na papier, tak by czytelnicy uwierzyli mu czy przynajmniej uznali, że to, co napisał, jest przekonujące. Wzbudziło to duże zaciekawienie

102

■■■

i zapotrzebowanie na twórczość Karola zaczęło rosnąć.

Po raz pierwszy wyjechał z polecenia nowego pisma do Edynburga, by stenografować mowy na obiedzie wydanym na cześć lorda Greya, który miał być mianowany honorowym obywatelem miasta z okazji wycofania się z urzędu premiera. Karol popłynął na północ statkiem wraz ze swym kolegą i przyjacielem, Tomem Beard, i miał przyjemność obserwowania pewnego pasażera, który ryczał ze śmiechu nad jego ostatnim opowiadaniem „Bloomsburski chrzest”.

Do obowiązków reporterskich należało wrócić z wiadomościami, korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji — nie istniał jeszcze wtedy telegraf i nie można było wysłać tekstu naprzód. Podczas pierwszej wyprawy Karol pozwolił, by reporter „Timesa” pobił go o dwadzieścia cztery godziny, co nie poszło „Blastho-pe’owi” w smak. W takich przypadkach zwycięstwo należało do tego, kto lepiej potrafił zorganizować sobie konie w drodze powrotnej. Reporterzy „Timesa” opuścili salę bankietową natychmiast, gdy skończyła się interesująca ich mowa, o północy (w poniedziałek) piętnastego. Jechali karetką pocztową i przybyli do Londynu w środę o szóstej rano. Drukarze stali już przy maszynach, gotowi do natychmiastowej pracy, i tego samego dnia wieczorem egzemplarze gazety znajdowały się w powrotnej drodze

do Edynburga. W piątek o pierwszej w południe były już tam w sprzedaży. Podróż z Edynburga do Londynu w trzydzieści godzin była dużym osiągnięciem; wszystko zależało od tego, czy nie traciło się czasu podczas zmiany koni. Karol dobrze zapamiętał tę naukę i stał się mistrzem zręczności w oszczędzaniu minut dzięki dobremu planowaniu i przemyślności.

Tej jesieni obie Izby Parlamentu zostały zniszczone przez pożar. Dickens zawsze lubił o tym opowiadać, ilustrując w ten sposób straszliwe ówczesne niedołęstwo i biurokrację.

Budynki Sądu znajdowały się wówczas na zachód od Westminster Hall, między nimi zaś leżał Court of the Exchequer *, gdzie od setek lat gromadzono rachunki robione prymitywną metodą nacięć na kijak, takich jak owe, które obejrzeć można w muzeum mieszczącym się w Krypcie Westminster Abbey. W czasie panowania Jerzego III wpłynął wniosek, aby je zastąpić księgami, lecz minęło pięćdziesiąt lat, nim wniosek ten przyjęto, a suche, rozsypujące się, podobne do szkolnych linijek kije wiązowe ciągle jeszcze uważane były za „tajne” materiały, ponieważ przedstawiały oficjalne sprawozdania i wyrażały sumy dochodów. Z tego względu nie można się ich było pozbyć i zużyć choćby na opał dla ubogich, toteż trzymano ich tysiące w stertach w pomieszczeniach używanych na składy, gdzie zajmowały masę miejsca, wysychały i z każdym dniem stawały się coraz bardziej łatwopalne. Wreszcie na jesieni 1834 roku ktoś rozpałił z nich ognisko w piecu pod Izbą Lordów. Buchnęły jak oblane naftą, a płomień rozsadziły piec. Nie można już było opanować ognia. Drewniane boazerie pokojów na górze zaczęły dymić, potem strzeliły płomieniami. Szybko to zauważono i zadzwoniono na alarm — natychmiast skierowano biegiem oddział gwardii, by się z pożarem uporał. Żołnierze zgasiliby prawdopodobnie ogień, zanim wyrządziłby większe szkody, gdyby nie zatrzymał ich po drodze oficer, który miał zastrzeżenia, ponieważ oddziałowi nie towarzyszyła przepisowa liczba saperów. Nim mu wszystko wytłumaczono i żołnierzom pozwolono gasić pożar, ogień tak się już rozprzestrzenił, że obie izby padły pastwą płomieni, a historyczna Kaplica Sw. Stefana, gdzie od 1547 roku zbierała się Izba Gmin, została całkowicie zniszczona.

Po kilku miesiącach mieszkania z resztą rodziny na Bentinck Street, Karol zapragnął znowu własnego kąta, gdzie mógłby w spokoju myśleć | pisać i gdzie układ domowy odpowiadałby

jego nieregularnym godzinom pracy. Pragnął również znaleźć się poza zasięgiem ustawicznych próśb ojca o pożyczkę, które stawały się nie do zniesienia, kiedy Karolowi często brakło pieniędzy na własne, codzienne wydatki. Z listów jego wynika, że ciągle musiał pożyczać małe sumki, by „dotrwać jakoś” do dnia wypłaty. Wszystko to działo się wbrew jego chęciom i dla młodego człowieka z ambicjami musiało być nader przykre. Zaczął więc tęsknić za własnym domem i przemyślał o mieszkaniu umeblowanym według własnego gustu w wybudowanym niedawno FurnivaFs Inn, lecz jeszcze raz sprawy ojca nie pozwoliły mu urzeczywistnić planów. Jeden z licznej armii wierzycieli pana Dickensa stracił wreszcie cierpliwość, a dłużnik, choć wyslizgiwał mu się sprytnie jak zwykle, tym razem nie okazał się odpowiednio przezorny. Pewnego wieczoru wyszedł wraz ze swym dwunastoletnim synem, by wyłudzić trochę pieniędzy, a gdy mu się to nie udało, wysłał chłopca samego do domu. Wiedząc, „jak znakomicie ojciec potrafi zniknąć, kiedy coś się źle dzieje”, Karol nie zaniepokoił się tym, następnego dnia jednak pan Dickens został aresztowany i zabrany do „gąbczanego domu” na Cursitor Street; mieścił się tam tymczasowy areszt dla dłużników, gdzie komornicy próbowali wydusić z nich zapłatę jak z gąbki.

Tom Mitton, znajomy z okresu pracy w Gray's

Inn, okazał się w tym wpadku wielką pomocą dla Dickensów — Karol napisał do niego kilka listów, przedstawiając sytuację ojca. W jednym prosił go, by „poszedł do Slomana na Cursitor Street i sprawdził, czy nie dałoby się czegoś zrobić”. W innym pisał: „Muszę pracować dziś rano, ale powiedz mu, proszę, że będę u niego o szóstej. Obawiam się, że to skomplikowana sprawa, i doprawdy, nie mam pojęcia, jak wielkie są inne jego kłopoty”.

W tym właśnie sęk. Choć poszczególne długi składały się z drobnych sumek, było ich tyle, że sam pan Dickens nie miał pojęcia, ile może wynosić całość, w każdej zaś chwili jeden z tych długów mógł doprowadzić do nowej katastrofy.

Karol, jak obiecał, poszedł do Slomana i dał ojcu na pokrycie wydatków pięć funtów, które sam w tym celu pożyczył, potem pobiegł jak szalony, by złapać nocną karetkę pocztową do Birmingham, gdzie miał stenografować mowę dla swojego pisma. Po powrocie pisał do Toma Bearda: „Przyjechałem dziś rano o siódmej z Birmingham i siedziałem w redakcji do dziesiątej, robiąc korektę do drugiego wydania. Jestem, jak się możesz domyślić, zupełnie wykończony, bom musiał zrobić cztery kolumny w tyle samo godzin, zanim opuściłem miasto brudu, hut, radykałów i wyrobów żelaznych...” „Matka moja — pisze dalej — pragnie, byś ty i twoja

siostra znał prawdziwy obraz jej sytuacji. Sprawa wygląda po prostu tak, że przynajmniej na pewien okres musimy się wszyscy rozdzielić. Przypuszczam, że mój ojciec nie połączy się z rodziną przez jakiś czas. Moja matka i dwie siostry" — jak również najmłodszy bracia, Alfred i August — „zamieszkają w najbliższym sąsiedztwie obecnej naszej siedziby. Ja zabieram Fryderyka" — miał wtedy około czternastu lat — „by kształcić go i opiekować się nim najlepiej jak tylko potrafię, i przenoszę się do pokojów w Furnivals' Inn".

„Nie jest to wszystko wielką tajemnicą i być może, nie bardzo cię zdziwi. Kończę tę ponurą epistołę dodając tylko, iż po wielu trudach i niepokojach wydaje mi się, że do spółki z pewnym naszym przyjacielem zdołałem ułożyć wszystko tak, jak w tych warunkach można było najlepiej. Zresztą więcej mamy powodu do zadowolenia niż do rozpacz, a jeśli o mnie idzie, postanowiłem widzieć wszystko w tak różowym świetle, jak to tylko możliwe".

Tak więc rodzina rozdzieliła się, a obowiązek utrzymywania jej przeszedł przede wszystkim na Karola i Fanny. Karol wynajął już pokoje w Furnival's Inn, teraz jednak wprowadził się do nich, nie mając pieniędzy nawet na najpotrzebniejsze meble, a „oblewanie", jakim miał uczcić tę okazję, było oczywiście niemożliwe. Tak się złożyło, że właśnie w tym fatalnym

108

okresie przyjechał doń pewien dziennikarz amerykański, by zrobić wywiad ze świetnie zapowiadającym się młodym pisarzem, znanym pod pseudonimem „Boz". Karol sam otworzył gościowi drzwi słysząc dzwonek i stał tak, jak później ów dziennikarz opisał, „w znoszonym, zapiętym pod szyję surducie biuralisty". Odsunął się na bok, wpuszczając gościa, a Amerykanin rozejrzał się chłodno, po „ponurym pokoju bez dywanu", gdzie, jak stwierdził, znajdowały się jedynie: „sosnowy stół, dwa czy trzy krzesła, kilka książek, jakiś mały chłopczyk oraz — pan Dickens".

Była to przykra chwila; Karol niezręcznie przeprosił gościa, wpadł do innego pokoju i jak najszybciej przebrał się w porządne ubranie. Przykro mu było, gdy wrócił, spotkać protekcyjnalne spojrzenie gościa, który tak wyraźnie gardził jego biedą i który powiedział mu ostro:

■— Mój przyjacielu, gdybyś się znajdował w Ameryce z tą twarzą i z tak giętkim¹ piórem, nikt nie potrzebowałby traktować cię z góry.

Pani Dickens błagała głośno i łzawię rodzinę, by znalazła pieniądze na wydobycie męża z rąk władz sądowych, lecz daremnie. John Henry Barrow powiedział jej otwarcie, że nie sięgnie już ani razu do kieszeni dla niej czy dla jej męża, i wykorzystał tę sposobność, by na nieprzyjemny, wiktoriański sposób wymówić im swój dom. Uważał, że Karol powinien stanąć po

109

mm

jego stronie, ze względu na własny interes. Choć jednak Karol nie miał złudzeń co do słabostek i dziwactw własnego ojca i nie znajdował dla nich wytłumaczenia, nie mógł opowiedzieć się przeciwko rodzinie. Zamiast tego oświadczył sztywno wujowi, że drzwi zamknięte przed jego rodzicami muszą pozostać zamknięte również dla niego.

Nikt nie może powiedzieć, by dotychczas los uśmiechał się do Karola Dickensa. To, do czego doszedł, zdobył planową i pilną pracą, lecz mimo wszelkich wysiłków, by zarabiać więcej, nie miał ani pensa w kieszeni dla siebie, a nawet coraz dotkliwiej odczuwał brak pieniędzy. Z drugiej strony, odniósł pewien sukces drukując swe opowiadania i szkice. Dodawał mu przy tym otuchy fakt, że te prace wzbudzają coraz większe zainteresowanie. Trzeba było wszakże dużej wiary, by w takich warunkach uważać siebie za człowieka z przyszłością, on jednak miał tę wiarę i powoli zaczynał rozumieć, że jest zdolny tworzyć to, czego pragną ludzie o wyrobionych sądach — nie tylko pragną, ale co również podziwiają. Tak więc, mimo wszystko, mógł z rosnącą odwagą i zaufaniem we własne siły słuchać dzwonów świętego Pawła, obwieszczających Nowy Rok.

Rozdział dziewiąty PIERWSZY Z WIADOMOŚCIAMI

Zycie reportera było, jak stwierdził Karol, ciężkie i wyczerpujące bez względu na to, czy pracował na galerii Parlamentu, czy wyjeżdżał jako reporter na prowincję. Trudne i wzbudzające wiele sprzeciwów expose złożone przed Izbą zmuszało Parlament do przeciągania sesji długo w noc, kiedy zaś posłowie się rozeszli, reporterzy z galerii musieli jeszcze przepisać stenogramy (chyba że znaleźli na to czas między poszczególnymi zmianami, w czasie stenografowania) i dostarczyć je redakcjom swoich pism. Ludzie odpowiedzialni za dosłowne reportaże musieli ustawicznie natężyć słuch, co w praktyce było bardzo męczące, często też cierpieli na skurcze mięśni dłoni. Choć system pracy na zmiany pozwalał im na przerwy, w których mogli odpocząć, były one jednak tak krótkie, że czasami zdążyli zaledwie rozprężyć ręce. Następny w kolejności reporter musiał być zawsze na miejscu, nim poprzedni skończył,

i musiał notować mowę, nim kolega przestał pisać, bo obawiali się przerw w ciągłości tekstu. Karol pracował zawsze w ogromnym skupieniu. Nie bez przyczyny mówił o nim Tom Beard jako o „najszybszym i najdokładniejszym reporterze na galerii”. Po skończonym posiedzeniu Karol był zawsze w zbyt dużym napięciu nerwowym, by móc zasnąć. Nocne powietrze — a właściwie powietrze wczesnego poranka — działało nań ożywczo. Lubił wałęsać się wtedy po ulicach, patrząc, jak ludzkie męty wysuwają się z cieniów nocy. Patrzył na uśpione kamienice, na żebraków, skulonych na progach domów, na dozorców w ich budkach i nielicznych przechodniów, których spotykał — wszystkich ich obserwował z tym samym dociekliwym zainteresowaniem.

Wydawać by się mogło, że nigdy w czasie tych nocnych włóczęg nie przyszło mu do głowy bać się o własną osobę, a zamiłowanie do nocnych spacerów powiększało się u niego z latami i pozwoliło mu zobaczyć więcej, niżby się innym kiedykolwiek marzyło.

W „The Morning Chronicle” stał się jednym z najbardziej zaufanych reporterów. Wybrano go, by towarzyszył lordowi Johnowi Russel, chyba najzdolniejszemu i najbardziej śmiałemu z wigowskich przywódców, w czasie podróży po kraju. Karol miał robić sprawozdania z jego przemówień. Na szczęście czuł dla tego człowieka szczerze uznanie. Na jego zebraniach temperatura uczuć partyjnych często szła wysoko w górę i Karol był świadkiem dzikich scen podczas kampanii wyborczej.

Pierwsze doświadczenia z wyborów na prowincji przeżywał w początku stycznia, kiedy pojechał jako reporter do Chelmsford na wybory uzupełniające. Opisał w liście do Henry Austina, jak to otrzymał „rozkaz wyjazdu. Nie śmieję się. Jadę (sam) gigiem * i — cytując elegancką zachętę, jaką w Hampsted właściciele tatarsali częstują chętnych do niedzielnej przejażdżki — »dżentelmen powozi sam«. Jadę do Essex i Suffolk. Jestem przekonany, że wylecę z powozu, nim zdążę zapłacić pierwsze rogatek. Mam przecucie, że przejadę komuś jego jedyne dziecko, nim dotrę do Chelmsford”.

W cztery dni później przesłał nowe sprawozdanie ze swych przygód w liście do Toma Bearda. Píše z hotelu „Pod Czarnym Chłopcem” w Chelmsford.

„Ze względu na ślizgawicę na drogach tego ranka, kiedy wyjeżdżałem, zrezygnowałem wielkodusznie z przywileju powożenia gigiem i ukryłem mą godną osobę wewnątrz dyliżansu. Ponieważ wybory tutaj jeszcze się nie rozpoczęły, pojechałem do Colchester. Wczoraj mu

siałem wyruszyć o ósmej rano do Braintree — dwanaście mil — a nie mogąc dostać konia pod siodło, odważyłem się — wierz mi — znowu na gig, a co więcej, przejechałem dwadzieścia cztery mile bez wypadku.

Chciałbym, żebyś mnie mógł widzieć wywijającego się pomiędzy chorągwi, bębnow i emblematów konserwatywnych, przemykającego się wśród jeźdźców i dwukółek, które zapępiały po brzegi każdy placyk, ponieważ na sir Johna Tyrell i Baringa czekały całe procesje. Za każdym razem, gdy koń usłyszał bęben, dawał susa w żywopłot po lewej stronie drogi, a za każdym razem, kiedy go stamtąd wyciągnąłem, skakał w żywopłot po prawej. Ale jak już ruszył, to szedł znakomicie. Kiedy wracałem, droga była pusta i pominawszy taką drobnostkę, jak złamany bat, mogę sobie pochlebić, że całą sprawę załatwiłem jednak z dużą klasą".

W wiele lat później Karol wspominał inne wybory uzupełniające w południowym Devonie, gdzie stenografował dla „Chronicie” mowę lorda Johna. Spisywał ją gdzieś w Exeter, w Cas- tle Yard „podczas ochoczej bójki pomiędzy wszystkimi włóczęgami z tej części hrabstwa i w strugach tak ulewnego deszczu, że dwaj uczynni koledzy, którzy akurat byli wolni, trzymali mi chustkę od nosa nad notatnikiem, na wzór baldachimu podczas kościelnej procesji, by nie zmókł".

Podczas wszystkich tych wyjazdów Karol dobrze pamiętał o nauczce, jaką dostał w Edynburgu, a mianowicie, że musi tak ułożyć podróż powrotną, by zdobyć dla swojej gazety wyróżnienie, jakim jest „najwcześniejsze podanie wiadomości”. W tym doszedł do szczytów umiejętności. Studiował mapy i uczył się dróg, stał się specjalistą od skrótów i znawcą godzin przyjazdów i wyjazdów z wszystkich stacji pocztowych i stajni po drodze. Przeżył wiele nocnych podróży równie podniecających i mrozących krew w żyłach, jak opowieści o szalonych dandysach z epoki Regencji *. W liście do Toma Bearda Karol opisał jedną z nich:

„Nie mam najmniejszych wątpliwości (Bóg łaskaw) co do zwycięstwa naszych koni kurierskich. Na pierwszym odcinku mieliśmy podłe szkapy. W czasie drugiego zmieniłem konie razem z »Timesem«. Oni mieli dwie czy trzy minuty przewagi przy starcie. Przekupiłem grubo chłopców pocztowych i przyjechaliśmy dosłownie łeb w łeb — najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądałem. Na następnym odcinku twój unizony sługa wyprzedził ich, zanim zdążyli zmienić konie”.

„Times” zdobył wówczas dwie minuty przewagi, bo przekupił swojego woźnicę, by ten wjechał do zajazdu w Honiton tylną bramą, co pozwoliło mu niepostrzeżenie zdobyć świeże konie przed karetką „Chronicie”, lecz mimo to Karol przegonił ich bez trudu.

„Mieliśmy o wiele dłuższe sprawozdanie niż jakiegokolwiek inne pismo — pisał z triumfem do Bearda — a cała ta sprawa jest uważana za całkowity i wybitny sukces... uznana za »chlubny czyn« przez »Spectatora« i jeszcze inne pismo niedzielne”.

„Czuję dotkliwie skutki deszczu — pisze dalej. — Jechałem zwykłym dyliżansem, opuściłem Wincanton o dziewiątej w sobotę wieczór i przyjechałem do Londynu o jedenastej wczoraj (w niedzielę) rano. Mam lekkie bóle reumatyczne i jestem kompletnie głuchy.

Co zrobiłeś z moją walizką? Na litość boską, przyślij ją natychmiast, bo nie mam czystej koszuli na zmianę!”.

W tych wyborach lord John przegrał, lecz w najbliższym listopadzie jego kandydatura została znowu zgłoszona w Stroud, a Karol jeszcze raz pojechał pisać sprawozdanie z jego mów. Ustalił, że wyjedzie z miasta rannym dyliżansem, i poprzedniej nocy nie kładł się w ogóle do łóżka. O piątej rano pisał w swym mieszkaniu w Furnival's Inn następujący list:

„Piszę przy świecy, trzęsąc się z zimna i dusząc od dymu.

Ogień, podsycany jak w kotłowni, palił się całą noc, a to z uwagi na moje wczesne śniadanie, lecz teraz, właśnie w chwili kiedy powinienem zagotować kociołek, zmienił się z niewiadomego powodu w biały pył. Moim zdaniem bardzo dziś nieprzyjemny ranek, ale nie mogę tego twierdzić na pewno, bo ogromnie jest mgliście. Moja praczka, astmatyczka, dała nurka do schowka dlatego, przypuszczam, by mnie nie niepokoić swoim kaszlem — i tam zza drzwi wydaje przerywaną serię najbardziej nieziemskich i głuchych dźwięków. Moja sakwa podróżna zdecydowanie odmawia zamknięcia, chociaż została ściągnięta rzemieniem, zapięta na sprzączkę i chociaż na niej stanąłem... I właśnie doszły mnie słuchy, że nie ma dorożek na postoju”.

Przemyślał i ułożył wszystko na każdy przypadek, jaki tylko mógł sobie wyobrazić, i zawiadamił redakcję ze Stroudu: „Wspólnie z »Heraldem« zamówiliśmy konie kurierskie z Malborough do Londynu na wtorek wieczór. Mają przejechać całą odległość z szybkością trzynastu mil na godzinę za sześć gwinei. Połowa została wplacona, lecz dla ubezpieczenia przesyłki resztę dostaną!, kiedy chłopak przyjedzie do redakcji. Jedziemy dzisiaj do Bristolu i jeśli będziemy mieli takie samo szczęście w zdobywaniu koni, to mam nadzieję, że przesyłka znajdzie się w Londynie około siódmej”.

Tom Beard był z nim znowu i „ostro praco

wali razem" nad dobrze zaplanowaną kampanią. „Ponieważ ułożyliśmy, że wszystkie papiery wyjadą z Bristolu w chwili, gdy Russel skończy — pisał do redakcji londyńskiej — jeden z nas pojedzie do Marlborough kareta z jednym z ludzi z »Heralda«, a drugi zostanie w Bristolu z innym reporterem »Heralda«, by zakończyć robotą na ten dzień. „»Times« natomiast zamówił kareta w czwórkę koni na cały dystans, tak że istnieją wszelkie nadzieje, że pobijemy ich na głowę”.

Pisał również do najstarszej córki George'a Hogartha, z którą bardzo się zaprzyjaźnił: „Mam w głowie taki chaos i zamieszanie, jestem tak obłożony mapami i przewodnikami, otoczony woźnicami i chłopakami pocztowymi, że brak mi czasu na wszystko inne, prócz pracy”.

Dickens niewątpliwie znał drogi i zajazdy starej Anglii i był za pan brat z wszelkimi rodzajami wehikułów, jakie można było wynająć po drodze w starych, dobrych czasach dyliżansów. Bardzo sobie tę wiedzę cenił i pisał do swego przyjaciela Fostera w 1845 roku:

„Nie było nigdy nikogo, związanego z jakąś gazetą, kto by w tym samym przeciągu czasu zdobył tyle doświadczeń z końmi kurierskimi i karetkami pocztowymi, co ja. A dla jakich dżentelmenów pracowało się w starej »Morning Post«! Wielkie czy małe wydatki — to nie miało

znaczenia. Płacili mi za to, że na przestrzeni trzydziestu sześciu mil sześć razy wywrócił się z powozem. Płacili za zniszczony płaszcz, obłany woskiem ze świecy, kiedy pisałem reportaż wczesnym świtem w pędzącej dwukonce. Płacili za pięćdziesiąt wszelkiego rodzaju uszkodzeń w ciągu każdej podróży — bez najmniejszej kwestii — takie były na ogół rezultaty szybkości, z jaką jechaliśmy. Płacili za pogniecione kapelusze, zniszczone bagaże, zerwaną uprząż —■ za wszystko, prócz rozbitej głowy — jest to jedyny wyjątek, przy którym ociągaliby się z płaceniem.

Często przepisywałem z moich stenogramów dla drukarza tekst ogromnie ważnych publicznych przemówień, w których wymagana była najściślejsza dokładność i gdzie błąd byłby dla młodego człowieka rzeczą wręcz kompromitującą — przepisywałem na dłoni, przy ciemnym świetle latarni w karetkce pocztowej, zaprzężonej w czwórka koni galopujących przez odludną okolicę, w śmiertelnie głuchą noc z szybkością wówczas zaskakującą — piętnastu mil na godzinę. Doprawdy wydaje mi się, że wywróciłem się z każdego rodzaju pojazdem, znanym w tym kraju. Utknąłem kiedyś na błotnistej bocznej drodze, w nocy tuż przed świtem, czterdzieści czy pięćdziesiąt mil od Londynu w powozie, od którego koła odpadły, ze zmordowanymi śmiertelnie końmi i pijanym woźnicą —

i przyjechałem na czas, by oddać rękopis do druku — zostałem przyjęty słowami uznania, których nigdy nie zapomnę. Powiedział je pan Black w najszczerzym szkockim języku, a płynęły z najszczerzego serca, jakie kiedykolwiek znałem".

W czasie swojej pracy dziennikarskiej Karol był świadkiem haniebných scen podczas wyborów, a jedną, która przejęła go najwyższym niesmakiem, opisał przyjacielowi. Mówił tam o „dzikich świniach, co tarzają się po zajazdach... o kompletnych dzikusach", o „drobnej burdzie, która wczoraj rano o mało się nie zakończyła zabójstwem i rozruchami. Temperatura uczuć partyjnych jest wysoka. Czekam jeszcze na jakąś bijatykę, nim się to wszystko skończy. Ponieważ torysi mają większość w mieście, nie jestem tutaj najlepiej widziany. Czy uwierzysz, że duża grupa uzbrojonych jeźdźców, która szarżowała wczoraj na bezbronny tłum, waląc gdzie popadnie i osłaniając człowieka celującego w tłum z pistoletu — miała na czele duchownego i radców miejskich?!!"

Rozdział dziesiąty

ZARĘCZONY

Cały ten rok Karol pracował ciężko nad swoimi opowiadaniem i szkicami, wykorzystując każdą chwilę wolną od pracy reporterskiej, choć zarobki za to pisanie nie opłacały papieru i piór. Był jednak twardy i nauczył się ostro jeździć po wyboistych drogach. Wiedział, że staje się znany, wciąż jednak ogromnie potrzebował pieniędzy, wobec tego zażądał zapłaty, kiedy mu zaproponowano, by napisał nową serię szkiców dla wieczornego wydania pisma, które otwierali właściciele „The Morning Chronicle". „Niedużo, oczywiście — dodał skromnie — ale coś". Musiało tu chodzić o zasadę, bo nawet wówczas nie zgodzono się na osobną zapłatę za dodatkową pracę. Zamiast tego podniesiono mu pensję o dwie gwineje tygodniowo, co Karol uznał za całkowicie zadowalające. Szkice miały być podpisywane i ilustrowane przez George'a Cruikshanka. Pierwszy z nich ukazał się w pierwszym numerze pisma, wieczorem 31 stycznia 1836 roku.

George Hogarth, ówczesny redaktor „The Evening Chronicle”, wychowywał się w Edynburgu, gdzie otrzymał wykształcenie prawnicze, lecz wkrótce po ślubie zajął się pracą dziennikarską. Kiedy wyrobił sobie nazwisko jako krytyk muzyczny, został sekretarzem pierwszego Festiwalu Muzycznego w Edynburgu i w ten sposób poznał kilku największych szkockich pisarzy i ludzi ze świata artystycznego, między nimi sir Waltera Scotta. Był dumny i szczylił się tym, że jest „przyjacielem i kolegą wielkiego sir Waltera”. Kiedy został redaktorem nowego londyńskiego pisma wieczornego, zamieszkał w Fulham, York Place 18 — musiał to być dom gwarncy i pełny, kiedy znajdowały się w nim wszystkie jego dzieci.

Hogarthowie byli ludźmi prostymi w obejściu i gościnnymi, którzy ogromnie lubili przyjmować gości. Karol bywał tam często, przy czym tak samo lubił bawić się z młodzieżą, jak rozmawiać z rodzicami. Wkrótce znajomi słyszeli, jak chwalił się, że jest przyjacielem „zaufanego przyjaciela i kolegi sir Waltera”. Atmosfera rodzinna u Hogarthów była mu niezwykle miła, zwłaszcza po doświadczeniach z Beadnellami, toteż czuł się tu bardzo domowo. Hogarthowie mieli Mika córek; najstarsza z nich, Katarzyna, była o trzy lata młodsza od Karola, który wkrótce się w niej zakochał. Siostra jej, Maria, miała wówczas około czternastu lat,

a Georgina była ósmioletnim dzieckiem. Każda z nich odegrała jakąś rolę w jego życiu. Ożenił się z Katarzyną, obdarzał Marię niezwykle serdecznym uczuciem, a w wiele lat później uważał Georginę za filar i podporę swej licznej rodziny.

Miło mu było czuć, że jest tu przyjmowany jako młodzieniec rokujący nadzieje — Karol odprężał się i rozkwitał w tej atmosferze przychylności. Od czasów owego zadurzenia w Marii Beadnell zmieniły się nie tylko jego nadzieje na przyszłość. W ciągu tych kilku lat on sam rozwinął się umysłowo, okrzepł jako charakter. Odzyskał wiarę w siebie i wiedział o wiele więcej niż dawniej o świecie i kobietach. Tym razem nie rzucił się w swoją miłość na łeb, na szyję, nie pozwolił się ponieść nie kontrolowanemu uczuciu, jak to było z Marią — a jednak i tej sprawy nie pokierował właściwie. Być może nie rozumiał Katarzyny i sądził, że po ślubie będzie mógł ją urobić według swego gustu, z nadzieją, że własny jego ogień rozpali i w niej coś, czego nie mógł w niej znaleźć nawet we wczesnym okresie ich zaręczyn.

Katarzyna była drobna i bardzo ładna, lecz miała świadczące o słabym charakterze drobne usta i nieco za duże, świetliste oczy. Była to uroda tego typu, która może przemienić się w prawdziwą piękność, i sześć lat później Katarzyna była naprawdę piękną, jeśli wierzyć jej portretowi, malowanemu w tym okresie przez

słynnego malarza Maclise. Było w niej jednak dużo złośliwego sprytu, afektacji, przewrotności i głupoty — cech, którymi Dickens obdarzył wiele swoich bohaterów. Dokuczała mu i dręczyła go, stała się chłodna i odpychająca, obrażała się i nie chciała z nim gadać, oskarżała go o zaniedbywanie jej i żądała, by ustawicznie i tchórzliwie zabiegał o jej dobry humor. Listy, które do niej pisywał w okresie narzeczeństwa — a pisał ich dużo — dają wyraźny obraz ich stosunków. Przypochlebiał jej ustawicznie, żartował z nią, próbował dyskutować, starał się wytłumaczyć jej prosty fakt, że pragnie spędzać z nią każdą minutę, a kiedy uniemożliwia mu to praca, jest mu co najmniej tak samo przykro jak i jej, musi zaś ciężko pracować ze względu na ich wspólną przyszłość. Nie wydaje się, by te argumenty trafiały jej do przekonania, chociaż niewiele mamy na to dowodów. Katarzyna zachowywała wszystkie listy Karola, które istnieją po dziś dzień, ale on pod koniec swego życia rozniecił wielkie ognisko z całej korespondencji, jaką nazywał przez lata, i prosił bardzo, by wszyscy, którzy mają jego listy, spalili je również. Byłaby to ogromna dla nas strata, bo listy jego są żywe i wiele mówiące; ze stylu ich możemy się dużo dowiedzieć o jego charakterze i temperamencie, a poza tym dają nam liczne informacje o jego codziennym życiu.

Kiedy Katarzyna zajęła się przygotowaniem do ślubu, stała się trochę znośniejsza, a humor jej się poprawiał, w miarę jak narastała atmosfera owego cudownego podniecenia wokół takich spraw jak suknie i meble.

Gdy zaręczyny ich trwały zaledwie trzy tygodnie, Karol napisał „z największym bólem”, wyrzucając jej „scenę, jaką mnie zaszczyciłaś już dwukrotnie... nagły i niezasłużony chłód... posepny i nieustępliwy upór”. Błagał ją: „Jeśli powodem takich scen jest pragnienie sama nie wiesz czego, kapryśny niepokój i chęć dokuczenia bez przyczyny — zwalczaj w sobie te uczucia. Nigdy one nie sprawią, że ty staniesz się przez to bardziej miła, ja bardziej w tobie zakochany czy oboje bardziej szczęśliwi”.

„Wiem doskonale, jakbym był przy tobie — pisze dalej I — że pierwszy twój odruch podczas czytania tych słów jest odruchem gniewu, może dumy lub, dobierając słowa częściej używanego przez twoją płęć, nerwów... najmilsza moja dziewczyno, jeśli naprawdę mnie kochasz, chciałbym, byś sobie samej oddała sprawiedliwość i pokazała mi, że twoja miłość do mnie, jak moja do ciebie, jest wyższa ponad pospolite sztuczki i frywolne bzdurki, które poniżają i ośmieszają samo imię tego uczucia. Nie gniewam się, ale jestem dotknięty”.

Z pewnością Katarzyna nawet mgliście nie zdawała sobie sprawy, jakiego rodzaju człowiek

ka ma zamiar poślubić. Ambicje jej nie wyrastały ponad znany jej świat i prawdopodobnie w najlepszym wypadku sądziła, że Karol, po pewnym czasie, stworzy jej wygodną pozycję w świecie, podobną do pozycji jej ojca. Nie wydaje się, by przywiązywała dużą wagę do jego pozabiurowej pisaniny, i gorzko wyrzekła właśnie na to, że poświęca tyle dodatkowego czasu na pisanie tych swoich szkiców. Nie miała żadnego przebłysku intuicji, który by jej pozwolił dostrzec w nim geniusza i z radością przyjąć nieznaną przyszłość. Pragnęła przede wszystkim życia bezpiecznego, zacisznego i jednostajnego. Prawdopodobnie ta niezgodność ich temperamentów była przyczyną jej częstych humorów.

Mimo to, ku wielkiej radości Karola, zaręczyli się w kwietniu. W kilka tygodni później młodzieniec wynajął czasowo mieszkanie na Selwood Place, koło jej domu, by mogli widywać się częściej; zatrzymał jednak mieszkanie na Holborn i tam pracował dalej, chociaż sypiał zwykle w Fulham. Miło mu było, kiedy skończył pracę i przekazał swój reportaż, wracać piechotą z City o wczesnej, rannej porze i może wrzucić liścik do skrzynki przechodząc koło drzwi Hogarthów. Poprzednio wysyłał liściki do Katarzyny przez jej ojca czy brata, a nawet czasem przez swojego własnego brata, Fryderyka. Z Selwood Place pisał do niej często, prosząc ją, by zaszczyciła jego stół przy śniadaniu,

by przysłała i obudziła go — z Mary jako przyzwoitką.

„Mam nadzieję, że obudzi mnie twoje pukanie do drzwi rano — pisał w jednym z listów — i oczekuję już, by wejść do bawialni i zastać ciebie na pierwszym miejscu za stołem”.

Karol był zachwycony perspektywą małżeństwa i przemiany swego surowego, kawalerskiego domu w coś, co, jak wierzył, będzie świeże, ciepłe i jasne. Ledwo mógł doczekać końca tego krótkiego okresu przed ślubem. Nie przerażały go ani trochę trudności związane z utrzymaniem żony, choć wiedział, że przez pewien czas może mu jeszcze być ciężko. Otrzymywał swą pensję w redakcji, a poza tym dostał niedawno zamówienie na serię dwunastu szkiców dla sportowego pisma, zwanego „Life of London” (Życie Londynu) pod redakcją Bella. Miał pewność, że zamówień będzie więcej, może nawet więcej, niż zdoła wykonać w tych okrawkach czasu, jakimi dysponował, bo pisanie nigdy nie przychodziło mu łatwo, nigdy nie potrafił tworzyć na zawołanie i często zapełniał kosz do śmieci nieudanymi próbami, nim znalazł właściwą nutę tego, co chciał napisać. Od chwili, gdy pióro jego zaczęło poruszać się szybko, pisał błyskawicznie i dużo, wciąż jednak nie miał poczucia, że może zawierzyć własnym sądom, zawsze się bał, że wypuści surową, nie wykończoną robotę

tylko dlatego, że musiał ją wykonywać w zbyt szybkim tempie.

W tym samym czasie inny pisarz, którego książki są do dzisiaj czytane, zakosztował pierwszych chwil sławy i cieszył się nimi ogromnie. Pisarzem tym był Harrison Ainsworth, którego pierwszy romans historyczny, „Rookwood”, wtedy właśnie został wydany i natychmiast zdobył sobie niesłychane powodzenie. Ainsworth zaczął nawiązywać stosunki z wybitnymi ludźmi i stwierdził, że interesują ich jego komentarze o pracach mniej znanych pisarzy. Zaczął więc uważać siebie za odkrywcę talentów i zaciekał się owymi niepodpisywanymi szkicami w starym „Monthly Magazine”.

Ainsworth mieszkał w Kensal Lodge w Willesden, które wówczas było miasteczkiem prowincjonalnym. Przyjmował tam wielu sławnych ludzi z literackiego świata, którzy konno czy powozami przyjeżdżali do niego z wizytą. Zaprosił też Karola, któremu to pochlebilo, a jednocześnie dało mu poczucie, że ktoś się nim opiekuje. Zapytał, czy Karol myślał o zebraniu swoich szkiców i wydaniu ich w formie książki, i od razu przedstawił go swemu wydawcy, Johnowi Macrone. Karol nie zdążył się jeszcze rozpromienić z zachwytu, kiedy zrobiono mu konkretną propozycję wydawniczą.

Macrone był bystrym znawcą literatury — o tym wiedzieli wszyscy — ale lubił również robić dobre interesy, co także było ogólnie wiadome. Kiedy przyjął mgliste propozycje Ainswortha, odkrywca talentów zachwycony był własną inteligencją, wiedział bowiem, że nic, czego wydawca nie uzna za dobry interes, nie ujrzy światła dziennego. Była to wzruszająca chwila. Macrone oszołomił Karola propozycją natychmiastowego kupna praw do książki za sumę stu funtów, zilustrowania jej przez Cruikshanka i ozdobnego wydania zbioru szkiców. Propozycja była tak kusząca, taka na czasie, że nie było mowy o krytycznym spojrzeniu Karola na cenę. Czegóż on w tej chwili nie zrobi z setką funtów! Wiedział, jak książka zyska na atrakcyjności dzięki robocie Cruikshanka, jak ją to zareklamuje, jak doda jej godności. Będzie dumny, jeśli jego szkice zostaną wydane w ten właśnie sposób, toteż przyjął propozycję bez żadnych targów, oświadczając natychmiast, że robi wszelkie poprawki, jakie pan Macrone będzie uważał za wskazane, lub że napisze jeszcze jeden czy dwa dodatkowe szkice, jeśli to byłoby z pożytkiem dla książki. Miał już temat do jednego z nich — więzienie w Newgate i może jeszcze jeden: Dom Poprawy w Clerkenwell. Panu Macrone spodobały się oba te pomysły, toteż przyjął je i obiecał ułatwić Karolowi, dzięki swoim znajomościom, dostanie się do wnętrza Newgate. Nadmienił przy tym, że Karol powinien dobrze uważać, czy nie zobaczy podczas tej

wizyty pani Elżbiety Fry[%], bo kwakrzy mieli swobodny wstęp do więzienia od chwili, kiedy pani Fry zaczęła swoją wspaniałą działalność. Może znajdzie ją w kuchni więziennej?

Karol skwapliwie skorzystał z pomocy pana Macrone, chcąc poznać ponure tajemnice New-' gate, ale nie ciekawiły go kuchnia ani praca kwaków. Przedmiotem jego zainteresowania byli przede wszystkim więźniowie, choć zanotował również rzeczy, które, jak sądził, najbardziej mogą zająć przeciętnego czytelnika: kajdany, łańcuchy, cele skazańców, kaplicę. Znalazł tu mnogość najróżniejszych typów, stłoczonych razem: lokajczyka w liberii, mężczyznę w znoszonej oponczy i butach z cholewami, jakiegoś „desperacko wyglądającego więźnia w samej koszuli i w zniszczonej szkockiej czapce na zmierzwionych włosach” ** i stwierdził, że pod jednym względem wszyscy oni są do siebie podobni — wszyscy wydają się „obojętni i beczynni”. Zaglądał do kaplicy więziennej i widział, jak: „... na posadzce kaplicy rzuca się w oczy na ciasnej przestrzeni ława skazańców. Ogromne, czarne ogrodzenie, gdzie nieszczęśni ludzie, skazani na śmierć, umieszczani są w ostatnią niedzielę poprzedzającą egzekucję:

tu na oczach wszystkich współwięźniów — a jest wśród nich wielu, z którymi rozdzieleni zostali zaledwie przed tygodniem — uczestniczą w modłach za swą własną duszę, sami przyłączają się do odpowiedzi żalobnego nabożeństwa i słuchają wezwania skierowanego najpierw do niedawnych towarzyszy, by czerpali naukę z losu skazańców...”

Do tych właśnie wspomnień wrócił wyobraźnią, kiedy pisał ostatnie rozdziały „Olivera Twista”. Te wspomnienia były jednym z najważniejszych czynników, które utwierdziły go w przekonaniu, że każdy wyrok śmierci jest rzeczą złą i zbrodnią wobec ludzkości.

Pod koniec tego lata, Katarzyna i jej matka zachorowały na szkarlatynę, a Karol, choć ryzykował zarażeniem, odwiedzał je, kiedy tylko mógł. Gdy nie mógł stawić się osobiście, wysyłał Fryderyka z karteczką, wiadomością czy małym prezencikiem; jednego dnia słoik dżemu z czarnych porzeczek na gardło, a innego środek dezynfekcyjny „na oczyszczenie atmosfery”.

Podczas choroby Katarzyny John Dickens znowu znalazł się w kłopotach i, jak zwykle, zwrócił się do syna z prośbą o pomoc. Znowu powtarzała się ta sama nieszczęsna historia ze starymi długami i wierzycielami, którzy w końcu stracili cierpliwość.

„Doprowadziłem ten pechowy szkic zaledwie do trzeciej kartki w porze obiadu — pisze

cząc mu, że: „Ludzie nie przejmą się kieratem równie mocno, co szubienicą”. Macrone zgodził się opuścić ten szkic, chciał jednak mieć szkic o Newgate, i to szybko. Tyle się wydarzyło, odkąd Karol oglądał więzienie, że doprawdy trudno mu było „przypomnieć sobie wszystko i ułożyć materiał”.

„Usposobienie moje jest bardzo szczególne — pisał Katarzynie — nie potrafię pisać z pożytkiem, zwłaszcza zaś pisać poważnie, dopóki się nie rozpalę lub też, innymi słowy, dopóki tak się nie przejmę tematem, że nie mogę się od niego oderwać”.

Rozdział jedenasty

„PICKWICK”

Rok 1836 był wielkim rokiem dla Karola Dickensa, niezwyłym zarówno ze względu na możliwości, jakie się wówczas przed nim otworzyły, jak też na osiągnięcia. W tym roku zrobił wielki krok naprzód: wszedł do samego centrum świata literackiego. Otrzymał pierwsze duże zlecenie, a wynikło z tego dzieło, które zaliczamy do nieśmiertelnych: „Klub Pickwicka”. Zaprzyjaźnił się z wieloma wpływowymi ludźmi, między innymi z „sierżantem” Talfourd, człowiekiem nieprzeciętnym i czarującym, który wszystkich znał i był przez wszystkich wielbiony i szanowany. Miał on tytuł sierżanta praw (najwyższy stopień adwokata-cywilisty), lecz serce oddał literaturze. Największą jego przyjemnością było wykrywanie młodych talentów i ściąganie na nie uwagi ludzi, którzy owym talentom mogli dopomóc. Uważał się za krytyka, a do jego smaku i sądów odwoływało się wielu. Był prosty, uprzejmy, hojny; miał tak swobodne

i ujmujące obejście, że trudno było czuć się długo skrepowanym w jego obecności. Witano go równie chętnie w domach ludzi wielkich i sławnych, jak w mrocznych izdebkach młodzieńców borykających się z trudnościami.

Przez pewien czas Talfourd był reporterem od spraw prawniczych dla „Timesa” i dzięki temu właśnie zetknął się z Karolem. W 1835 roku wszedł do Parlamentu i przedstawił pierwszy projekt Ustawy o prawie autorskim w Izbie Gmin. Projekt został odrzucony, ale zrobił poruszenie wokół tego zagadnienia, a nasze współczesne pojęcia prawa autorskiego opierają się jeszcze w dużej mierze na koncepcji Talfourda. Z pewnością projekt ów kazał i Karolowi zastanowić się nieco, boć przecież sprzedał właśnie swoje prawa autorskie za sto funtów i bez względu na to, jak wielką popularnością mogłaby się cieszyć jego książka, ile przyniosłaby pieniędzy wydawcom, jemu nie będzie się należało za nią ani ćwierć pensa. Nie przyszło mu oczywiście do głowy, że książka może również zrobić fiasko, w którym to wypadku wy- wydawca zostanie z pustymi kieszeniami, podczas gdy nikt nie będzie oczekiwał od autora, by zwrócił chociaż ćwierć pensa.

Talfourd przedstawił Dickensa kobiecie, która miała odegrać ciekawą rolę w jego życiu. Zawarła z nim głęboką przyjaźń i starała się go nakłonić (co było zresztą zgodne z jego własnymi upodobaniami) do spożytkowania swego pióra, zmysłu obserwacji, humoru i prostoty na to, by pokazać w całej jaskrawości krzywdy i cierpienia społeczne i obudzić publiczne zainteresowanie dla reform. Kobieta tą była Angela Burdett, córka sir Francisa Burdett, posła do Parlamentu z Westminsteru, a wnuczka założyciela banku Couttsa, którego fortunę odziedziczyła po jego śmierci, w rok po zawarciu znajomości z Karolem.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Karola, miała dwadzieścia jeden lat, była poważna, przystojna i dobrze zdawała sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką nakłada tak wielka fortuna. We własnym domu rozmawiała z najwybitniejszymi i najinteligentniejszymi ludźmi owych czasów. Przyzwyczajona była do tego, że ludzie ci traktowali ją poważnie, nawet kiedy jeszcze była dzieckiem. Zgłębiała do dna sprawy, które ją interesowały, a przede wszystkim starała się znaleźć odpowiedź na pytanie, jak ulżyć ludziom w cierpieniu i niedoli, zwłaszcza jeśli ich przyczyną jest ubóstwo i zaniedbanie. Na tym to gruncie znalazła z Karolem gorące, wspólne zainteresowanie. Ma zupełną rację — mówiła — że chce poświęcić swój talent czynieniu dobra. To, co on wyciąga na światło dzienne w swoich utworach, ona musi naprawiać swoimi pieniędzmi. Muszą więc i będą

pomagać sobie nawzajem. Polegała na nim później całkowicie, jeśli idzie o fakty. Kiedy chciała zebrać informacje o warunkach w więzieniach, domach pracy czy na przykład w najtańszych pensjonatach, zwracała się zawsze do niego, a kiedy widziała możliwości niesienia pomocy w dobrej sprawie, takiej na przykład jak „Szkoly obdartusów” * lorda Shaftesbury'ego, i w tym wypadku, prosiła Karola o wiadomości, których nikt inny nie mógł jej dać, wiadomości, które były czymś więcej niż suchą statystyką i zakładały, że nawet najbardziej nieszczęśli i zdeprawowani mężczyźni i kobiety to jednak ludzie, których wytrzymałość jest ograniczona. Ceniła jego rozum i zdolność osądu, bystre oczy i gorące serce. Przeznaczała ogromne sumy na dobre cele i, jak mówiono, była w sprawach społecznych postacią niemal równie wielką, jak sama królowa Wiktorja.

Z początku wydawać by się mogło, że jej powaga przytłoczyła Dickensa, lecz jego wrodzony dobry humor w krótkim czasie wziął górę i Karol pisał wesoło o ich pierwszym spotkaniu: „Musiało to być w piątek, bo urodziłem się w piątek i nigdy nie zaczynałem pisać książki czy robić czegoś ciekawego dla mnie lub ważnego, jeśli to nie był piątek”.

Talfourd zabrał go również do Holland House, co było ciężką próbą, bo lady Holland zawsze oczekiwała głośnego ryku od swych lwów salonowych. W cztery lata później poznał go tam Carlyle i napisał o tym zdarzeniu: „Widziałem lordów i lwy, lorda i lady Holland, a również Pickwicka, chociaż nie wydaje mi się, by mu tam zbyt kadzili. Świetny chłopaczek ten Boz. Czyste, niebieskie, inteligentne oczy, brwi, które znakomicie marszczy, szerokie i wydatne, zawsze nieco rozchylone usta, twarz niebywale żywa, w rozmowie bezustannie w ruchu, razem z brwiami, oczyma, ustami i wszystkim. Na to nałożona strzecha pospolitych w kolorze włosów, a wszystko razem osadzone na krępym, niedużym korpusie, odzianym raczej a la D'Orsay * niż dobrze — taki jest Pickwick. Poza tym spokojny, bystry jegomość, który zdaje się dobrze wie, kim jest on sam i kim są wszyscy pozostali”.

„Szkice Boza” zostały wydane w dwudzieste czwarte urodziny Karola. Wysłał egzemplarze z wdzięcznymi dedykacjami do wszystkich, którzy jego zdaniem mogli książkę dopomóc. Jeden powędrował do lorda Stanleya, jeden do Harrisona Ainswortha, jeden, oczywiście, do Talfourda. Kiedy zbliżała się data wyjścia książki z druku, Karol denerwował się o jej

— r ~ V

rozgłos, o ukazanie się w gazetach ogłoszeń i reklamówek. Zamierzał nawet napisać w „Chronicie” coś, co by jej zdobyło trochę popularności, ale kiedy się do tego zabierał, stwierdził, że wstrętne mu jest samochwalstwo, toteż w jego gazecie pojawiło się tylko krótkie zawiadomienie o ukazaniu się książki. „Szkice” miały zresztą dobre recenzje i zostały wysoko ocenione w wielu pismach codziennych i periodykach literackich. W piśmie „Examiner” recenzję książki napisał John Forster i to doprowadziło do spotkania obu panów.

Forster pochodził z północy, był o parę miesięcy młodszy od Karola, ogromnie zdolny, czynny i wytrwały. Był prawnikiem i do zawodu, który kazał mu zajmować się sprawami związanymi z pisarzami i wydawcami, dodawał ową typowo prawniczą umiejętność szybkiego orientowania się w zagadnieniach istotnych. Miał stanowczy sposób zachowania, typowy dla człowieka interesu, i przywykł mówić to, co myślał. Polubił serdecznie Karola, dawał mu dobre rady, dyskutował z nim o jego twórczości, omawiał dalsze plany, robił za niego korektę odbitek i stał się jego najbliższym przyjacielem i doradcą.

W tym właśnie okresie przysłała propozycja, której wynikiem było powstanie „Klubu Pickwicka”. Firma wydawnicza Chapman and Hall — której własnością była również księgarnia na Strandzie, gdzie Karol kupił egzemplarz „The Monthly Magazine” z pierwszym swoim wydrukowanym opowiadaniem — potrzebowała jakiegoś zabawnego tekstu do serii obrazków, jaką zaproponował im malarz, Robert Seymour, którego prace były już publikowane z pewnym powodzeniem. Rozważano kandydatury różnych młodych autorów, po czym padło nazwisko Boza; uznano, że ten autor popularnych szkiców jest chyba najbardziej odpowiedni, wobec czego pan William Hall przyszedł we własnej osobie z wizytą na Furnival's Inn, by przedstawić swą propozycję. Zbieg okoliczności wziął Karol za dobry omen, stwierdził bowiem, że od tego właśnie pana kupił ów tak istotny dla niego egzemplarz pisma. Poznał pana Halla natychmiast, kiedy go zobaczył.

Pan Hall spoglądał w tę ruchliwą, żywą twarz, którą Forster opisał jako „promieniejącą inteligencją i tryskającą humorem i pogodą”, i wyjaśnił pokrótce swoją propozycję. Czy pan Dickens nie zechciałby napisać krótkich tekstów do obrazków, które narysuje ich malarz? Będą one opowiadać dzieje pewnego klubu sportowego, który ma być nazwany „Klubem Nem-roda”. Członkowie tego klubu, okropne niezdary, będą wyruszać na polowanie czy na ryby w rozkosznej nieświadomości podstawowych zasad sportu.

Karol słuchał uważnie, przejęty mieszanymi uczuciami. Bardzo to było miłe i pochlebne, że przychodzą do niego z propozycją współpracy. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebuje każdego pensa — zbliża się przecież termin ślubu, nie mówiąc już o nie kończących się grzeszkach ojca, ale czy da sobie radę z tego rodzaju robotą? Czuł się niezręcznie, bo za mało znał się na sporcie, by móc nim bawić. (I rzeczywiście, stronice „Pickwicka” dowodzą, że więcej wiedział o ślizganiu się na zamrożonych stawach niż o krokiecie). Uważał, że nie powinien podejmować się pracy, dopóki sam się nie przekona, że może ją uczciwie wykonać. Wyjaśniał z żalem swoje wątpliwości i zastanawiał się, utkwivszy w wydawcy swe inteligentne oczy, czy rzeczywiście ten pomysł jest taki świetny i nowy. Wychodziły właśnie książki o Jórrocku * — czy Klub Nemroda nie będzie troszkę pachniał naśladownictwem? Poza tym uważał, że stawia się sprawę na głowie, każąc pisarzowi pisać tekst do rysunków. Bardziej jest oczywiste, by pisarz dostarczał pomysłów, a malarz je ilustrował, a przynajmniej nie wydaje mu się, by on mógł pisać inaczej. Musiałby mieć wolną rękę w tworzeniu własnych postaci, wolałby sam wybierać scenerię i układać wątek.

Pan Hall zgodził się z tym punktem widzenia. Przez cały czas przyglądał się i przysłuchiwał Karolowi badawczo, a teraz oświadczył, że przypuszcza, iż mógłby tak wszystko ułożyć, by to odpowiadało młodemu pisarzowi. Potem zagłębił się w handlowe szczegóły propozycji — chce wydawać powieść częściami, co miesiąc, w cenie jednego szylinga za odcinek; zeszyt zawierać będzie dwadzieścia cztery strony tekstu i cztery pełne strony rysunków. Za część literacką mogą zapłacić czternaście funtów i dziesięć szylingów za odcinek.

Karol poprosił o czas do namysłu i pan Hall dał mu dwa dni. Karol zgodził się, oczywista.

Pan Hall ostrzegł go, że wydawca będzie zawsze chciał mieć więcej niż jeden odcinek w rękę, nim je odda do druku, aby nie ryzykować przerwy. Karol rozumiał dobrze to niebezpieczeństwo i natychmiast zabrał się do roboty, zastanawiając się, jak podoła tej dodatkowej pisaninie. Postanowił jednak jakoś to zorganizować. „Ta robota nie będzie zabawką — mówił Katarzynie wesoło — ale honorarium jest zbyt kuszące, bym się mógł oprzeć”.

W porównaniu z chociażby jednym sławnym pisarzem tej epoki Dickens doprawdy dobrze dawał sobie radę. Tomasz Carlyle, człowiek

o większej zapewne sile intelektu i aspiracjach równych aspiracjom Karola, pracowity i pilny, przyjechał przed dwoma laty do Londynu, by tu zarabiać jako pisarz. Przywiózł ze sobą kapitalik wynoszący nieco więcej niż dwieście funtów, na utrzymanie swoje i żony, dopóki nie wyrobi sobie pozycji w świecie literackim. Właśnie kiedy Karol podejmował decyzję co do „Pickwicka”, Carlyle pisał w swym pamiętniku: „Pierwsza księga »Rewolucji francuskiej« jest ukończona. Mija dwadzieścia trzy miesiące, odkąd zarobiłem ostatniego pensa rzemiosłem literackim..., lecz dzięki oszczędzaniu i mojej szkockiej żonie możemy jeszcze przetrzymać niejeden miesiąc”. Liczył, że sto funtów wystarczy mu na cały rok, chociaż czynsz za jego dom wynosił trzydzieści pięć funtów rocznie.

Dodatkowa praca okazała się istotnie, jak Karol mówił, „nie zabawką”. Ówczesne jego listy świadczą, jak bardzo był zapracowany i jak pochłonięty nowym zadaniem. „Nie możesz być zła na coś, na co nic nie mogę poradzić — pisał do Katarzyny — podoba mi się to, com zrobił dzisiaj, ale za mało jest tego, by usprawiedliwić wyjście wieczorem z domu. Jeśli moje wyjaśnienia, tak już częste, że pracuję z obowiązku, a nie dla przyjemności, nie wystarczą, by cię utrzymać w dobrym humorze — no, to cóż, kochanie, musisz być w złym i ja na to nic nie poradzę.

Wyobrażam sobie, że jeśli zaczynałaś czytać tę kartkę ze zmarszczonym czołem, to teraz jesteś już na pewno uśmiechnięta, opowiem ci więc rozsądnie o tym, co robiłem, jak, mam nadzieję, zawsze będę opowiadał mojej żonie. Wsadziłem Pickwicka i jego przyjaciół do dyliżansu do Rochester i jadą sobie teraz gładko w towarzystwie pewnego jegomościa zupełnie innego niż wszyscy, jakich dotychczas opisałem, a który, pochlebiam sobie, zrobi na pewno furorę”.

Postacią tą był Jingle, którego „wesola bez- wstydność i ogromna pewność siebie” oraz drobne wykręty, aby uniknąć płacenia, wyraźnie sugerują, że wzorem jego był John Dickens. Z pewnością ten sposób mówienia, nagłe przerywanie po kilku słowach, były typowe dla pana Dickensa. Na przykład: „Komandor! W tym powozie mam miejsce. Miejsce na imperiale. Płaćcie za ten grog — trzeba by zmienić banknot pięciofuntowy — w obiegu jest dużo fałszywej monety — znamy to”. Gardłowy kaszel przerywa te słowa: „Pakunków nie ma pan? — Kto, ja? — Pakiecik zawinięty w bibułę, to wszystko. Resztę wyprawilem wodą! Wielkie skrzynie obite gwoździami, wielkie jak domy! Ciężkie, ciężkie, diabelnie ciężkie!” *.

Jeśli chodzi o rodzaj anegdotek, i one również były w stylu

Johna Dickensa. „Ostrożnie! Ostrożnie z głowami!..., Straszne to miejsce — bardzo niebezpieczne — niedawno — pięcioro dzieci — matka — słuszną kobietą — jadła chleb z masłem... zapomniała o sklepieniu; trach! dzieci oglądają się — matka bez głowy!... chleb z masłem w ręku, a nie ma gęby, by go włożyć — głowa rodziny zginęła. Okropność, okropność!"

Nawiasem mówiąc, sądzono, iż ten smutny wypadek opierał się na autentycznym zdarzeniu, kiedy dyliżans wyjeżdżał z podwórza gospody Golden Cross na Charing Cross.

W tym właśnie miejscu ciekawe jest zajrzeć do „Pickwicka” i zobaczyć, jak kształtowały się pierwsze i następne jego odcinki i co było w każdym z nich. Jingle pojawia się w pierwszych trzech tysiącach słów, tak więc Karol jeszcze miał przed sobą dużo roboty, kiedy pisał do Katarzyny 6 marca o nowej postaci, pierwszy bowiem zeszyt miał wyjść przed końcem miesiąca. W pierwszym rozdziale trudno było zapewne Karolowi przedstawić wszystkich członków klubu i wyraźnie ich scharakteryzować, ale natychmiast kiedy tego dokonał, zabrał się z rozkoszą do malowania scenki z życia londyńskiego, które tak dobrze znał z własnych doświadczeń — jednego z tych epizodów, jakie z powodzeniem opisywał w swoich szkicach. Niezliczoną ilość razy siedł na postój dyliżansów na St. Martins-le-Grand, tak jak to robił pan Pickwick — postój, na którym stały dyliżanse od przeszło trzystu lat. Teraz stały tam, oprócz dyliżansów, jeszcze dorożki. A jak dobrze znał Dickens dorożki, ich płócienne budy i fartuchy, mosiężne tabliczki z numerkami i szorst-

ką dosadność cockneyowskiego * dowcipu dorożkarzy!

Tak więc w krótkim czasie Karol załadował swe towarzystwo do Komandora i wyprawił w drogę do Rochester — do swego ukochanego Rochester, gdzie zaznał tyle szczęścia jako dziecko. Nigdy tam nie był od czasów, kiedy wyjechał trzynaście lat temu „zapakowany jak paczka z dziczyzną” do Londynu. Wprost czuje się, jak humor mu się poprawia, kiedy przywołuje te obrazy na pamięć, a słowa biegną coraz swobodniej spod pióra, kiedy opisuje oberżę „Pod Bykiem”, która dotąd istnieje prawie nie zmieniona, tak że jeśli będziecie mieli szczęście, możecie nawet spać w tym samym pokoju, jaki zajmował pan Pickwick pod koniec swojej podróży. Śmieje się z fumów chathamskich dostojników, mówiąc przez usta pana Jingle: „Wyżsi urzędnicy marynarki nie rozmawiają z niższymi urzędnikami; niżsi urzędnicy nie rozmawiają z mieszczaństwem; komisarz rządowy nie rozmawia z nikim”. Czy Karol słyszał to kiedyś od własnego ojca, czy sam to stwierdził jako mały chłopiec? Któż to może wiedzieć?

Zachwycony był początkiem „Pickwicka” i napisał „w pickwickowskim pośpiechu” do pana Halla: „Pickwick został wreszcie zaczęty w całej swojej sławie i chwale”. Skończył pierwszy zeszyt w dobrej formie, lecz drugi ciężko mu przychodził i choć Karol pracował nad małymi jego odcinkami, było mu nieoczekiwanie trudno pisać w ten lekki sposób. Ledwo zdążył oddać rękopis drugiego zeszytu przed ukazaniem się pierwszego.

„Pickwick” wyszedł jako „Pośmiertne zapiski Klubu Pickwicka, zawierające wierne sprawozdanie z wędrówek, niebezpiecznych podróży, przygód i działań sportowych poszczególnych jego członków. Wydane przez Boza. Z czterema ilustracjami Seymoura”. Zeszyty oprawne były w zielony papier z rysunkiem, przedstawiającym śpiącego w łódce pana Pickwicka; przy boku jego leży wędka, a ptaki dziobią pozostawiony przezeń lunch.

Na początek oprawiono tylko czterysta egzemplarzy — i nie potrzeba było więcej. Choć wydaje nam się to dziwne, „Pickwick” nie zrobił furory od razu.

Rozdział dwunasty UZNANIE ROŚNIE

Przez cały marzec Karol pilnie pracował nad „Pickwickiem” poświęcając mu każdą wolną chwilę. „Te zeszyty są przerażająco długie — żalił się Katarzynie. — Nie miałem pojęcia, że tyle się w nich zmieści”. Bolała go głowa i oczy, a natchnienie często nie chciało jakoś przychodzić. „Myślę, że to pogoda mnie ogłupia — pisał znowu. — Ślęczę nad biurkiem cały dzień i zmordowałem zaledwie dziesięć stron — innymi słowy, tylko jedną piątą całego odcinka”.

Ślub z Katarzyną miał się odbyć wkrótce, toteż Karol zajmował się jednocześnie przygotowaniem nowego mieszkania w Furnival's Inn na przyjęcie żony. Zawsze lubił projektować urządzenie każdego nowego domu, a jeśli idzie o meble, miał całkiem dobry gust. W listach jego roi się od wzmianek o zakupach. „Umówiłem się z Mamą, że przyjedzie kupować bieliznę pościelową. Cieszę się, że sprawozdanie z urządzenia kuchni zadowoliło twoją Matkę”. „Ponie

waż twoja Mama nie widziała kredensu i ponieważ zrobiłem wiele zakupów, których nawet ty nie widziałaś (!), uważam, że najlepszym z tego wyjściem będzie, jeśli ty, ona i Mary spędzicie tutaj sobotę...” „Kupiłem dwie karafki kwartowe i dwie półkwartowe, dzbanek kryształowy i trzy brązowe z posrebrzanymi przykrywkami na piwo i gorącą wodę, dwa kandelabry i dwa wspaniałe chińskie dzbany — i, pochlebiam sobie, wszystko to po taniej cenie”.

Ślub miał się odbyć drugiego kwietnia w kościele Sw. Łukasza na Chelsea. „Myślę sobie — pisał — że najlepiej byłoby, gdybyśmy pojechali prosto do Rochester. Mama może napisać do służącej z gospody »Pod Starszą Damą« a ona, nie wątpię, znajdzie nam wygodne tam pomieszczenie”.

Ciągle niepokoiły go humory Katarzyny i błagał ją bezustannie, by nie ulegała złym nastrojom, nazywając ją pieszczotliwie swoją „najdroższą świnką” lub „staruszką”, co brzmi trochę dziwacznie, jeśli się weźmie pod uwagę, że były to czasy Wilhelma IV *,.

Tom Beard był družbą i opisał wesele jako „wydarzenie bardzo spokojne i ciche. Oprócz rodziny Dickensów i Hogarthów był wydawca Macrone i ja sam”. Henry Burnett (późniejszy mąż Fanny) zapytany w parę lat później, czy

nie pamięta czegoś w związku z tą uroczystością, niewiele mógł dodać i tłumaczyć: „Pan Dickens czuł się jeszcze dość niepewnie, co się wkrótce zmieniło. Powiedziano parę banalnych, zwykłych, miłych słów, wypito zdrowie młodej pary i wszyscy robili wrażenie szczęśliwych... Panna młoda była ładna, miła, ubrana jak najskromniej i najprzyzwoiciej”.

Tak jak proponował Karol, pojechali do Rochester i na tydzień zatrzymali się w Chalk przy drodze Rochester-Gravesend.

Pierwszy zeszyt „Pickwicka” wyszedł na trzy dni przed ich ślubem, a nim Karol wyjechał z Londynu, wydawcy zapłacili mu za dwa pierwsze odcinki. Dopilnował, by drugi był gotów do druku, nie zdążył tylko sprawdzić czwartej ilustracji, na której miała być śmierć kłowna z „Opowieści włóczęgi”. Współpraca Karola z Seymourem nie układała się najlepiej i pisarz niepokoił się o ilustrację, która miała pójść do druku w jego nieobecności, toteż natychmiast, gdy wrócili, zażądał pokazania rysunku. Stwierdził, że nie pasuje całkowicie do nastroju sceny, z czego od razu wynikły ogromne przykrości.

Seymour miał pretensje, kiedy zmieniono jego oryginalny pomysł, by zadowolić młodego Boza — był też niewątpliwie człowiekiem trudnym do współpracy. Uważał, że twórczość Karola nie zostawia pola do popisu dla jego ta lentu, i miał pretensje o to, że Karol go krytykuje, zwłaszcza że wydawcy czasem popierali te zastrzeżenia. Seymour, na przykład, narysował z początku pana Pickwicka jako wysokiego, chudego jegomościa, a Karol upierał się, że musi on być mały i gruby. Karol zwyciężył, a pan Hall wskazał kogoś z przyjaciół rodziny jako najodpowiedniejszy wzór i rzeczywiście pan ten posłużył za model do znanej nam podobizny pana Pickwicka. Seymour był urażony w swej dumie, widząc, że musi zmieniać ilustrację, i przyjął uwagi na temat rysunku śmierci kłowna z posepnym oporem.

Pan Hall prosił obydwu panów, by doszli do porozumienia, Karol zaprosił więc Seymoura do siebie, by omówić całą sprawę. Przyniesiono rysunki i Karol bardzo grzecznie wytłumaczył malarzowi, o co mu idzie, lecz chłodny nastrój nie uległ zmianie, a Seymour czuł się w dalszym ciągu urażony. Następny dzień spędził dłubiąc w ponurym nastroju nad rysunkiem, po południu zaś wyszedł do ogrodu na tyłach swojego domu w Islington i zastrzelił się.

Był to potworny wstrząs dla wszystkich i mógł właściwie stanowić koniec „Pickwicka”. A jednak ukazał się drugi odcinek, który podał „smutną wiadomość o śmierci pana Seymoura w niezwykle tragicznych okolicznościach”. Potem zaczęły się gorączkowe poszukiwania innego malarza. Prosił o tę pracę Thackeray, pod

nazwiskiem Michael Angelo Titmouse, lecz rodzaj jego dowcipu nie pasował do dowcipu Dickensa. Ofiarował również swoje usługi R. W. Buss, ojciec założyciela Północnolondyńskiej Szkoły dla Dziewcząt. Dwie jego ilustracje zostały odbite w trzecim odcinku, lecz nie uznano go za odpowiedniego do kontynuowania całości. I nagle całkiem niespodziewanie znalazł się młody człowiek, zaledwie dwudziestoletni, który tak znakomicie uchwycił ducha „Pickwicka”, że bez dłuższych gadań powierzono mu kontynuowanie roboty Seymoura. Nazywał się Hablot Browne, a jego pseudonim „Phiz” znakomicie pasował do Dickensowskiego „Boza”; stał się świetnym współpracownikiem i natchnionym ilustratorem wielu słynnych powieści Dickensa.

Kiedy sprawa została załatwiona, Karol odetchnął z ulgą, "wydawcy mieli jednak inne zamierzenia, bo „Pickwick” nie zdobył sobie takiej popularności, na jaką liczyli. Księgarze wcale nie prosili się o egzemplarze, a krytycy mało zwracali na „Pickwicka” uwagi. Między Karolem a wydawcami nie była jeszcze podpisana formalna umowa i teraz musieli prosić go, by zgodził się na zmianę pierwotnych warunków. Uważali za rozsądne rozszerzyć objętość poszczególnych zeszytów z dwudziestu sześciu stron tekstu do trzydziestu dwóch, a jednocześnie płacić za to mniej. Karol przyjął obcięcie miesięcznych zarobków o cztery funty z najlepszą, na jaką się mógł zdobyć miną, a pan Hall przyrzekł mu, że honorarium zostanie podwyższone, jeśli tylko pozwolą na to warunki. Miały być teraz również dwie ilustracje zamiast

czterech. Karol stwierdził w swoim czasie, że wydawcy potrafią być również hojni, kiedy sytuacja zmienia się na lepsze.

Kiedy „Pickwick” ukazał się w formie książkowej, Karol napisał przedmowę, w której próbował wytłumaczyć, jakie są minusy pisania powieści w odcinkach, kiedy każda część musi stanowić pewną zamkniętą całość, by przyciągnąć nowych czytelników, a jednocześnie zawierać odrobinę napięcia i niepewności, aby czytelnik kupił następny odcinek. Całość, oczywiście, cierpiała na tym rozkawałkowaniu, na szalonych improwizacjach, kiedy zainteresowanie publiczności spadało, na zbyt małym przywiązywaniu wagi do głównego wątku i na szkicowym traktowaniu tła i akcji. Rzadko Karol wyprzedzał o miesiąc tekst publikowany, a co napisał w pośpiechu, tego później, gdy miał czas, żałował; lecz rzecz raz wydrukowana nie mogła już ulec zmianie. Nigdy nie mógł wrócić do wcześniejszych rozdziałów i czegoś w nich poprawić, bez względu na to, jak się rozwijały dalej postacie czy wątek. Uczył się na własnych doświadczeniach, lecz mimo wszystkich minusów „Pickwick” do dzisiaj zajmuje wysokie miejsce nie tylko w literaturze angielskiej, ale światowej. Pickwick, Wellerowie, Jingle — są dziś dla nas postaciami przysłowiowymi, a ich śmieszności zdobywały sobie sławę natychmiast po wyjściu spod pióra Karola,

Przyjaciele mówili mu, że to „prymitywna, tania forma publikacji”, która bardziej może mu zaszkodzić jako literatowi niż wyrobić mu imię. Opowiadania drukowane w miesięcznych odcinkach nie były w owych czasach uważane za pełnowartościową literaturę. Były jak nie kończące się bajki roznoszone po kraju przez domokrażców, o czym Karol dobrze wiedział, boć przecież, jak mówił, „sam oblał je rzęsistymi łzami”, nim odsłużył swój „termin u Życia”.

W czwartym odcinku na scenie ukazał się Sarn Weller — i sprzedaż numerów skoczyła nagle do czterdziestu tysięcy egzemplarzy miesięcznie dzięki jego zabawnym impertynencjom. Prawie natychmiast wydawcy, wierni obietnicy, podnieśli honorarium autorskie na dwadzieścia pięć gwinei miesięcznie.

W „Klubie Pickwicka” Karol znalazł pierwszą okazję, by oskarżyć prawo, a sposób, w jaki opisał sprawę o złamanie obietnicy małżeństwa, wytoczonej samemu Pickwickowi, był tak lekki, że pisarz zdobył sobie natychmiast i jakby bez wysiłku sympatię czytelników. Dopiero w dwanaście lat później mógł stwierdzić: „Reformy prawne przycięły ostre szpony panów Dodsonów i Foggów, a poczucie szacunku dla samego siebie i wykształcenia oraz duch współpracy zapanowały wśród ich urzędników... prawo związane z więzieniem ludzi za długi zostało złagodzone, a więzienie Fleet — zburzone.

Kto wie —1 dodaje — może okaże się kiedyś, że i prawo ubogich jest łaską dla słabych, starych i nieszczęśliwych; że szkoły oparte na szerokich fundamentach zasad chrześcijańskich są najlepszą ozdobą cywilizowanego kraju; że równie trudne jest wejście do więzienia, jak wyjście stamtąd i że powszechny podział zwykłych środków niezbędnych dla zachowania moralności i zdrowia jest przywilejem najbiedniejszych z biednych, jak również koniecznością ze względu na bezpieczeństwo bogatych i państwa".

A tymczasem Katarzyna szukała po omacku miejsca w nowym swoim życiu. Małe, trzypokojowe mieszkanie musiało jej się wydawać strasznie ciasne po dawnym rodzicielskim domu, na pewno też tęskniła do towarzystwa sióstr i braci podczas długich godzin, kiedy Karol był w Izbie Gmin czy też siedział w domu za biurkiem. Mieszkał z nimi Fryderyk, który dotrzymywał jej towarzystwa wieczorem, z pewnością jednak nie było to dla niej wymarzone życie.

Fryderyk niczym nie przypominał starszego brata. Nie pragnął wykształcenia, brak mu było wytrwałości i miał niewiele innych ambicji poza tą, by mu starczało pieniędzy na wydatki. Sprawiało mu to wyraźną przyjemność, że znają go jako brata Karola, lubił też zanosić listy do jego interesujących przyjaciół. Tego lata otrzymał posadę (nie utrzymał się jednak na niej długo)

w wydawnictwie pana Macrone, w kantorze, Karol zaś uprosił, by bratu wolno było codziennie przychodzić do domu na herbatę, tłumacząc to tym, że lubi zobaczyć Frydeika przed wyjściem do wieczornych zajęć, chce mieć wgląd w jego edukację i wiedzieć, czym brat się zajmuje.

Choć widziane oczyma młodszego brata życie Karola mogłoby się wydawać cudowne, łatwe i pełne osiągnięć, były to w rzeczywistości jego dni krytyczne: wszystko zależało od tego, czy nie zawiedzie nadziei czytelników, którzy przeczytawszy poprzedni odcinek powieści, czekali na następny. Nie stanął jeszcze na twardym gruncie, a przy jego żywym usposobieniu musiał się gwałtownie przerzucać od największych nadziei do przeczuć klęski. Pracował nieoszczędnie, marnował tysiące napisanych słów, aby uzyskać jedną kartkę, którą uznał za wartą druku, a jednak był świadom swych rosnących sił. Dla tego rodzaju pracy, jaką wykonywał, ważna była świeżość umysłu, toteż coraz częściej narzekał na konieczność spędzania długich godzin na galerii Parlamentu, choć nie śmiał jeszcze porzucać regularnego zatrudnienia. Zaczynał się orientować, w czym tkwi jego talent. Mocny był jego zapał twórczy i Karol marzył, by nareszcie stać się wolnym i korzystać zeń w pełni.

Zarabiał teraz zupełnie przyzwoicie, pracując jako reporter i jako pisarz, ale tyle ciążyło

na nim obowiązków, że nigdy nie miał wolnej gotówki. Wydawało mu się, że ten właśnie niepokój nie pozwolił mu dobrze sprzedać swojej pracy, i zaczął hodować w sercu odrobinę żalu o to. Podejrzywał, że inni zarabiają na jego twórczości więcej, niżby się im ucziwie należało. Nie miał nikogo, kto mógłby mu to wytłumaczyć czy być mu doradcą, a sam mało wiedział o sprawach wydawniczych. Bardzo się śpieszył do sukcesów życiowych, nie miał chwili do stracenia — i nie bardzo wiedział, jak pokierować swymi sprawami.

John Dickens został wypuszczony z Domu Poprawy jeszcze przed ślubem syna i mieszkał z powrotem na Bentinck Street, lecz pobyt w zamknięciu niewiele go nauczył. W dalszym ciągu pożyczal, wystawiał weksle i oczywiście nie myślał nawet o spłaceniu starych długów. Nabral tylko sprytu i tak doskonale znał się teraz na rzeczy, że miał nadzieję, iż uda mu się na przyszłość uniknąć wszelkich bezpośrednich nieprzyjemności. Nauczył się subtelnie wyczuwać moment, kiedy należało zniknąć z horyzontu, bo chmura groziła piorunem. Po takim zniknięciu wracał na łono rodziny, rozkoszny i promienny, jak gdyby nigdy nic. Lecz ktoś musiał zająć się owymi wekslami, a mogli to uczynić jedynie Karol i Fanny. Nikt z rodziny pani Dickens nie był skłonny dać im już ani pensa. Stosunek Barrowów do tej sprawy najlepiej zo

stał określony w słowach pani Micawber w „Dawidzie Copperfieldzie”: „Mylę się może, prawdopodobnie nawet się mylę, lecz osobiście odnoszę wrażenie, że to strach mej rodziny przed tym, że mąż potrzebował wciąż pieniężnych zasiłków, stworzył przepaść pomiędzy rodziną moją a panem Micawberem. Przypuszczam..., że niektórzy członkowie rodziny mojej bali się, aby mąż mój nie wymagał od nich ich nazwiska. Nie mówię tu o zapraszaniu na chrzestnych rodziców, lecz o podpisach i poręczycielstwie”.

Karol był zawsze dobrym synem, a rodzice jego wykorzystywali to, jak mogli. Prawdopodobnie nikt nie śledził jego kariery uważniej i z większym zainteresowaniem niż ojciec, który zapewne zacierał wesoło ręce, stwierdzając, że otwierają się przed nim nadzieje na coś niezwykłego, i to w najbliższej przyszłości, słyszał bowiem, z jakim szacunkiem i uznaniem mówiło się o perspektywach młodego Boza. Sprytny John Dickens znajdował wciąż nowe pole działania i nowe sposoby wyciągania pieniędzy z cudzych kieszeni, jak na przykład męska prośba skierowana do jednego z przyjaciół syna czy też niedbała a pełna godności prośba o pożyczkę na czynsz tygodniowy od, powiedzmy, jego wydawców. Wkrótce John Dickens zrobił oszałamiające odkrycie, że istnieją ludzie, którzy zapłacą, i to brzęczącą monetą—za autograf Karola czy też kawałek papieru wyciągnięty z jego kosza na śmieci.

Karol znosił to wszystko — nie oszczędzając ojcu wyrzutów — aż musiał wreszcie dojść do wniosku, że trzeba uwolnić pana Dickensa od tego rodzaju pokus, jeżeli tylko się da to urządzić w jakiś ludzki sposób. Wyrzymywał jeszcze przez dwa lata.

Rzeczywiście, uznanie dla Karola rosło tak szybko, że i wielu innych zaczęło rzucać w jego kierunku szacujące spojrzenia. Wyglądał już na takiego, co zrobi pieniądze, był młody, pełen zapału i ambicji. Powinien daleko zajść. W maju pan Macrone zaproponował mu umowę na następną powieść i w miesiąc później Karol podpisał kontrakt, zgadzając się w ciągu sześciu miesięcy napisać i dostarczyć książkę za sumę dwa razy wyższą od tej, jaką mu zapłacono za „Szkice”. Cena wyglądała zachęcająco, kiedy kładł podpis na umowie.

W parę miesięcy później pan Ryszard Bentley, który miał zamiar otworzyć nowe pismo, zaproponował Karolowi, by objął jego redakcję za dwadzieścia funtów miesięcznie, a z propozycją tą łączyła się inna: pięć funtów za powieść, która będzie się ukazywać w piśmie w odcinkach. Redakcja nie powinna mu zająć zbyt wiele czasu, a z pisaniem zacznie się konkretna robota dopiero od stycznia. Oba zamówienia na powieść płatne były od razu z góry, co stanowiło ogromną pokusę. Karol przyjął jedno i drugie.

Nie byłby chyba człowiekiem, gdyby nie zaczął robić jakichś skomplikowanych obliczeń matematycznych, dodawać swych hajecznie wyglądających zarobków, zastanawiając się nad widokami na przyszłość, porównywać ich z obecnymi wydatkami i śnić o odkładaniu wielkich sum, o zabezpieczeniu przyszłości, o tym, by wreszcie jego wyobrażenia mogła pracować wyłącznie dla niego. Mógł teraz liczyć na czterdzieści pięć funtów miesięcznie za samo tylko pisanie, miał bowiem zamówienie na dwie powieści jednocześnie z „Pickwickiem” — a jednak musiał poświęcać co wieczór długie, cenne godziny na galerii Parlamentu za siedem gwinei tygodniowo za ledwie, a w dodatku co tydzień pisać jeden szkic.

Zdarzyło się, że właśnie tego lata wniesiono do Sądu niezwykle brudną sprawę przeciwko premierowi, lordowi Melbourne, a Karol został wyznaczony do pisania z niej reportażu. Oczekiwano sensacji, okazało się jednak, że był to niesłychany i ohydny szantaż. Oskarżyciel liczył, że dostanie jakąś okrągłą sumkę za wycofanie sprawy i nigdy nie myślał o konkretyzowaniu swego oskarżenia przed Sądem — nie miał bowiem do tego podstaw, a zeznania jego świadków były bez wartości. Cała ta sprawa była dla ludzi uczciwych obrzydliwa i Karol wrócił z Sądu oburzony stratą czasu.

„Jestem śmiertelnie zmęczony — pisze do

Macrone¹a. — Melbourne versus Norton wykończyli mnie zupełnie".

„Mam głęboką nadzieję, że przed następną sesją — pisze do innego przyjaciela — dokonam pewnych pociągnięć, które sprawią, że posiedzenia (Parlamentu) staną mi się obojętne, jak to mówią w bajkach: aż do samej śmierci".

W zasadzie skończył już z reporterką, choć trudno mu było zdecydować się na to za jednym zamachem. Praca ta dała mu przyzwoite warunki życia i kilku dobrych przyjaciół. Pozwoliła mu zetknąć się z wieloma ludźmi, którzy mogli mu pomóc, oraz dała mu znajomość spraw bieżących, co miało dlań ogromną wartość i czego nie osiągnąłby tak łatwo inną drogą.

Rozdział trzynasty „OLIVER TWIST"

Dawne, gromadne wieczory sobotnie u Dickensów, kiedy to zbierali się przyjaciele Fanny — muzycy, i kiedy grano, śpiewano, bawiono się w żywe obrazy i gadano w nieskończoność, pozwoliły wykluć się pewnym ambicjom. Karol został wierny swemu zamiłowaniu do teatru. John Hullah przerzucił na papier kilka melodyjek, które zawsze plątały mu się po głowie, a obaj wspólnie doszli do pewnych poglądów na temat reżyserii, wystawiania sztuk i samej gry. Z tych rozmów i prób powstała mała operetka „Prowincjonalne kokietki" — słowa Karola, muzyka Hullah'a — którą wystawiali wraz z kilkoma przyjaciółmi w Furnival's Inn. Przedstawienie odbyło się późną nocą, a kiedy się skończyło, pan Macrone, który wraz z paroma innymi osobami stanowił audytorium, wystąpił z jedną ze swych błyskawicznych ofert chcąc zakupić prawa. Choć sprawiło to Karolowi przyjemność, tym razem zawahał się.

Zaczęły

mu już bowiem świtać pewne wątpliwości co do tego sposobu załatwiania interesów, poza tym należało również liczyć się z opinią Hullaha. W końcu Dickens odmówił, a Hullah sprzedał oddzielnie swoją część wydawcy muzycznemu za cenę, którą uznał za zupełnie przyzwoitą. Był to oryginalny rezultat przedstawienia, lecz na tym się nie skończyło.

Wczesnym latem Karol wziął miesiąc urlopu i wynajął umeblowaną willę w Petersham koło Richmond. Nawet jeszcze dzisiaj ta dziwnie piękna oaza zieleni pomiędzy Richmond a Kingston pozostała nie naruszona, jakby cudem uniknęła twardego i szpetnego życia dziewiętnastego i dwudziestego stulecia. Dla Karolą i Katarzyny były to wakacje na wsi, na świeżym powietrzu, gdzie rzeka, lasy i pola kusiły ich do wyjścia z domu. Jednocześnie mieszkali tak blisko miasta, że mogli przyjmować gości z Londynu. Przyjechał tam do nich Macrone, chcąc omówić pewien pomysł związany z operetką, i przywiózł ze sobą dyrektora zbudowanego niedawno teatru St. James's. Pan ów zaciekał się sprawą widząc entuzjazm Macrone'a. Kiedy obaj panowie odjeżdżali, mieli tekst ze sobą. Został przyjęty do natychmiastowego wystawienia, a dyrektor podbił serce Karola, mówiąc krótko:

— To pewna karta. Założę się o dziesięć funtów, że pięćdziesiąt przedstawień murowane!

Tego dnia Karol pokazał również obu gościom drobiazg, który zrobił do spółki z Johnem Hullah — jeden ze szkiców, przerobiony w czasie poślubnych miesięcy na farsę pod tytułem: „Dziwny dżentelmen”. I tę sztukę również wzięto pod rozwagę — spodobała się i natychmiast weszła w próby, z tym, że miała być wystawiona przed „Prowincjonalnymi kokietkami”.

Co za niebywałe szczęście! Karol wrócił do FurnivaPs Inn jak na skrzydłach. Dwie jego sztuki mają się naprawdę ukazać na londyńskiej scenie! Ponadto pierwsze wydanie „Szkiców” zostało wyprzedane, drugie w przygotowaniu i dopominano się o następny tom. Wszystko to było wprost cudem, lecz w owym różanym kwiecie krył się jednak robak. Szybkie wznowienie książki potwierdzało złe przeczucie Karola o szaleństwie, jakim jest jednorazowa sprzedaż praw autorskich. Jeśli książka będzie miała w dalszym ciągu powodzenie, w co wierzył, inni zbiorą bogaty plon jego kosztem. Płacił za doświadczenie, lecz nauuczka nie była wystarczająca, bo prawie natychmiast sprzedał Macrone'owi prawa do wydania innej swojej powieści. W kontrakcie nosiła tytuł „Gabriel Vardon, ślusarz londyński”, lecz później zdobyła sobie sławę jako „Barnaby Rudge”.

Karol nie zapowiedział jeszcze w redakcji, że po wakacjach przestanie pracować na galerii Parlamentu i przez całe lato pobierał jeszcze

stamtąd pensję. Dopiero kiedy podpisał nową umowę na drukowanie szkiców zarówno w porannym, jak i w wieczornym wydaniu gazety, złożył tam swoją rezygnację, a potem było mu wyraźnie przykro, kiedy stwierdził, że redaktor jest z tego niezadowolony. Nie doszło do otwartej kłótni, lecz nie usłyszał również wyrazów żalu, że go tracą, ani też słów uznania dla jego dotychczasowej pracy. Nowe szkice ukazywały się uprzednio w gazecie, lecz narzekano trochę na to, że są za krótkie, i obcinano mu proporcjonalnie honorarium.

Ponieważ Katarzyna spodziewała się w styczniu dziecka, siostra jej Mary zamieszkała teraz z nimi, by dotrzymać jej towarzystwa. Prawdopodobnie Fryderyk przeniósł się gdzieś, bo w trzech pokojach musiałyby im być zbyt ciasno we czwórce.

Mary miała szesnaście lat, była rozsądna, nie zepsuta, wesoła, sympatyczna i, na szczęście, nie miała owych zmiennych nastrojów i złych humorów, które tak szpeciły charakter Katarzyny i tak bardzo utrudniały współżycie. Siostry przyjaźniły się bardzo i dobrze im było ze sobą. Mary uważała, że Karol jest nadzwyczajny, i uwielbiała go prosto i szczerze, czym on się bardzo cieszył. Wniosła ona do ich mieszkania coś, co zmieniło te kilka pokoi w dom ciepły, szczęśliwy i tryskający radością.

Ponieważ Katarzyna nie mogła już wychodzić z mężem, Karol zabierał Mary do teatru, na przyjęcia, a nawet do wydawców i stwierdził, że zdobyła sobie sympatię jego przyjaciół, że wszędzie, gdzie się ukazała, szły za nią spojrzenia pełne zachwytu i że przynosi mu zaszczyt swą urodą, dowcipem i rozsądkiem. Podbiła sobie serca wszystkich, czego nigdy nie potrafiła dokonać Katarzyna. Powodzenie nie zepsuło Mary, która w dalszym ciągu zajmowała się sprawami domowymi. Była dobra dla Katarzyny i zarażała ją nową zupełnie dla niej słodyczą, kiedy tak siedziały razem, szyjąc czy szydełkując coś dla niemowlęcia.

W tym okresie Karol wiele przesiadywał w teatrze, bo na świętego Michała miała się odbyć w St. James's premiera „Dziwnego dżentelmena”. Natychmiast po tej sztuce miała być wystawiona operetka, a szóstego grudnia odbyło się wielkie przedstawienie galowe, na którym odegrano obie sztuki.

W miesiąc później Katarzyna obdarzyła Karola synem i mogło się zdawać, że czara szczęścia młodego pisarza wypełniła się po brzegi. Cieszył się ogromnie, że malec urodził się w jego ulubione święto, w Wieczór Trzech Króli. Był w cudownym humorze i biegał hałaśliwie po Holborn, trzymając Mary za rękę i szukając niskiego, wygodnego fotela dla Katarzyny. Ogłosił o urodzinach syna, wypił zdrowie młodego Karola Culliforda Boza, ustalił datę

chrzcin — które trzeba było odkładać, odkładać i jeszcze raz odkładać — i zaczął się rozglądać za większym domem, gdzie jego biurko i kołyskę dziecka dzieliłaby większa odległość.

W marcu wystawiono w teatrze St. James's jeszcze jedną jego sztukę, komedię „Czy to jego żona?” Wszystkie trzy utwory miały słabe recenzje, lecz Karol był w siódmym niebie, czuł bowiem, że stał się człowiekiem teatru; ma swoje miejsce na próbach i głos w reżyserii. Nigdy nie miał dość oglądania przedstawień i hojnie rozsyłał bilety przyjaciołom i znajomym. Prawdę mówiąc, w ciągu tych sześciu miesięcy zmarnował wiele czasu na teatr pod takim czy innym pozorem, lecz nie dostał zawrotu głowy. Stwierdził, że oba te drobiazgi nie są arcydziełami i kiedy schodziły ze sceny, nie pragnął bynajmniej, by któraś z jego sztuk została wznowiona. Dla tak młodego pisarza były to przeżycia wprost niezwykle i nie byłby człowiekiem, gdyby się nimi nie cieszył.

Nie mógł też w tym okresie zapomnieć o codziennym kawałku chleba, i to z masłem, ponieważ ustawicznie dostawał napomnienia od wydawców czy drukarzy, by przysłał im dalsze odcinki zamówionych powieści; poza tym Bentley czekał na pierwszy numer „Rozmaitości” (Miscellany). Miała się w nim ukazać pierwsza część powieści pod tytułem „Oliver Twist — życie chłopca z przytułku”. Pomysł książki

wziął Karol częściowo z tego, co słyszał w Izbie Gmin, a częściowo z opowiadań owej małej sierotki, które pamiętał z lat chłopięcych. Wychowywała się ona w tej właśnie instytucji w Chatham, gdzie Karol kazał Oliverowi po raz pierwszy ujrzeć światło dzienne. Jeżeli zaś idzie o opis jaskini złodziejskiej Fagina i zaułków w slumsach, gdzie spędzali czas, opierał się w wielkiej mierze na tym, co widział na własne oczy.

Rzadko zdarzało się Karolowi, by zbrakło mu pomysłu do jakiejś postaci. Tyle miał w pamięci typów ludzkich, na których mógł się wzorować, wszystkie tak żywe, jak wówczas, kiedy tych ludzi oglądał, i wyczytywał im z twarzy ich przeszłość i teraźniejszość; kiedy jednak przyszło do sędziego, przed którego oblicze został wezwany Oliver, ze szczególną troską zastanawiał się nad wzorem. Znał już dobrze reputację człowieka, którego chciał tu opisać, lecz pragnął przyjrzeć mu się podczas pracy, tak by podchwycić autentyczne brzmienie jego głosu. Poprosił więc swego przyjaciela, by któregoś ranka przesznuł go pod jakimś pretekstem do Sądu, kiedy za stołem sędziowskim zasiędzie pan Laing w Hatton Gardens. Laing był człowiekiem przykrym, miewał ataki niepohamowanego gniewu, toteż było znamienne, że w niedługim czasie po opublikowaniu odpowiednich scen z „Olivera Twista” sekretarz Minister

stwa Spraw Wewnętrznych uważał za stosowne usunąć Lainga z jego stanowiska.

Być może, nie przekonuje nas łagodność i naiwność Olivera w momencie, kiedy parafia się go pozbywa, lecz Karol wyrażał tylko przekonanie, które opierało się na jego własnych doświadczeniach, że dziwne cechy charakteru ujawniają się u dzieci z najbardziej nieprawdopodobnych środowisk, i cłóć ówczesnym czytelnikom wydawało się to wprost nieprawdopodobne, miał zapewne słuszną twierdząc, że nikt nie może być skazany na życie w poniżeniu tylko dlatego, iż miał nieszczęście urodzić się w takich, a nie innych warunkach, z takich, a nie innych rodziców. Znał umysły ludzi, do których chciał trafić — być może osądzał ich miarą inteligencji i wrażliwości swoich własnych rodziców. Wiedział, że nie może liczyć na obudzenie ich zainteresowania, jeżeli się nie zagra mocno na ich uczuciach.

Czytanie stanowiło nową formę rozrywki dla ludzi, do których chciał przemówić — niewiele wiedzieli o życiu toczącym się poza małymi, zamkniętymi kółkami ich przyjaciół i sąsiadów. Dalecy od intelektualizmu, byli lekkomyślni, skorzy do łez i śmiechu. Karol wiedział, jak ich zabawić i jak ich wzruszyć, lecz we wszystkim prawie, co przedsiębrał, miał jakiś poważny cel. Uważał, że trzeba pokazać ludziom, jak żyją inni. Widział, jak projekty reform prze kształcają się w akty Parlamentu, lecz był przekonany, że ustawy nie zmienią życia, dopóki zwykli ludzie nie zrozumieją, co za tymi ustawami stoi i sami nie będą się starali zmienić istniejącej rzeczywistości.

Często wyrzucano mu pisanie o tak strasznych postaciach, jak Bill Sikes i jego Nancy, Fagin i Krętacz — lecz nikt jakoś nie kwestionował Olivera. Kiedy książka miała być wznowiona po raz trzeci (wyprzedzamy tu naszą opowieść o parę lat), Karol odpowiedział tym krytykom w specjalnej przedmowie: „Dziesiątki razy zdarzyło mi się czytać o złodziejach: byli to urzekający chłopcy (przeważnie mili w obejściu), nienagannie ubrani, z pękatymi portfelami, świetni jeźdźcy o śmiałej postawie, mający wielkie powodzenie w miłości, wspaniali w śpiewie, przy butelce, talii kart lub grze w kości, godni towarzysze dla najdzielniejszych z dzielnych. Nigdzie jednak (prócz obrazów Hogartha) nie spotkałem się z żalną rzeczywistością. Zdawało mi się, że narysować szajkę takich przestępców, jacy naprawdę istnieją, odmalować ich w całej ich potworności, w całym upadku, w całej brzydkiej nędzy ich istnienia, pokazać ich, jakimi są naprawdę — wiecznie przemykających się chyłkiem po najbrudniejszych ścieżkach życia, mających zawsze przed sobą upiorne, czarne widmo szubienicy — zdawało mi się, że uczynić to znaczyło pokusić się o coś,

co jest potrzebne, co przysłuży się społeczeństwu. Toteż uczyniłem to najlepiej, jak umiałem.

We wszystkich znanych mi książkach, w których mowa jest o takich postaciach, dodaje im się ponęt i czaru. Nawet w »Operze żebraczej« złodzieje wiodą żywot wzbudzający raczej zazdrość niż inne uczucia^

Jakież to życie opisane jest na stronicach niniejszej książki jako codzienne życie złodzieja? Jakież ma urok dla młodych i obdarzonych złymi skłonnościami, jakie ponęty dla najbardziej postrzelonego młodzika? Nie ma tu kłusowania po wrzosowiskach oblanych księżycową poświatą, nie ma wesołych biesiad w zacisznych jaskiniach, nie ma żadnych atrakcji stroju, żadnych haftów, koronek, wysokich butów, karmazynowych fraczków i marszczonych rusz, nic z tego polotu i swobody, jakie od niepamiętnych czasów wiązano z „Rycerzami Gościńca”. Zimne, mokre, nieprzytulne ulice Londynu o północy; cuchnące i brudne nory, gdzie występki tłoczy się w ciasnocie i nie ma się gdzie obrócić; przybytki głodu i choroby; wydarte łachmany, ledwo trzymające się kupy; gdzież w tym jakikolwiek urok?

Ponieważ jednak celem niniejszej książki było przedstawienie nagiej prawdy, nawet jeśli chodzi o strój tej wielce sławionej (w powieściach) czerechy, nie darowałem dla dogodzenia czytelnikom ani jednej dziury w kurtce Krętacza, ni jednego papilota w rozczochranej czuprynie Nancy. Nie wierzyłem w taką delikatność, która nie jest w stanie znieść ich widoku" *.

Karol pisał „Pickwicka” i „Olivera” na zmianę, zależnie od tego, czy potrzebny był nowy odcinek tej czy tamtej powieści. Ciężka to była praca w małym mieszkaniu na Furnival's Inn, przy płaczącym często dziecku, w pokoju zawieszonym suszącymi się przed ogniem pieluszkami. Wreszcie Karol znalazł odpowiedni dom za przystępną cenę. Było to na Doughty Street, a dom ten jest do dziś zachowany jako dom Dickensa i siedziba Towarzystwa Dickensowskiego. Ulica Doughty jest szeroka, a domy po obu jej stronach są bardzo przyjemne. W owych czasach ulica była z obu stron zamknięta bramami strzeżonymi przez portierów w liberii. Mary Hogarth zamieszkała tu ze swą siostrą, a i Fryderyk wrócił do brata. Najęto dwie służące i chłopaka. W czasach kiedy nie istniał telefon, chłopiec na posyłki był koniecznością życiową dla tak zapracowanego człowieka jak Karol.

Przeprowadzka została zakończona i Karol odetchnął. Czasopismo miało ogromne powodzenie i przynosiło panu Bentley duże pieniądze.

Przynosiło również uznanie Karolowi, który uważał zresztą, że praca wydawnicza nie jest zbyt uciążliwa. „Oliver” został życzliwie przyjęty, a Karol wciąż jeszcze był zdania, że pięćset funtów to honorarium całkowicie za taką książkę wystarczające. Bentley prosił teraz o następną powieść, która poszłaby po „Oliverze”, na tych samych warunkach, a później o jeszcze jedną, również na tych samych warunkach. Chciał kuć żelazo, póki gorące, lecz miał zbyt duże apetyty. Karol się zbuntował.

- !

Rozdział czternasty FORSTER PRZYCHODZI NA RATUNEK

Skończyły się niezwykle i pełne wrażeń dni roku 1836, chociaż fala powodzenia nie cofnęła IşB I w roku następnym, 1837. W kwietniu obchodzono radośnie na bankiecie pierwszą rocznicę „Pickwicka”, a komplementy sypały się jak deszcz na głowę uśmiechniętego autora. W miesiąc później ziemia usunęła mu się spod nóg, bo Mary umarła nagle, dosłownie na jego rękach.

Była to sobota wieczór — Karol, Mary, Katarzyna i starsi państwo Dickensowie byli razem w teatrze. Trójka powróciła na Doughty Street w wybornym humorze, zjadła wesoło kolację i poszła spać. Nim Karol zdążył się rozebrać, usłyszał jakiś odgłos, wyszedł więc na podest schodów, by posłuchać, podszedł do drzwi Mary i zastukał. Kiedy wsunął głowę do jej pokoju, zobaczył, że nie może schwytać oddechu. Katarzyna przybiegła słysząc jego wołanie, lecz nigdy w życiu nie widziała jeszcze takiej cho-

roby. Fryderyk pobiegł po doktora, lecz i ten również nic nie mógł pomóc, nie miał bowiem pojęcia, na co cierpi chora.

Przez całą noc Mary w bólach walczyła z chorobą. Karol podtrzymywał ją, gdy leżała na łóżku i od czasu do czasu próbował wlać w jej usta trochę brandy — wszystko to jednak nie dało rezultatów. Wczesnym popołudniem patrzył, jak umierała ta, która zaledwie dwanaście godzin temu śmiała się i żartowała z nim i Katarzyną.

Pani Hogarth zdążyła przyjść tuż przed śmiercią swej córki, zemdląca i trzeba ją było zaraz położyć do łóżka. Karol był bliski szaleństwa, a mimo to musiał zająć się smutną sprawą zorganizowania pogrzebu. Pochowano Mary w Kensal Green, a na jej nagrobku Karol kazał wyryć słowa: „Młoda, piękna i dobra — Bóg zabrał ją do grona swych aniołów we wczesnym wieku siedemnastu lat”.

Po pogrzebie Karolowi ciężko było wrócić do domu, z którym tyle łączyło się wspomnień, zabrał więc Katarzynę na parę tygodni do starego, drewnianego wiejskiego domku w Hampstead, gdzie już przedtem malarze i jeden wielki poeta znajdowali natchnienie. William Blake przemierzał ongiś ten mały ogródek patrząc w kierunku rosnących tam wierzb i stał „w cichej zadumie” przed niskimi drzwiami, spoglądając ku poroślemu lasem zboczu. Wzdłuż do-

mu, od frontu, była i jest po dziś dzień weranda przykryta lekkim daszkiem, przez który przerosło twarde jak stal drzewo rozłożystej wiśni. Tu właśnie siadywali Karol i Katarzyna, patrząc, jak na niskich pagórkach na północy wiosna przeradza się w lato. Przyjeżdżali do nich przyjaciele, by im wyrazić współczucie, i zostawali, by porozmawiać o zmarłej Mary. Był między nimi Macrone, Harrison Ainsworth, malarz Maclise i John Forster, zawsze chętny służyć pomocą. Słuchał ich ze współczuciem i wtedy właśnie powstały podwaliny ich długiej, trwałej przyjaźni. Wyjechał, mając świadomość, że pozyskał pełne zaufanie Karola i że stosunki ich są tak zażyłe, jakby się znali od urodzenia.

Pod koniec miesiąca Karol czuł się już na siłach, by znowu zacząć pisać i stawić czoło pustce swego domu. Dziwne uczucie ogarnia nas dziś, gdy możemy wejść do tego samego domu, gdzie się to wszystko działo, gdzie Mary umarła, a Karol tak strasznie cierpiał. Zabrał się do roboty, mając teraz całkiem inne perspektywy przed sobą, toteż z niesmakiem patrzył na wszystkie umowy, jakimi się związał. Przeradzały go teraz. Jakżeż on je może wypełnić? Jak się z nich może wypłatać? Był jednak przy nim Forster, dobry, zdolny i mądry. Miał prawnicze wykształcenie, był mocny i bezpośredni — wymarzony przyjaciel w potrzebie.

Karol natychmiast zawierzył mu całą tę skomplikowaną historię, a Forster uważając, że Boz jest młodym pisarzem, którym warto się interesować i któremu warto pomóc, wysłuchał wszystkiego uważnie i .cierpliwie do końca, prosił o dane i dokumenty i obiecał sprawdzić, jak to naprawdę wygląda, i zobaczyć, co by tu można poradzić. Karol musiał się przyznać, że nie zawsze zwracał sobie głowę dokumentami, nie zawsze zachowywał chociażby kopię umów, które tak beztrąsko podpisywał, a czego teraz tak gorzko żałował.

Niełatwo było znowu zabrać się do roboty po zmianach, jakie zaszły w ciągu ostatnich paru tygodni, i Karol jęczał na myśl o żądanych odeń co miesiąc tysiącach słów „Pickwicka” i „Oli- vera”, i wzdychał o natchnienie zabierając się do dodatkowej pracy, jakiej wymagały teraz od niego „Rozmaitości”. Wiedział, że Macrone ogłasza już „Gabriela Vardona” jako powieść, która „ukaze się w najbliższym czasie” — podczas gdy on nie napisał jeszcze ani jednego słowa. Poza tym były jeszcze dwie umowy z Bentleyem, a termin pierwszej z nich zbliżał się niepokojąco. Mógłby wołać razem z psalmistą: „Nieprzyjaciele osaczają mnie ze wszystkich stron, ze wszystkich stron mnie osaczają!”

Był w nieznośnej sytuacji, zagoniony na śmierć. Trudno się dziwić, że złościł się, iż musi pisać powieść dla Macrone'a za dwieście funtów, podczas gdy Bentley zapłaciłby mu pięćset. Marzył o tym, by się pozbyć umowy z Macrone'em, i prosił Forstera, by sprawdził, czy to możliwe.

Harrison Ainsworth, świadom, że to jemu zawdzięcza Karol pierwszą propozycję Macrone'a, która w swoim czasie tak uradowała młodego pisarza, przyglądał mu się teraz z pewnego oddalenia i znakomicie zgadywał, o co idzie. Sukcesy Karola irytowały go trochę, zazdrościł mu też redagowania „Rozmaitości” Bentleya, tak więc nie czuł wyrzutów sumienia szepcząc Maorone'owi do ucha, by upierał się przy swoich prawach i wziął adwokata, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Macrone był zawsze przykry w sprawach pieniężnych, a w tej chwili kłopotał się w dodatku stanem własnych interesów. Usłuchał więc namowy Ainswortha i uparł się stanowczo przy swoich prawach, kiedy Forster zagadnął go o to. Rozmowy ich ciągnęły się w nieskończoność, a Karol szalał z niepokoju, że będzie musiał, mimo wszystko, dotrzymać umowy. W rozpaczy przerwał polubowne negocjacje Forstera i próbował sam załatwić sprawę, co mu się zresztą na razie udało, bo wy dostał od Macrone'a kontrakt na powieść „Gabriel Vardon”. Forsterowi powiodło się lepiej z Bentleyem, namówił go bowiem do zaniechania drugiego kontraktu i przesunięcia daty wykonania pierwszego. Ka-

I roi odetchnął i zaproponował Bentleyowi, że dor Ichowa umowy z nim, dając mu „Gabriela Var- don” pod tytułem „Barnaby Rudge”.

Ta nieprzyjemna sytuacja powstała częściowo na skutek wrodzonej chęci Karola do szybkiego robienia pieniędzy, a częściowo na skutek niezwykle tempa, z jakim jego nazwisko nabierało znaczenia w świecie literackim. Książki jego były bestsellerami, nie można ich było porównać z niczym, co się w owych czasach mieściło w doświadczeniach wydawców, toteż jego wartość rynkowa rosła niezwykle szybko, prawie z miesiąca na miesiąc, tak że propozycja, która w chwili jej składania wyglądała wcale zachęcająco, już w kilka tygodni później wydawała się skąpa, a kiedy Karol zbierał się do jej wykonania, pozłota schodziła z niej całkowicie — Karol zaś nie potrafił zapomnieć, że autor odpowiada za to, co sprzedaje wydawca. Pisanie nigdy nie przychodziło mu łatwo, brakowało mu sprawności technicznej, by mógł stać się Edgarem Wallace^fem*. Wysilek wyobraźni przy stwarzaniu postaci i wymyślaniu akcji i sytuacji dosłownie wyciskał mu pot z czoła. Dickens był niezwykle żywotny, dzięki czemu potrafił przez długie okresy pracować w dużym napięciu, lecz miało to bezpośredni i fatalny

BNBH

Hi

wpływ na jego zdrowie. Po godzinach, spędzonych bez rezultatu nad biurkiem, zbyt często siadywał do późna w nocy walcząc z zamętem myśli, które nie chciały układać się w obraz, jaki pragnął narysować. Natężenie dawało w wyniku niepokój i Karol, zamiast kłaść się do łóżka, zdzierał zdrowie chodząc po ulicach, tak jak to robił w swoich dniach reporterskich.

Natychmiast gdy Forster załatwił sprawę z kontraktami Bentleya, powstała nowa komplikacja. Macrone miał zamiar zrobić drugie wydanie „Szkiców Boza” w miesięcznych odcinkach, jak najbardziej podobnych do odcinków

„Pickwick”, nawet w zbliżonej, zielonej oprawie. „Pickwick” stał się już tak popularny, że wszyscy, od tragarzy na targach do sędziów w Sądach, wyglądali dnia wydania następnego zeszytu i ostatnich dowcipów Sama Wellera. W „Szkicach” zaś nie będzie nic nowego. Były już przecież raz wydane, niektóre z nich nawet opublikowano dwukrotnie. Karol szalał. Czytelnicy rozczarują się, sprzedaż „Pickwicka” spadnie, a reputacja autora zostanie pode-
rwana.

Trzeba przeszkodzić Macrone'owi. Karol błagał Forstera, by coś zrobił. Choć Forsterowi nie udało się uprzednio z Macrone'em — był dobrym pośrednikiem, chłodnym, świetnym dyplomata, umiał wziąć pod uwagę cudzy punkt widzenia, nigdy nie tracąc z oczu swego celu. Potrafił być nieustępliwy i uparty, a jego prawość budziła powszechny szacunek. Lubił prowadzić sprawę tak, jak to sam uważał za stosowne, choć jego metoda wydawała się często Karolowi zbyt spokojna i powolna. Forster poszedł więc do Macrone'a i zaczął badać sytuację. Wydawca był bardzo pewny siebie i oświadczył stanowczo, że kupił wyłączne prawa na „Szkice” i będzie z nimi robił, co mu się żywnie podoba. Forster przyjął to spokojnie, obserwując Macrone'a spod oka. Nagle wypalił bez ogródek:

— Ile by pan chciał za odstąpienie praw?

(Trzeba pamiętać, że Macrone zapłacił za nie sto funtów).

— Ani pensa mniej niż dwa tysiące — padła ostra odpowiedź.

Forster, zgorzony, pożegnał się z wydawcą. Radził Karolowi, by tymczasem nic nie robił i przestał myśleć o całej sprawie — Karol jednak nie był do tego zdolny. Tak się tym przejmował i denerwował, że pod wpływem nagłego impulsu poszedł do Chapmana i Halla i wyjaśnił im całą sprawę. Zapłacili Macrone'owi ową bajeczną sumę i kupili prawa, układając się w ten sposób, że Karol brał na siebie odpowiedzialność za część tych pieniędzy. Okazało się, że na dłuższą metę i ta operacja finansowa była korzystna, chociaż Forster zawsze mówił, że „cieszył się, iż nie brał udziału w tak szalonej transakcji”.

Tego lata Karol po raz pierwszy przekroczył Kanał, razem z Hablotem Browne i Katarzyną. Podróżowali dyliżansem z Calais przez Francję i Belgię. Potem, pod koniec sierpnia, spędzili wesołe dni w Broadstairs, gdzie Karol szalał jak mały chłopiec na dziwnym, starym moście i ładnych plażach, płatając figle całkowicie nie licujące z godnością zdobywającego sobie sławę pisarza. Jeździł na osle po zarosłych zielenią skalnych zboczach i zapominał, jak wiele przecierpiał tego roku.

Na jesieni „Pickwick” został triumfalnie za

kończony „wspaniałym obiadem, wspaniałymi winami i wspaniałymi mowami” — na jego cześć. Nim Karol poszedł na ten obiad, otrzymał czek na siedemset pięćdziesiąt funtów, wystawiony przez swoich wydawców, kiedy zaś wstał, by wygłosić toast, kelner postawił przed nim „lśniące cacko z cukru, gdzie pod baldachimem stała malutka figurka samego pana Pickwicka”. Na obiedzie byli obecni wszyscy przyjaciele Karola, łącznie, rzecz jasna, z Forsterem, do którego napisał właśnie: „Twoje uwagi napelniają mnie wielką wdzięcznością, ale i wielką dumą, uważaj więc, co piszesz”.

Jakże zmieniły się warunki od pamiętnego dnia, w którym to pan Hall przyszedł na Furnival's Inn ze swoją pierwszą propozycją. Przez te osiem miesięcy Karol zrobił duże postępy w sztuce pisania, o czym można się przekonać porównując pierwsze i ostatnie rozdziały książki. „Pickwick” przyniósł mu sławę i dużo pieniędzy. Pickwick i Sam Weller, twory jego wyobraźni, stały się postaciami znanymi w całym kraju i nikt, z odrobiną rozsądku w głowie, nie mógł żywić wątpliwości, że Karol Dickens ma przed sobą nie byle jaką przyszłość.

Hablot Browne również odniósł duży sukces. Jego ilustracje do powieści Dickensa, z których parę zostało wybranych dla zilustrowania niniejszej książki, zachowały cudownie niektóre szczegóły codziennego życia z epoki ostatnich dylizansów. Widzimy tam zajazdy z galeryjkami, woźniców pocztowych, tragarzy, dorożki, ludzi bogatych i biednych, obrazki z miasta i wsi — i, przede wszystkim, prawników i ich kancelarie.

Po skończeniu „Pickwicka” Karol natychmiast przeskoczył myślami do następnej książki, bo, rzecz oczywista, firma wydawnicza, która umożliwiła mu start, chciała wydawać dalsze jego dzieła. Chodził mu wtedy po głowie pomysł napisania dla nich powieści o „tanich” szkołach z internatem, które wówczas skupione były przeważnie w Yorkshire. Pomysł ten zajął go o wiele mocniej niż „Gabriel Vardon”, toteż Karol pragnął odsunąć od siebie kontrakt z Bentleyem o rozruchach Gordona i zająć się nowym tematem. Nie miał jednak wymówki na odroczenie terminu umowy — i dopiero sam Bentley wskazał mu drogę ratunku.

Okazało się, że Bentley zamówił u pewnego dziennikarza opracowanie pamiętników Grimaldiego, słynnego kłowna, tego samego, którego Karol oglądał z Jamesem Lamertem na Drury Lane tyle lat temu. Rękopis nie odpowiadał jednak wydawcy i Bentley zastanawiał się, czy Dickens nie mógłby coś z tego materiału zrobić. Życiorys opierał się na autentycznych relacjach kłowna, a Karola bardzo zaciekało życie tego człowieka. Przeczytał rękopis, lecz choć zawierał on kilka niezłych opowiadań, ca

łość była bardzo mierna. Zgodził się, że ją przerobi i napisze przedmowę. Z zachwytem stwierdził, jak znakomicie przypomina sobie każdy moment przedstawienia, które oglądał jako dziecko, i czuł, że w tej pracy pomoże mu pamięć. Znalazł również dość prosty sposób jej wykonania. Zatrudnił swego ojca jako stenografa, który pisał pod jego dyktando, i w ten sposób Karol przerobił całość, wygładzając język, który płynął teraz potoczyscie.

John Dickens był zachwycony i widział się już zapewne w przyszłości w charakterze sekretarza własnego syna. Ten sposób wykonywania pracy okazał się jednak zbyt powolny i niezbyt szczęśliwy. Bądź co bądź robota przyniosła Karolowi trzysta funtów, kiedy zaś wręczał manuskrypt Bentleyowi, uzyskał od niego prolongatę na dostarczenie „Gabriela Vardon”. W ten sposób Karol zdobył czas na napisanie książki, na którą miał naprawdę ochotę, a był nią „Nicholas Nickleby”.

Rozdział piętnasty SZKOŁY W YORKSHIRE

Dickens ani nie wymyślił, ani nie przesadził obrazu Dotheboys Hall. Było powszechnie wiadome, że takie szkoły istnieją. Ogłaszały się często w gazetach londyńskich, i to w taki sposób, by nikt nie miał wątpliwości, iż stanowią łatwą drogę pozbycia się niepotrzebnych dzieci. Karol wiedział o tych „tanich” szkołach jeszcze z czasów Chatham, kiedy to zobaczył chłopca, który przyjechał z jednej z nich ze straszliwie ropiejącym uchem. Być może, więcej o nich słyszał od swoich rodziców, może nawet myślał o nich w tych nieszczęsnych czasach na Bayham Street, gdzie, jak to później pisał, oddałby wszystko, by uczęszczać do jakiegokolwiek szkoły. Zainteresowania jego datowały się jeszcze od tamtych czasów, lecz ożywiły się teraz pod wpływem wiadomości o pewnym, wyjątkowo wstrząsającym wypadku, gdzie chłopcy umarli z braku opieki. Tego rodzaju wiadomości rozchodziły się w owych czasach powoli i opinia

publiczna dopiero zaczynała zdawać sobie sprawę, że od niej zależy położenie kresu tym nadużyciom — oburzenie społeczne zaczęło się budzić i rosnąć.

Celem nowej powieści Karola miało być pokazanie takich właśnie szkół, wpieryw jednak musiał zebrać materiał. Prawdopodobnie przy tej okazji przeczytał następujące ogłoszenie w „Timesie”, kiedy przeszukiwał odpowiedni dział w pismach:

„EDUKACJA — w Earlby Hall, koło Greta Bridge, w Yorkshire, młodzież męska dostaje MIESZKANIE I UTRZYMANIE, UBRANIE, książki oraz WYKSZTAŁCENIE w każdej gałęzi wiedzy, jakiej wymaga ich przyszłość, za 20 gwinei per annum — bez żadnych opłat dodatkowych ani przerw wakacyjnych. Przełożony pan Simpson. Prospekty z referencjami można otrzymać w gospodzie »Pod Głową Saracena«, na Snow Hill, gdzie pan S. będzie przyjmował przez parę dni codziennie między godziną dwunastą a drugą”.

Właśnie „Pod Głową Saracena” na Snow Hill przyjmował codziennie pan Squeers. Karol i Hablot Browne pojechali do Greta Bridge w poszukiwaniu potrzebnego materiału, przybrawszy fałszywe nazwiska, Karolowi bowiem przyszło do głowy, że jego reputacja jako autora szkiców o współczesnym życiu londyńskim może być przeszkodą w obecnych ich poszuki

waniach. Znalazł sobie również rozsądny pretekst do tej wizyty, bajeczkę o owdowiałej przyjaciółce, która pragnie znaleźć w tych stronach szkołę dla swego synka. Wziął ze sobą list polecający od pewnego adwokata londyńskiego do innego adwokata w miasteczku targowym Barnard Castle.

Wyruszyli pod koniec stycznia. Im dalej posuwali się na północ, tym większy padał śnieg. Wysiedli z dyliżansu w Greta Bridge, skąd napisał do Katarzyny, że „około ósmej (wieczorem) zaczął sypać gęsty śnieg, a kiedy przejeżdżaliśmy przez dzikie okoliczne wrzosowiska, nie widać było ani śladu drogi. Dyliżans mimo wszystko dobrze dawał sobie radę i koło jedenastej przyjechaliśmy do odludnego miejsca, gdzie stał jeden samotny dom na ponurym pustkowiu”. Dom był pogrążony w zupełnych ciemnościach i obaj panowie patrzyli z rozpaczą, jak dyliżans się tam zatrzymuje. Nikt nie wyszedł, by ich powitać. Było straszliwie zimno i pusto — nigdzie wokół śladów życia. A jednak, ku wielkiej radości, stwierdzili, że za zamkniętymi drzwiami i okiennicami zasuniętymi sztabą czeka ich przyjemna niespodzianka: wygodny pokój i buchający ogień. W pół godziny później postawiono przed nimi gorącą kolację, po której udali się do „wygodnych sypialni, a w każdej z nich huczał ogień do połowy komina”.

Następnego ranka, po zwykłym yorkshirskim

śniadaniu, na które składały się: „grzanki, ciasta, zapiekanka yorkshirska, plaster wołowiny przypominający kształtem i wielkością mój sakwojaż, herbata, kawa i jajka na szynce” — ruszyli dalej na swą wyprawę badawczą.

Zaledwie o milę czy dwie leżało Barnard Castle, cel ich podróży. Dowiedzieli się zaraz, że wioska Bowes, o cztery mile dalej, znana jest ze swych szkół; tam to właśnie znaleźli tę, która posłużyła im za wzór Dotheboys Hall. Do wioski dojeżdżało się stromą, niebezpieczną drogą, po której wiały lodowate wichry. Bowes jest do dzisiaj małą wioską, rozrzuconą po jednej stronie jedynej ulicy na przestrzeni może mili, lecz Karol znalazł tam nie mniej niż cztery takie ponure zakłady. Dobrze wydeptał tę zasypaną śniegiem ulicę, biegnącą koło starej gospody i kościoła, na którego cmentarzu leżało wiele z tych nieszczęsnych dzieci — do dziś można to sprawdzić w rubrykach ksiąg kościelnych! Pełni oburzenia, Karol i Browne wrócili do Barnard Castle i wyszukali adwokata, do którego miał Karol ów list polecający.

Adwokat okazał się ogromnym, szorstkim w obejściu mężczyzną, który, sam o tym nie wiedząc, wniósł coś do przygotowywanej książki, mianowicie Johna Browdie (który był tak zachwycony wiadomością, że Nicholas „obił przełożonego”). Podczas rozmowy Karol stwierdził, że za każdym razem, gdy wraca do sprawy szko-

ły dla synka swej przyjaciółki, szeroka, wesoła twarz adwokata zmienia się; wreszcie po wielu wysiłkach, by nie wypowiadać się na ten temat, prawnik powiedział, co myśli.

— Było mi z panem bardzo miło — oświadczył z powagą — i powiem panu, co naprawdę o tym myślę. Niech pan nie pozwala wdowie posyłać chłopca do naszych nauczycieli, dopóki jest w Londynie jeden koń, którego malec mógłby zamiast tego czyścić, czy jeden rynsztok, w którym mógłby spać. — Spojrzał mocno w twarz młodego człowieka i powtórzył to słowo z przyciskiem.

Więcej wskazówek Karol nie potrzebował. Złożył wizyty kilku nauczycielom, którzy ogłaszali swoje zakłady, zobaczył budynki i na własne oczy widział chytre i złośliwe spojrzenia nauczycieli i niedolę ich ofiar. Spotkał człowieka, który posłużył mu za wzór Squeersa, a portret był tak wierny, że oryginał łatwo mógł się zidentyfikować i wystosować do Karola protest za rujnowanie reputacji jego zakładu.

Pewnego ranka przed wyjazdem z Barnard Castle Karol popijał kawę w gospodzie „Pod Głową Królewską”, patrząc bezmyślnie na obszerny, brukowany plac targowy, kiedy wzrok jego natknął się na sklep zegarmistrza po przeciwnej stronie rynku, gdzie nad drzwiami wejściowymi widniał napis: „Master Humphrey”. Karol przeszedł przez rynek i wetknął głowę do

sklepu, zapamiętując staroświeckie wnętrze jako scenę, z której może zrobić kiedyś użytek. I rzeczywiście opisał je jako swój pokój redaktorski, kiedy zaczął wydawać pismo, które nazywał „Zegar Pana Humphreya”.

Przez całą drogę powrotną do Londynu nowa powieść przybierała w głowie Karola realne kształty, a jednak kiedy usiadł przy biurku, nie mógł jakoś znaleźć właściwych słów. Przez pewien czas mordował się z opisem miejsca, potem zaczął rozdział od historii rodziny Nickleby, ale napisał w triumfie do Forstera: „Zacząłem! A co ważniejsze, mogę pisać dalej!” Pierwszy rozdział zajął mu dwa dni, cały odcinek — dwa tygodnie. Zabrał go kiedyś do Forstera i przeczytał mu w domu, na Lincoln's Inn Fields, chcąc sprawdzić, jakie zrobiło to wrażenie, i przedyskutować z nim dalszy ciąg.

Forster stał się najbardziej oddanym przyjacielem Dickensa — w ciągu kilku następnych lat widywali się prawie codziennie. Miał pełne zaufanie Karola i zawsze gotów był rzucić własną pracę, by słuchać, doradzać, krytykować — lub towarzyszyć mu podczas częstych spacerów czy przejazdów, które mogły przynieść pisarzowi odprężenie, tak konieczne po wielogodzinnym, intensywnym skupieniu. Forster zachował większość listów Karola, które znajdują się teraz w Muzeum Wiktorii i Alberta. Można się z nich zdumiewająco dużo dowiedzieć. Niektóre, zwłaszcza te z wcześniejszego okresu, kiedy Karol czuł jeszcze przed Forsterem pewien respekt, wyglądają jak przepisywane na czysto, takie są porządne i poprawne. Inne mogły być napisane tylko pod wpływem bezpośredniego, gorącego impulsu, bo tryska z nich poczucie zwycięstwa, pióro rozpryskuje atrament, kreski pękają od energii i pewności siebie. A niekiedy znowu pismo wydaje się słabe i drżące, jakby piszący bliski był zupełnego wyczerpania. Kartki te zastępowały dzisiejszy telefon i, przypadkowo zupełnie, przechowały nam coś bardzo osobistego i charakterystycznego dla Karola Dickensa.

Wiele tych karteczek składało się z krótkich zdań, na przykład: „Cóż za świetny ranek na spacer!” albo: „Czy to możliwe, byś nie mógł, nie chciał, nie powinien, nie musiał ulec pokusie tego cudownego dnia?” Albo: „Wychodzę punktualnie — punktualnie, uważasz, o wpół do drugiej. Chodź, chodź, chodź, przejdź się po zielonych alejach. Będiesz dzięki temu przez cały tydzień lepiej pracował. CHODŹ! Czekam na ciebie”. Albo znowu: „Czy naprawdę nie masz ochoty ubrać się ciepło i pójść ze mną na dobry, szybki spacer na Hampstead Heath? Znam takie miejsce, gdzie będziemy mogli dostać gorący kotlet na obiad i kieliszek dobrego wina”. Albo: „Ponieważ nie wiem, czy mam jeszcze głowę na karku, czy już nie (tak mi się w niej kręci od

pracy), wyruszam na przejażdżką starą trasą i będę doprawdy szczęśliwy, jeśli mnie spotkasz czy prześcigniesz. — Gdzież to będzie? — no, gdzie? — w Hampstead, w Greenwich, w Windsor? GDZIE???????? — dopóki widno, a nie gdy dzień skurczy się do ostatka!" Jedna kartka mówi krótko: „Dobrym kłusem trzy godzinki?" A inna: „Można się o mnie dowiedzieć w Twic-kenham, w gospodzie „Pod Węgorzem".

W marcu 1838 roku Karolowi i Katarzynie urodziła się córka, którą nazwali po zmarłej siostrze Katarzynie Mary. Po niedługim czasie pojechali wszyscy na wieś, do Richmond, na świeże powietrze, i tam właśnie się znajdowali, kiedy ukazał się pierwszy odcinek „Nicholasa Nickleby". Karol był w podróży poślubnej, gdy ukazał się pierwszy numer „Pickwicka", podróżował również, kiedy wyszedł pierwszy numer „Olivera Twista", zaczął więc głosić legendę, że zawsze jest poza Londynem, ilekroć ukazuje się pierwszy zeszyt jakiegś jego powieści. Była to oczywista bzdura, która dawała mu sposobność do urządzania z tego powodu najweselszych zabaw.

„Nicholas Nickleby" odniósł wielki sukces i od początku miał tylu czytelników, co „Pickwick" przy końcu. Wszyscy byli tym zachwyceni.

Młoda rodzina wynajęła tego lata domek w Twickenham i bawiła się znakomicie. Urzą

196
dzali liczne zabawy z dziećmi, łącznie z założeniem klubu balonowego, którego prezesem został Forster, pod warunkiem, że dostarczy balonów; dołączona jednak została do tego nagana „za skandaliczne zaniedbanie w wykonaniu tego obowiązku", podpisana przez całe „Urojone Towarzystwo Aeronautyczne dla popierania rozwoju tej wiedzy i konsumpcji spirytualii". Mały Karol miał osiemnaście miesięcy i zaczynał już chodzić.

Tego lata wyszły za mąż Fanny i Letycja Dickens, pierwsza za Henry Burnetta, druga za Henry Austina, architekta i mierniczego.

Choć były to wakacje, Karol pracował pilnie. Pisał jednocześnie „Olivera" i „Nicholasa", a obie powieści jednakowo go pochłaniały. Nicholas i Smike, Fagin, Krętacz i Bill Sikes — wszystkie te postacie zajmowały jego myśli i były jego codziennymi towarzyszami. Z tego też powodu pisanie tych książek szło mu lżej, chociaż było niemniej wyczerpujące.

„Napracowałem się wczoraj wieczorem porządnie — pisał do Forstera — właściwie nawet bardzo porządnie, lecz chociaż napisałem jedenaście stron do wpół do pierwszej, zostało mi jeszcze cztery do końca rozdziału; jak głupi zostawiłem je na dzisiaj rano i mam teraz ochotę zaczynać wszystko od początku". A później: „Doszedłem wczoraj wieczorem do szesnastej strony i będę teraz ucziwie próbował dojść do

197

trzydziestej, nim pójdę do łóżka". Inny list mówi, jak „Oliver” zbliżał się ku końcowi: „Wciąż jeszcze pracuję ciężko. Nancy już nie żyje. Pokazałem to, co napisałem, Kate, na której to zrobiło niesłychane wrażenie — co rokuje najlepsze nadzieje. Muszę usłyszeć twoje zdanie, kiedy pošlę Sikesa do diabła”.

Wrócił do Londynu, zanim ukończył „Olivera”. Męczył się nad zakończeniem tej powieści. „Nie i nie! Nie jedźmy jutro na przejażdżkę — . pisał do Forstera — póki się nie pozbędę tego Żyda. Ten łajdak jest taki sprytny, że nie wiem, co z nim zrobić”.

Jednym z ciekawych rezultatów pisania w sposób, w jaki to robił Dickens, to znaczy w odcinkach, była liczba iistów, w których czytelnicy zwracali się do niego w sprawie postaci z jego książek, nim on jeszcze sam zdecydował, jaki będzie ich los. Znani ludzie pisali doń, prosząc, by łagodnie się obszedł z chłopcami od Fa- gina czy ze Smike'em, później zaś, by „oszczędził” małą Neli czy też Pawełka Dombey. Pewnego wieczoru w mieszkaniu Forsterów Talfourd wygłosił w obronie Charleya Bates i Krętacza mowę tak kwiecistą, jak gdyby wygłaszał jako adwokat w Sądzie mowę w obronie życia klienta.

Kiedy Karol miał przelać na papier zakończenie „Olivera Twista”, posłał do Forstera pro- sząc, by przyszedł, zjadł z nim kotlet i „czytał, pracował czy coś robił” — ale był tuż obok, by czuć było jego przyjazną obecność.

„Jak doskonale pamiętam ten wieczór — pisze Forster w » Życiu Dickensa* — i naszą rozmowę o tym, jak powinny wyglądać losy Charleya Bates”.

Kiedy odcinki „Olivera Twista” skończyły się w „Rozmaitościach” Bentleya, Karol złożył rezygnację z prowadzenia redakcji, a na jego miejsce wszedł natychmiast Harrison Ainsworth. Pismo szło dobrze, przede wszystkim ze względu na zainteresowanie, jakie budziły powieści Dickensa, a on znów miał to niemiłe uczucie, że inni zbyt dużo zarabiają na jego pracy. „Były to zawsze »Rozmaitości« Bentleya, a nigdy moje” — narzekał widząc, jak zyski za rosnący nakład znikają w jednej tylko kieszeni. Po „Oliverze” powinien pójść zaraz „Barnaby Rudge”, a jednak Karol nie mógł się zmusić do tej roboty. Była w zawieszeniu jeszcze przez rok, a potem kontrakt został unieważniony, kiedy Chapman i Hall kupili od Bentleya prawa na „Olivera Twista”.

„Nickleby” postępował doskonale naprzód, pełen żywych, niezapomnianych scen, od szkół yorkshirskich aż po spojrzenia za kulisy objazdowej trupy teatralnej, od wytwornego zakładu krawieckiego do podejrzanych interesów Ralpa Nickleby. Roi się tam od wielkich postaci: Newman Noggs, państwo Mantalini, pań

stwo Crummles, Kenwigsowie, bracia Cheery-ble — no i, oczywiście, pani Nickleby wzorowana znowu na własnej matce Karola, postać, która cudownie zespoliła w sobie śmieszności i dziwactwa tego typu starszej pani, jaki znał dobrze. Chociaż cieszył się bardzo stworzonym przez siebie bogactwem, zawsze był zapóźniony z pisaniem, zawsze „drukarze deptali mu po piętach”, jak to określił Forster.

Trzeba pamiętać, że projekt ustawy o prawie autorskim Talfourda został odrzucony i że pisarze mieli wiele kłopotów z powodu braku odpowiedniej opieki nad swymi dziełami. „Nickleby” został ukradziony, nim jeszcze Karol ukończył go w jednej trzeciej. Posiekano dialogi, wymyślono zakończenie i wszystko razem ukazało się jako sztuka w teatrze Adelphi. Karol poszedł ją obejrzeć, wściekły, co łatwo zrozumieć, ale stwierdził uczciwie, co było dlań charakterystyczne, że musi tu pewne rzeczy pochwalić. Uważał, na przykład, że aktorzy właściwie odczuli jego intencje rysunku postaci. Mimo to był to rozbój na prostej drodze, co doprowadzało go do szału. W Surrey Theatre ukazała się również splagiuwana wersja teatralna „Olivera Twista”, do tego tak straszna, że kiedy prawowity autor poszedł ją zobaczyć, nie mógł znieść potwornej trawestacji swego dzieła i położył się w swej łóżce, by nie patrzeć.

W Ameryce również po piracku obchodzono się z prawem autorskim. Karol otrzymał stamtąd „premię” od zarobków wydawców za „Pickwicka” i „Olivera”, nim jeszcze skończył obie książki. Odmówił prezentu za książki, za które, jak uważał, miał prawo do honorarium, oświadczył jednak swą gotowość do podpisania umowy z firmą amerykańską i uprawnienia jej do wydania książek, lecz propozycja ta została odrzucona. Ponieważ między Anglią i Ameryką nie istniała jeszcze konwencja o prawie autorskim, takie polubowne załatwienie sprawy nie chroniłoby ani Karola, ani jego amerykańskiego wydawcy, każda bowiem inna firma wydawnicza w Ameryce mogłaby i tak drukować i sprzedawać jego książki do woli.

Rozdział szesnasty SMIERC MAŁEJ NELL

Karol szybko wyrabiał sobie nazwisko. Wiele ludzi pragnęło go poznać, po czym stwierdzało, że podoba się im tak samo, jak i jego książki. Działo się tak nie tylko dlatego, że był bystry, inteligentny i wesoły, lecz i dlatego, że było w nim coś niewątpliwie szczerego. Łączył w sobie ambicje z brakiem egocentryzmu. Był świetnym kompanem, uwielbiał miłą rozmowę i miał szerokie zainteresowania. Ogromnie był ciekaw nowości naukowych, takich na przykład jak dziedziczność i hipnotyzm, prócz tego. przez całe życie interesował się teatrem i miał rzadką wiedzę stosunków społecznych. Goście na ogół świetnie się bawili na jego gwarnych przyjęciach; nikt nie potrafił opowiedzieć jakiejś historii tak dobrze jak on, a humor jego był zaraźliwy. Prawda to, że jego gwałtowność czasem budziła sprzeciw, lecz powoli, po kolei, niechętnie twarze rozpozadzały się, ulegając jego urokowi.

W tym okresie życia reakcje Katarzyny były zupełnie inne. Tęskniła tylko za cichym kątem, gdzie by ją zostawili w spokoju. Rola gospodyni na tak wielką skalę była dla niej prawdziwą męczarnią. Jej portret malowany przez Macli- se'a w 1842 roku Wskazuje, że* była wówczas piękna, lecz rosło w niej jakieś zubożenie i coraz bierniej wykonywała wszystko, czego od niej żądano. Zostawiała Karolowi decyzję nawet co do tego, jak ona ma się ubierać, jak ma być prowadzony ich dom i jak mają być wychowywane dzieci, którym nie była oddana całym sercem. Wyglądało na to, że niewiele im mogła ofiarować, na szczęście jednak Karol uzupełniał wszystkie jej braki pod tym względem. Z wrodzoną sumiennością starał się dać swym dzieciom to, czego on sam nie otrzymał, zarówno jeśli chodzi o wychowanie, jak wykształcenie. Przyzwyczajał je na swój sposób do porządku i dyscypliny, którą uważał za czynnik równie niezbędny w harmonijnym życiu rodzinnym, jak humor i zabawa.

Patrzył, jak jego bracia rosą obciążeni słabościami ojca, którym nic nie położyło tamy, i zastanawiał się głęboko. Dziwił się, w jaki sposób on sam uniknął ich błędów. Mógł przecież równie łatwo popaść w takie same próż- niacze nałogi. Postanowił, że jeśli tylko będzie mógł, Sprawi, iż jego dzieci będą niezależne i samodzielne.

Rozdział szesnasty SMIERC MAŁEJ NELL

Karol szybko wyrabiał sobie nazwisko. Wiele ludzi pragnęło go poznać, po czym stwierdzało, że podoba się im tak samo, jak i jego książki. Działo się tak nie tylko dlatego, że był bystry, inteligentny i wesoły, lecz i dlatego, że było w nim coś niewątpliwie szczerego. Łączył w sobie ambicje z brakiem egocentryzmu. Był świetnym kompanem, uwielbiał miłą rozmowę i miał szerokie zainteresowania. Ogromnie był ciekaw nowości naukowych, takich na przykład jak dziedziczność i hipnotyzm, prócz tego przez całe życie interesował się teatrem i miał rzadką wiedzę stosunków społecznych. Goście na ogół świetnie się bawili na jego gwarnych przyjęciach; nikt nie potrafił opowiedzieć jakiejś historii tak dobrze jak on, a humor jego był zaraźliwy. Prawda to, że jego gwałtowność czasem budziła sprzeciw, lecz powoli, po kolei, niechętnie twarze rozpozadzały się, ulegając jego urokowi.

W tym okresie życia reakcje Katarzyny były zupełnie inne. Tęskniła tylko za cichym kątem, gdzie by ją zostawili w spokoju. Rola gospodyni na tak wielką skalę była dla niej prawdziwą męczarnią. Jej portret malowany przez Macli-se'a w 1842 roku wskazuje, że była wówczas piękna, lecz rosło w niej jakieś zubożenie i coraz bierniej wykonywała wszystko, czego od niej żądano. Zostawiała Karolowi decyzję nawet co do tego, jak ona ma się ubierać, jak ma być prowadzony ich dom i jak mają być wychowywane dzieci, którym nie była oddana całym sercem. Wyglądało na to, że niewiele im mogła ofiarować, na szczęście jednak Karol uzupełniał wszystkie jej braki pod tym względem. Z wrodzoną sumiennością starał się dać swym dzieciom to, czego on sam nie otrzymał, zarówno jeśli chodzi o wychowanie, jak wykształcenie. Przyzwyczajał je na swój sposób do porządku i dyscypliny, którą uważał za czynnik równie niezbędny w harmonijnym życiu rodzinnym, jak humor i zabawa.

Patrzył, jak jego bracia rosą obciążeni słabościami ojca, którym nic nie położyło tamy, i zastanawiał się głęboko. Dziwił się, w jaki sposób on sam uniknął ich błędów. Mógł przecież równie łatwo popaść w takie same próżniacze nałogi. Postanowił, że jeśli tylko będzie mógł, sprawi, iż jego dzieci będą niezależne i samodzielne.

zbierały się chmury, i to tak poważne, że ledwo wysuwał nos za drzwi swego domu. Karol poszedł do Forstera i Toma Bearda (przyjaciela zarówno swego, jak i ojca) szukać rady. Doszli do wniosku, że trzeba działać szybko i śmiało, i zaproponowali Karolowi, by przeniósł „marnotrawnego ojca” do jakiegoś domku na wsi, z dala od wielkomijskich pokus. Forster dodał, że dopiero kiedy ojciec tam osiadzie, będzie można pomyśleć o podjęciu jakichś kroków w sprawie jego długów. Najmniejsze słówko o tym projekcie nie może jednak wydostać się na zewnątrz, aby rozwścieczona armia wierzycieli nie spróbowwała temu zapobiec.

Tak więc Karol wyruszył bezzwłocznie do Devonshire, zostawiając swym przyjaciołom pieczę nad rodzicami. Mieli być wysłani natychmiast, kiedy przyśle wiadomość, że znalazł dla nich mieszkanie i jest gotów na ich przyjęcie.

Znalazł w Exeter właśnie to, czego chciał — „skarbnicę nie dom — jak pisał Katarzynie. — Po prostu wszedłem nań dziś rano. Coś mnie prowadziło, bo szedłem, nie skręcając w prawo ani w lewo, i wcale się nie zdziwiłem, kiedy zobaczyłem ten domek i zawiadomienie, że jest do wynajęcia, tak jakbym od lat codziennie tędy przechodził”. „A teraz — pisał dalej — jeśli mama może —

nie nalegam, jeśli ma zastrzeżenia — niech zdecyduje się na przyjazd tu do mnie »Telegrafem« w czwartek rano. Zaoszczędzi mi to nie tylko furi kłopotów, ale i pieniędzy, bo ludzie

toRMAÑ MireeiTtii

będą mnie chcieli nabierać i nic na to nie poradzę. Wysyłam czek na pokrycie kosztów podróży i uregulowanie tej drobnej sprawy łyżeczek, o której zupełnie zapomniałem". (Łyżki! Czyżby to echo pani Micawber i łyżek, które zanosila do lombardu?) — „Podróż kosztuje trzy funty. Mama musi jeść i pić wszędzie, gdzie dylizans się w tym oelu zatrzyma. Odchodzi z zajazdu »Pod Czarnym Niedźwiedziem«, na Piccadilly, tuż za Burlington Arcade".

Pani Dickens nie była specjalnie zachwycona perspektywą rozstania się z przyjaciółmi. Pojechała jednak do Exeter, tak jak tego od niej żądano, lecz grymasiła, kiedy Karol przedstawiał jej wyniki swych starań. Pan Dickens wkrótce przyjechał również, pełen triumfu, że tak znakomicie potrafił wykręcić się wierzycielom. Niewiele czasu minęło, kiedy ci ostatni zaczęli wszakże sarkać i nadsyłać Karolowi „szydercze, pełne nienawiści listy".

Ostrożne badania Forstera wykazały wkrótce, że sytuacja finansowa pana Dickensa wyglądała jeszcze gorzej, niż się obawiali, i jasne było, że jeśli Karol się nie zabezpieczy, może stanąć wobec odpowiedzialności za długi tak wielkie, iż nawet bogatszy odeń człowiek musiałby się ich przerazić. Za poradą Forstera dał w gazetach ogłoszenie, że nie odpowiada za niczyje długi oprócz tych, jakie zaciągnął on sam lub jego żona.

Wydawało się, że John Dickens musi ze względu na własne bezpieczeństwo siedzieć poza Londynem, i Karolowi zaczęła już świtać nadzieja, że „ustabilizował staruszka do końca życia", co jednak nie było zgodne z rzeczywistością. „Staruszek" nie lubił żadnych ograniczeń, a był mistrzem w sztuce wymykania się pogoniom. Wkrótce słyszano o nim w Manchesterze, Birmingham i gdzie indziej. Robił szalone plany (które rzadko dojrzewały), by przenieść się całym domem do Francji, ze względu na kształcenie młodszych dzieci — i wciąż jeszcze potrafił zaciągać długi, w nadziei, że spłaci je syn.

Karol z Katarzyną pojechali tego lata do Petersham i wynajęli piękną willę Elm Lodge, gdzie mogli przyjmować licznych gości, tak jak to Karol lubił. Podczas tego pobytu w głowie Karola powstał nowy projekt założenia pisma

0 wiele popularniejszego niż „Rozmaitości" Bentleya.

Chciał, by pismo to było bardzo zwyczajne

1 domowe, tak jakby rozmawiał z przyjaciółmi, siedząc na ulubionym miejscu przy kominku, a było to miejsce i kominek, które widział wówczas w sklepie pana Humphreya w Barnard Castle. Chapman i Hall przyznali, że to dobry pomysł, i zgodzili się go poprzeć. Pismo miało się nazywać „Zegar Pana Humphreya", kosztować trzy pensy i wychodzić raz na tydzień.

Pierwszy numer, który ukazał się w kwietniu

1840 roku, został sprzedany w siedemdziesięciu tysiącach egzemplarzy, kiedy się jednak okazało, że pismo nie drukuje powieści *Boza*, nakład spadł i spadał dalej, dopóki w czwartym numerze nie ukazał się pierwszy odcinek „*Antykwarjatu*”. Opowieść wyrosła z bajki, jaką Karol słyszał niegdyś o dziecku, które nie miało nikogo na świecie, o dziecku głęboko mądrym, chociaż małym, które mimo wielu dziwnych przygód zachowało swą wrodzoną dobroć i prawość. W wyobraźni jego charakter dziecka zlał się ze wspomnieniami o Mary Hogarth, „tak młodej, tak pięknej, tak dobrej”, i przedstawił ją na tle „dzikich i groteskowych postaci”, chcąc, by jej dobroć była jeszcze bardziej uderzająca. Kazał jej przemierzyć kraj wraz ze starym dziadkiem, zarabiając, jeśli się sposobność nadarzy, po parę miedziaków na chleb — zadawać się z kuglarzami na targach, pomagać pani Jarley w przebieraniu jej figur woskowych i wreszcie umrzeć. „Kochana, łagodna, cierpliwa, szlachetna Neli umarła”. Opowieść obiegła cały kraj, jak również Amerykę. Carlyle płakał nad nią. Daniel O'Connell twierdził, że o mało nie oszalał z żalu nad jej śmiercią. Po drugiej stronie Atlantyku Bret Hartę opowiadał, jak górnicy w Kalifornii zbierali się wokół ognisk i słuchali poszczególnych odcinków i że na przystani gromadził się tłum, który czekał na przyjazd statku przywożącego najnowsze odcinki powieści z Anglii, krzycząc niecierpliwie, nim okręt przycumował: „Czy mała Neli umarła?” Lord Jeffery, znany krytyk z Edynburga, oświadczył, że mała Neli jest najpiękniejszym tworem literackim od czasów szekspirowskiej *Kordelii*. Mimo wszystkich błagań, by jej oszczędzić życie, musiała umrzeć w powieści, by Karol mógł oddać ostatnią przysługę Mary. Przeżył był kiedyś ogromny wstrząs, widząc, że dziewczyna, którą tak wszyscy kochali, stała się natychmiast po śmierci czymś przerażającym nawet dla własnych sióstr — bały się przecież jej dotknąć. Miał nadzieję, że rozwieje ten pospolity strach przed śmiercią, ukazując obraz Neli, „gdy wszystkie cierpienia minęły, gdy była już poza wszelką możliwością pomocy czy potrzebą pomocy”.

Karol cierpiał, jak zawsze, pisząc te sceny. Listy jego dowodzą, jak bardzo się przejmował „moim biednym dzieckiem” — czyli Neli, tak jak poprzednio martwił się Oliverem, „moim biednym chłopcem”. Kiedy napisał rozdział opisujący jej śmierć, wstał: „ledwie żywy od zmęczenia i żalu po utracie mojego dziecka. Całą noc prześladowała mnie i dziś jestem niewyspany i przygnębiony. Nie wiem, co mam robić”.

W październiku 1839 roku urodziło się Dickensom trzecie dziecko, jeszcze jedna dziewczynka. Nazwali ją Katarzyna Macready, po matce i Macready'm, wielkim aktorze, który

stał się jednym z najbliższych przyjaciół Karola. Dom przy Doughty Street był już teraz dla nich za ciasny i za mały, toteż Karol postanowił się przenieść. Znalazł większy i okazalszy dom przy Devonshire Terrace nr 1 na Marylebone Road, kiedy szedł oglądać jeden z pięknych domów wychodzących na Regents Park, gdzie mieszkał Macready.

Najstarsza córka Dickensa, Mamey, opisuje pokój na poddaszu, który dzieliła z drugą z kolei, Katey, dając rozkoszny, intymny obraz życia w tym domu, w książce „Ojciec, jakim go pamiętam”. Kiedy były jeszcze małymi dziewczynkami, żądano od nich, by pokój ich był sprzątnięty, i namawiano, by przyozdabiały go same, tak jak umieją. Ojciec regularnie odwiedzał wszystkie pokoje domu, kiedy jednak chciały mu pokazać coś specjalnego, robiły na niego zasadzkę, chwytaly go natychmiast, gdy tylko wychylił się ze swego gabinetu, wciągały go po schodach i żądały oceny nowego swego skarbu, na przykład — obrazka, wyciętego z jakiegoś czasopisma i przypiętego pluskiewkami do ściany. Jeśli było to porządnie zrobione i ładnie wyglądało, zawsze chwalił córki, a jego wesołe: „Świetnie! Pierwsza klasa!” słodko brzmiało im w uszach.

W 1840 roku poznał Carlyle'a i przeczytał jego „Rewolucję francuską”. Stwierdził przy tym, że gorąco sympatyzuje z filozofią „Mędrca”. On również pragnął obudzić prostych ludzi z apatii, pokazać im, jak wiele własnych nieszczęść naprawić mogą własnymi rękami. Pamiętał tępe, odrętwiałe twarze na zebraniach wyborczych, gdzie omawiano sprawy żywotne przecież i istotne. Przez tygodnie całe nosił ze sobą książkę Carlyle'a i czytał ją kilkakrotnie. Dolewała ona oliwy do jego własnego ognia i podsuwała myśli, z których po latach zrodziły się dwie powieści: „Ciężkie czasy” i „Opowieść o dwóch miastach”.

W sierpniu został powołany jako członek ławy przysięgłych na sprawę, gdzie oskarżano matkę o morderstwo dziecka. Ponieważ przywykł do zszywania strzępków faktów i rozpatrywania ich na tle opartym na jego własnym rozumieniu natury ludzkiej, szybko doszedł do wniosku, że owa kobieta nie miała zamiarów morderstwa. Zajął się jej sprawą i osiągnął to, że oskarżenie zredukowano do zatajenia narodzin dziecka. Przypilnował, by miała w więzieniu lepszą opiekę i adwokata do obrony, kiedy stawi się na sprawę w Old Bailey *.

Opowiadał Forsterowi, jak „biedna, opuszczona istota padła przed nami na kolana, świadcząc, że mamy rację”.

Karol nigdy nie zasłaniał się własnymi kłó

potami, by w ten sposób odżegnać się od spraw ludzi mniej szczęśliwych. Cała jego korespondencja, nawet w okresie kiedy- był najbardziej zapracowany, dowodzi niesłabnącej troski i zainteresowania, z jakim podchodził do wszystkich kierowanych do niego, a bardzo licznych próśb

O pomoc. Odpowiadał na te listy własnoręcznie

I wszystkie te odpowiedzi mają osobisty ton, jakby każde słowo miało dla niego szczególne znaczenie.

Pisał tak wiele o ludziach biednych, rysował tyle scen nędzy i upadku nie dlatego, że znał je najlepiej, ale dlatego, że pragnął pokazać wygodnie urządzonej części ludzkości, jak wygląda życie w ucisku nędzy, w śmierzących slumsach, w których grzech i zbrodnia muszą się lęgnąć równie nieuchronnie, jak robaki w zepsutym mięsie. Pisał o rzeczach, które widział na własne oczy i o których słyszał podczas swych wędrówek po ulicach Londynu. Znał gorące serca ubogich równie dobrze, jak zatwardziałość i dumę bogaczy. Nie była to wiktoriańska sentymentalność, lecz szczerą prawdą. On pierwszy odkrył delikatność kryjącą się często pod szorstką powierzchownością Boba Fagina, znanego mu jeszcze z dawnych czasów, gdy pracował w fabryce czernidła. Była to lekcja, z której nie wyciągnął wniosków od razu, bo sam za bardzo wówczas cierpiał, lecz prawda ta dotarła do jego świadomości i nigdy jej nie zapo-

mniał. Dziwne to, że biedny, obdarty, brudny, głodny Bob otrzymał swą część nieśmiertelności w powieści Dickensa.

Kiedy „Antykwariat” dobiegał końca na łamach „Zegara Pana Humphreya”, Karol zdecydował się, że następną powieścią będzie ta, która stanowiła dlań w swoim czasie taki postrach. W końcu trzeba było napisać „Barnaby Rudge”. Temat tak długo czekał, że autor stracił dlań całe zainteresowanie; musiał teraz zrobić wiele przygotowań, które okazały się męczące i w gruncie rzeczy nudne. Musiał przejrzeć wszystkie dokumenty historyczne w Muzeum Brytyjskim, gdzie przeorał wiele zapisków, współczesnych rozruchom Gordona, szukając autentycznych szczegółów, które mogłyby dodać świeżości opowieści. Lecz nie było to „prawdziwe życie”, o którym tak lubił pisać, nie to „prawdziwe życie”, które miał na myśli, mówiąc, że nigdy nie przejmował się specjalnie krytyką literacką własnych dzieł, dopóki miał poczucie, że „przeniósł na papier szczerą prawdę”.

Wprowadził do tej książki opowiadanie o kuku wzięte z własnego życia, mieli bowiem wówczas takiego ptaka. Był to pierwszy z długiego szeregu ulubieńców, z których każdy nazywał się Grip. Ten właśnie Grip Pierwszy zdechł po zjedzeniu kradzionej białej farby, kiedy Karol

był w połowie powieści. Zaaplikowano ptakowi olej rycynowy, który wypił z upodobaniem i poczuł się na tyle dobrze, iż ze złością uderzył kilka razy dziobem w rękę, która go karmiła; potem przeszedł się parę razy po stole, tam i z powrotem, poruszając się dziwnie ostrożnie. Nagle zachwiał się, jakby się zawahał, potrząsnął głową „ze zdumieniem i wyrzutem”, zakrakał: „Halo, staruszek!” i padł martwy.

Rozdział siedemnasty „NIEPORÓWNANY” W AMERYCE

Karol miał już za sobą cztery powieści, a każda z nich była przeszło sześciokrotnie dłuższa od niniejszej książki. Przez ostatnie cztery lata pracował zawsze nad dwoma, a czasem nad trzema powieściami jednocześnie. Był przemęczony i niespokojny, miał już dość tego nieustannego wyścigu z drukarzami, wyścigu, w którym zwyciężał zawsze zaledwie o włos. Kiedy szukał wyjścia z sytuacji, przypomniał sobie, być może, lekarstwo na kłopoty pana Pickwicka — lekarstwo, o którym mówił Tony Weller: „Niech sobie pojedzie do Meryki, a potem niech sobie wróci i napisze książkę o Meryce, to mu zwróci kosztą podróży i więcej”. W każdym razie Karol postanowił to właśnie uczynić, a jeśli wiązała się z tym sposobność powiedzenia, co myśli o braku ochrony praw autorskich — to tym lepiej.

Wiele było zastrzeżeń co do tych planów — pierwsze i największe to koszty, tu jednak

przyszli mu z pomocą wielcy jego przyjaciele Chapman i Hall. Wypłacili mu z góry zaliczką na nową powieść, która miała ukazać się po „Nicholasie Nicleby” — powiedzmy, w listopadzie następnego roku — i zgodzili się zwolnić go z redakcji i odpowiedzialności za „Zegar Pana Humphreya”, które to pismo po prostu zamknęli.

Katarzyna przestraszyła się nie na żarty, kiedy okazało się, że Karol chce, by z nim jechała; pocieszała się tylko nadzieją, że uratują ją od tego związane z tym wydatki — cóż się przecież stanie z domem i dziećmi, jeśli obydwójce rodzice wyjadą? Ale pani Macready ofiarowała się zabrać dzieci do siebie, a Karol znalazł dobrego dzierżawcę na dom. Sama myśl o podróży przyprawiała Katarzynę o łzy, toteż płakała przez cały okres ostatnich przygotowań. Aby ją trochę pocieszyć, przyjaciel ich, Maclise, namalował portret dzieci z ulubionym ich krukiem, siedzącym z tyłu. Oprawił ten portret w futerał podróżny, tak że mogli wszędzie, gdzie się zatrzymają, ustawić go wygodnie. Rzeczywiście, zrobili sobie z tego mały ołtarzyk do- mowy, przed którym pili zdrowie dzieci, a czasem Karol grał przy tym na akordeonie „Home, sweet home” Sjj Przepłynęli Atlantyk na jednym z nowych parowców, lecz podróż mieli straszliwą. Pudła ochronne kół poruszających parostatek zostały zerwane, a łodzie ratunkowe roztrzaskane w kawałki. Marynarze twierdzili, że żaden z nich nie widział jeszcze podobnego sztormu, a kapitan upewniał pasażerów, że żaglowiec nie mógłby tego przetrzymać. Przez sześć z dwudziestu dni Karol chorował, potem zjawił się z powrotem w salonie i drugą część podróży spędził na graniu w wista, ale „pięć czy sześć razy w ciągu każdego robra wyrzucało nas z foteli, turlało do drzwi, a potem jeszcze dalej, dopóki nie pozbierali nas stewardzi”. Ogromnie wdzięczni Opatrzności przyjechali do Bostonu, gdzie powitano Karola z szalonym entuzjazmem, jako „gościa całego narodu amerykańskiego”.

Stare przezwisko Williama Gilesa „Nieporównany” zaczęło się pojawiać żartem w listach Karola do kraju. Pisał do Forstera:

„Chciałbym, żebyś mógł zobaczyć Nieporównanego, gdy go usadzili w wielkim fotelu koło tronu Speakera *, siedzącego samotnie pośrodku amerykańskiej Izby Gmin, oglądanego przez wszystkich gapiów i uśmiechającego się mimo woli na myśl o tym początku bajek z tysiąca i jednej nocy, które rezerwuję sobie na kraj i Lincoln's Inn Fields oraz »Zamek Jacka

Straw« *. Ach, Forster, kiedy ja już będę w domu?!!"

Szybko jednak skończyło się uniesienie. Za dużo od niego wymagali. Nie mógł wymknąć się tłumom, które poznawały go z portretu Maclise'a, reprodukowanego wszędzie. Oblegali go jako wielkiego Boza, twórcę Małej Neli, Pickwicka, Olivera i Nicholasa. Stwierdził, że jego książki są tu równie znane jak w Anglii, z tą wielką różnicą, że tu nie otrzymał za nie ani pensa honorarium. Wiwaty i komplementy sypały się na niego jak grad. To uwielbienie przekreślało jeden przynajmniej cel jego wizyty. Jakże ma poznać życie tych ludzi, jeśli nie może się znaleźć wśród nich nie poznany?

Wszystko jednak szło dobrze, póki nie napomknął o konwencji dotyczącej prawa autorskiego między oboma krajami, podczas przemówienia na bankiecie wydanym na jego cześć. Amerykanie obrazili się — uważali, iż postąpił nietaktownie, mówiąc w takim momencie o interesach; choć jednak stracił nieco ich sympatii, nie przestano czcić w nim wielkiego człowieka. W dalszym ciągu, gdziekolwiek się pojawił, gęste tłumy zbierały się wokół niego, a podróżował zarówno do północnej Kanady, jak i na zachód Stanów. Nie mógł już tego nerwowo wytrzymać. Był ciągle podenerwowany ze zmęczenia, niewyspania i braku prywatnego życia. Ogarniała go rozpacz, bo czuł, że nie osiągnął celu tej wyprawy. Pragnął napisać książkę o Amerykanach, by pokryć koszty podróży, ale jak może to zrobić, kiedy w ogóle nie spotyka się z tymi ludźmi jako równy z równymi.

Oboje Dickensowie wrócili po blisko sześciu miesiącach pocztowym okrętem żaglowym. „Żadnych parowców tym razem” — oświadczył przezornie Karol. Oboje już „palila gorączka powrotu”, postanowili też zaskoczyć przyjaciół, nie zawiadamiając ich o swym powrocie z Ameryki. Forster dowiedział się o tym dopiero, kiedy usłyszał dobrze mu znany głos Karola, który wbiegł doń następnego ranka, by go przywitać.

Była już północ, kiedy znaleźli się w Londynie, ale żadne z nich nie mogło spocząć, póki dzieci nie zostaną przewiezione z powrotem do rodzinnego domu od Macready'ch. Mały Karol dostał z wrażenia konwulsji, kiedy wyciągnięto go z łóżka, by zobaczyć rodziców, inne dzieci jednak zniosły czułość i wzruszenia bez podobnych przypadłości.

Georgina, czternastoletnia siostra Katarzyny, przez cały czas pilnowała dzieci i prawie codziennie wpadała do Macready'ch. Stała się wielką ulubienicą ich wszystkich. Była teraz w tym samym prawie wieku, w jakim była Mary, kiedy ją Karol poznał, miała też takie

samo łagodne usposobienie. Tak serdecznie kochała swoich siostrzeńców i siostrzenice, że po pewnym czasie spędzała całe tygodnie w domu swej siostry.

W czasie podróży Karol wymyślił komplet nowych przezwisk dla dzieci: Katey została nazwana — Diabelkiem z Pudełka, ze względu na swój ognisty temperament, a słodka Mamey dostała na całe życie przezwisko „Słodkie Piwo Glosterskie”.

Miło było znaleźć się znowu pomiędzy starymi przyjaciółmi i mówić, co się myśli, bez skrepowania i obawy, że ktoś człowieka nie rozumie. Karol miał wiele do opowiedzenia, toteż zbierali się u Forsterów, na Devonshire Place czy gdzie indziej. Napisanie książki o Amferyce nie było łatwą sprawą i Karol czuł, że nie potrafi zabrać się do niej z rozmachem. Musiał się liczyć z wrażeniami, jakie zrobi zarówno na Amerykanach, jak i na czytelnikach angielskich. Chciał opisać prawdę, taką, jaką oglądał własnymi oczyma, lecz potrzebował czyjejs rady. Omawiał materiał z kapitanem Marryatem, autorem „Masterman Ready” i „Dzieci z New Forest”, który dobrze znał Nowy Świat, zaś w wątpliwych sprawach naradzał się również z przyjaciółmi. Miał zamiar zadedykować książkę: „Tym moim amerykańskim przyjaciołom, którzy, kochając swój kraj, potrafią znieść prawdę o nim, jeśli jest ona napisana w najlepszej wierze” — ale mu to odradzono.

„Notatki amerykańskie” — jak je nazwał — mają do dziś dnia pewną wartość historyczną, ale nigdy nie zdobyły sobie popularności; nie były one również książką, na którą czekali Chapman i Hall, z czego Karol doskonale zdawał sobie sprawę. Dopiero w listopadzie mógł

się zabrać do pracy nad nową powieścią. Pisał wtedy do panny Coutts, że poświęcił się całkowicie „męczarniom wymyślania i wynajdywania wątku, w którym to stanie przywykłem chodzić tam i z powrotem po domu, uderzając się w zamyśleniu w czoło; taki też jestem zły i skwaśniały, że najmilsi uciekają na mój widok”. Z tych słów przyjaciele mogli się domyślić, że książka mu nie idzie. Zabrał się jednak z uporem do roboty i „Marcin Chuzzlewit” zaczął się powoli zarysowywać. Pierwszy numer ukazał się w styczniu, lecz ku przerażeniu Karola rozprzedano tylko jedną czwartą tej ilości egzemplarzy, w jakiej wychodził co miesiąc „Nicholas Nickleby”. Zastanawiał się, czy czytelnik nie woli czasem krótszych odcinków cotygodniowych, takich, jakie drukował w „Zegarze Pana Humphreya”, bo nikt nie lubi czekać cały miesiąc na dalszy ciąg. Bez względu jednak na przyczyny, spadek poczytności był boleśnie wyraźny. „Chuzzlewit” nie przynosił ani w części zysków, jakich się po nim spodziewano. Wydawcy, oczywiście, byli zaniepokojeni, a Karol zawiedziony.

Z początku winił za to samego siebie i próbował poprawić poczytność książki, opisując w powieści niektóre ze swoich amerykańskich przeżyć, lecz i to nie pomogło. Czytelnicy nie uznali bynajmniej pani Gamp za jedną z nieśmiertelnych postaci, choć wkrótce zdobyła sobie tę

pozycję, wraz z niewidzialną, lecz często wspomnianą przyjaciółką, panią Harris, i takimi powiedzeniami, jak: „Postaw butelkę na kominku i pozwól mi ją przechylić, kiedy mi na to przyjdzie ochota”. W czasach przed Florencją Nigh-tingale* pani Gamp stanowiła nierzadko spotykaną postać pielęgniarki — tłusta, szorstka, czerwono-nosa, o ciekających oczach, ochrypłym głose, pachnąca alkoholem, w sukni poplamionej tabaką, z zawiniątkiem pod pachą, parą chodaków i starym, połatanym, wielkim parasolem podróżnym. Na obraz ten złożyły się niektóre opowiadania, jakie słyszał Karol od panny Coutts, o kobiecie, która pielęgnowała jej byłą wychowawczynię.

Kiedy Karol podpisywał ze swymi wydawcami umowę na „Marcina Chuzzlewita”, dodano w niej paragraf, który mówił, że autor będzie od pewnego momentu dzielił zyski z wydawcami lub też, odwrotnie, będzie wraz z nimi ponosił w części konsekwencje strat, jakie książka może przynieść. W owym momencie sam pomysł straty na jakiegokolwiek książce Boza brzmiał zbyt nieprawdopodobnie, by go brać pod rozwagę. Teraz jednak, kiedy książka szła marnie, obie strony miały niewesołe miny. Myśl, że jego natchnienie mogło się skończyć,

w m—

była dla Karola wprost koszmarna, jak dla każdego, kto stara się żyć ze swego pisarstwa. Sukcesy spadły mu z nieba i uznał je za rzecz pewną. Przyzwyczyił się do życia na pewnym poziomie, życia dość kosztownego. Jeśli zawiedzie go pióro, jakże będzie mógł utrzymać żonę i czworo dzieci, nie mówiąc już o rodzicach.

Podczas konferencji, jaką Karol miał z wydawcami, pan Hall napomknął, iż ma nadzieję, że nie będą musieli prosić pana Dickensa

o zwrot nawet najmniejszej kwoty pieniędzy, jakie wypłacili mu zaliczkowo za „Chuzzlewita”, chcąc ułatwić pisarzowi wyjazd do Ameryki. Być może Karol powinien był śmiać się z tego, czuł się jednak mocno dotknięty. Wciąż jeszcze, jak pisze Forster, cierpiał „męki Chuzzlewita”. Wyszedł od wydawców wstrząśnięty

i bardzo zły i udał się wprost do Forstera, aby powiedzieć mu, co zaszło, zdecydowany spłacić wszystko do ostatniego pensa, lecz również zmienić wydawcę.

Forster chodził tam i z powrotem po pokoju, przejęty prawie w tym samym stopniu. Uważał, że Karol postępuje jak szalony, lecz miał również żal do wydawców, jako do „zjadliwych i złych sędziów pisarza”. Znał, a i oni powinni znać, wrażliwość i złożoność dumy i próżności twórcy. Poza tym, jako doradca firmy, miał obowiązki wobec obydwu stron, a niechętnie widziałby — z punktu widzenia wydawnictwa — stratę tak cennego pisarza. Błagał Karola, by przynajmniej do końca wakacji letnich nie przedsięwziął żadnych kroków, bo czas, jego zdaniem, sprawia, że wszystko potem lepiej jakoś wygląda. Lecz, jak to się często dawniej zdarzało, Karol nie mógł wytrzymać. Doceniał był niezawodną dobroć panów Chapmana i Halla i w przeddzień swego wyjazdu do Ameryki napisał do nich dziękczynny list. Był sam nie mniej od innych przygnębiony słabą poczytnością swej książki. Zranił go jednak i upokorzył fakt, iż jego wydawcy stracili doń zaufanie. Sądził, że w przyszłości znajdzie jakiś inny sposób załatwiania swoich spraw wydawniczych, i prosił Forstera, by dowiedział się, czy nie mogłaby wydawać jego książek pewna spółka drukarska. Była to dziwna propozycja, bo spółka ta drukowała przeważnie dla Chapmana i Halla i co za tym idzie, nie chciała sobie zrazić dobrych klientów. Istniały jeszcze inne trudności, niektóre bardzo poważne, lecz Karol Dickens był osobistością na tyle wybitną, że mógł postawić na swoim, toteż wreszcie dziwaczny jego projekt został przyjęty.

Następnie Karol zajął się swoimi sprawami prywatnymi i z dużym przejęciem zaczął się zastanawiać nad najwłaściwszym sposobem zmniejszenia wydatków. Strach przed zadłużeniem kazał mu zdecydować się natychmiast na wyjazd tam, gdzie mógł żyć taniej. Nie może

Miasto Manchester odplaciło mu pomysłem. Na estradzie, z której przemawiał, stał Disraeli i Cobden, Karol zaś mówił o wartości wykształcenia oraz o ignorancji jako źródle wszelkiego zła. Kiedy obwożono go po ludnych ulicach City, patrzył na chodniki, gdzie tłoczyli się bogaci i biedni, których nie łączyło najmniejsze uczucie pokrewieństwa ludzkiego, bo nie znali nawzajem swego życia oddzieleni od siebie barierami dumy i biedy. Gdyby mógł zanieść im książkę, która byłaby posłannikiem dobrej woli zarówno w domach możnych, jak i w nędznych lepiankach, i gdyby tę książkę czytali wszyscy siedząc w Boże Narodzenie przy kominku — czy te nieprzebyte zapory nie mogłyby wówczas runąć? Czy potrafi wzruszyć kamienne serca? Może przynajmniej uda mu się ogrzać serca smutne. Tak narodził się pomysł „Opowieści wigilijnej”.

dłużej mieszkać w swoim pięknym domu. Musi go odnająć. Zaczął badać różne możliwości i zdecydował, że prawdopodobnie najbardziej będą mu odpowiadały Włochy, nie był jednak jeszcze gotów na wyjazd z Anglii. Trzeba się było do tego przygotować, poza tym Karol musiał jeszcze wypełnić pewne zobowiązania. Obiecał panie Coutts, że zrobi objazdową inspekcję więzień, by zdobyć dla niej materiały informacyjne, miał również przemawiać w Birmingham i Manchesterze.

Kiedy wrócił do Londynu, pomysł napisania tej opowieści tak go przejął, że napisał ją w ciągu jednego miesiąca, a przez cały ten czas nawiedzała go postać Scrooge'a: „Chciwy, chytry, łapczywy stary grzesznik dusił i ze skóry obdzierał swoje ofiary. Twardy był i ostry jak krzemień, z którego żadna stal nie zdołałaby wykrzesać ani jednej iskierki szlachetnego ognia. Skryty, zamknięty w sobie i żyjący samotnie jak kołek” *.

Późną nocą, kiedy pióro już mu wysychało, snuł się jak widmo po ulicach City, widząc sceny, które sam stworzył, duchy Scrooge'a i Mar- leya, stary skład z kołatką u drzwi frontowych, małe domki na Camden Town i utykającą figurkę Małego Tima. Zatracił się zupełnie w tworzeniu, pisząc bez przestanku, póki nie poczuł w głowie pełnej pustki. Przeżywał całą historię wraz ze Scrooge'em i przecierpiał każdą z prób, jaką przejść musiał nieszczęśnik. Przez cały miesiąc trzymał się z dala od przyjaciół, a kiedy skończył opowieść, ukazał się znowu, tryumfalny, pewny tego, co napisał, gotów zapomnieć o ostrożnościach i całą duszą oddać się świętom Bożego Narodzenia, najpiękniejszym ze wszystkich świąt.

Macready wyjechał tej jesieni do Ameryki, toteż Karol postanowił zabawić pozostałą

w Londynie rodzinę przyjaciela. Urządził gigantyczne przyjęcie dla pani Macready i dzieci. Zaproszono połowę sławnych ludzi Londynu. Namówił Forstera, by został jego partnerem na wspaniałym pokazie sztuk magicznych, których wyuczył się specjalnie na tę uroczystość i które bardzo się udały. Zapomniał o smutkach i pisał wesoło do Maca o „takich przyjęciach, takich czarach, takich zabawach, takich przedstawieniach teatralnych, takich całowaniach się na pożegnanie Starego Roku i takich całowaniach na powitanie Nowego Roku, jakich jeszcze nigdy nie było!”

Pani Carlyle przyglądała się z sardonicznym uśmiechem tej wesołości, aż wreszcie sama jej uległa i tańczyła jak szalona z Karolem tak, że jak to później mówiła, bała się, iż sobie głowę rozbije o skrzydło drzwi.

Karol nigdy dobrze nie tańczył, lecz lubił wesołość żwawej polki czy wirującego walca. Wszystkie jego dzieci od młodości uczyły się tańca. Mamey i Katey próbowały kiedyś nauczyć ojca, jak się porządnie tańczy polkę, lecz chociaż z powagą stosował się do ich wskazówek i ćwiczył sam w kącie, jak mu kazały, nigdy im nie przyniósł chluby.

Z wszystkich świąt w ciągu roku najmiłsze było Karolowi Boże Narodzenie. Był wówczas szczęśliwy ową niedorzeczną, sentymentalną, nieprzytomną szczęśliwością. Promieniowała

z niego dobroć w stosunku do każdego człowieka, do ulicznego zmiatacza tak samo, jak do wytwornych przyjaciół w salonie. Był to w jego pojęciu czas, kiedy otwiera się drzwi domu i pozdrawia wszystkich na ulicy. Dla dzieci święta znaczyły zawsze objazd sklepów wraz z ojcem i wybieranie prezentów dla nich samych i dla przyjaciół; kłujący ostrokrzew z czerwonymi jagodami, kościół i śpiewanie kolęd, obiad w pierwszy dzień świąt i pudding stawiany na stole w płomieniach palącej się brandy, kiedy wszyscy wnoszą toast: „Za nasze zdrowie! Niech nam Bóg błogosławi!”, a potem przez cały okres świąteczny przyjęcia i żywe obrazy albo może i jakieś przedstawienie amatorskie w salonie.

„Opowieść wigilijna” była pierwszą z serii opowiadań bożenarodzeniowych. Każda z nich pisana była w specjalnym celu, lecz żadna nie odzwierciedlała uczuć Karola tak dokładnie jak pierwsza. Została wydana przez firmę Chapman i Hall, pomimo wszystko, co się uprzednio stało, lecz po podpisaniu nowej umowy, w której przyjęte dotychczas warunki zostały odwrócone. Zamiast tego, by wydawca płacił za koszty druku i wykonanie książki, a autor pobierał honorarium za każdy sprzedany egzemplarz, Karol miał płacić za wydrukowanie książki, a wydawca miał pobierać procent od każdego sprzedanego egzemplarza. Karol

wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, jak wysokie są te początkowe koszty, i oczekiwał miłego czeku na okazałą sumkę, kiedy pod koniec roku zrobi się rozrachunek.

Na nieszczęście mała ta książeczka wyszła akurat na święta i nie było czasu na drugie wydanie, kiedy się pierwsze rozeszło, tak więc czek, którego tak wyczekiwał Karol, opiewał zaledwie na dwieście trzydzieści funtów. Karol nic nie rozumiał i był bardzo zaniepokojony. Wkrótce jednak miał jeszcze inny powód do zmartwienia, bo książka prawie natychmiast po ukazaniu się w druku została ukradziona i wydana w Dwupensowej Ozdobnej Bibliotece Parleya pod tytułem: „Świąteczna opowieść o duchach, oparta na oryginale Karola Dickensa i analitycznie streszczona specjalnie dla tej publikacji”.

Karol podjął natychmiastową akcję wraz z Talfourdem jako swym obrońcą i otrzymał nakaz przeciwko piratom, kładący kres wydawaniu przez nich tej publikacji. W Sądzie bronili się tym, że już przerabiali zarówno „Antykwariat”, jak „Barnaby Rudge”, a autor nie podejmował przeciwko nim żadnych kroków, i że w przypadku „Opowieści wigilijnej” — „rozłożyli” całość na części i złożyli ją z powrotem, „naprawiwszy ze smakiem wszelkie jej nielogiczności”.

230

„Robią z moimi pomysłami to samo, co Cyganie robią z kradzionymi dziećmi — zniekształcają je, a potem udają, że to ich własne” — protestował Karol Dickens podczas rozprawy sądowej.

Żądał tysiąca funtów odszkodowania, bo wydanie Parleya świetnie się rozeszło, lecz piraci wykręcili się bankrutem i Karol nie zobaczył ani pensa. Musiał nawet zapłacić wszystkie koszty sprawy, co przekroczyło siedemset funtów.

„Nie tak łatwo zapomnę o kosztach, niepokoju i okropnej niesprawiedliwości w wypadku »O powieści wigilijnej«” — pisał w jakiś czas później, kiedy odmawiał wszczęcia kroków prawnych przeciwko następnemu pogwałceniu swoich praw autorskich.

Zdumiony, zasmucony i poważnie zgnębiony, zabrał się teraz do ostatnich przygotowań przeniesienia swej licznej rodziny do Włoch. Jak na człowieka, który żyje wyłącznie z pióra, doznał w ciągu ostatniego roku kilku mocnych wstrząsów i bliski był przekonania, że czeka go bankrutwo.

Kiedy zastanawiał się nad sposobem dorobienia pieniędzy, przyszło mu do głowy, by zaproponować jakiemuś pismu parę szkiców z życia za granicą, poszedł więc porozmawiać o tym z redaktorem „The Morning Chronicle”. Był nim już nie stary przyjaciel Karola, pan Black,

lecz ktoś nowy, kto powiedział mu niegrzecznie, że za dużo żąda, i odrzucił propozycję. Karol nie przywykł do podobnego traktowania i przyrzekł sobie, że noga jego więcej w tej redakcji nie postanie. Wydawało się jednak wówczas, że nic mu się już nigdy nie uda, że przestało działać jakieś zaklęcie, odkąd wyjechał do Ameryki, u woźac tam ze sobą całe swoje szczęście.

Rozdział osiemnasty „SŁYSZELIŚMY DZWONY O PÓLNOCY”

Rodzina Dickensów miała podróżować z Calais własnym powozem, toteż w przygotowaniach do podróży zawierało się również szukanie tego, co Karol określił mianem „pocziwego, starego i obdrapanego, diabła wartego pojazdu” — który by mógł przewieźć do Genui całe liczne towarzystwo: Karola, Katarzynę, pięcioro dzieci, Georginę, Fryderyka, niańki, służących i gońca. Dobił wreszcie targu na kolosa „wielkości twojej biblioteki” — jak pisał do Forstera. Powóz zaopatrzony był w liczne kieszenie, „skórzane schowki” i latarnie i miał na dachu urządzenie na bagaże.

W porcie Karol zatrzymał się, by wymienić trochę pieniędzy angielskich i, jak to było w zwyczaju, otrzymał wszystko w pięciofrankowych monetach — dwa pełne worki pieniędzy. Ruszyli w drogę powozem w cztery konie obwieszane chyba stoma brzęczącymi dzwoneczkami. W połowie lipca przyjechali do wy

najętej uprzednio willi, która stała pomiędzy winnicami, oknami zwrócona ku morzu, „opuszczeni, zakurzeni i zdrętwiali” — pisał Karol — i tacy „zarobaczeni”, że myślał, iż pchły same poniosą powóz. Zadomowili się jakoś, a kiedy Karol zaczął dawać sobie radę z językiem, ułożył pióra i papier przy oknie najlepszej, wyglądającej na morze sypialni i czekał na natchnienie — ale na próżno.

Włoska ziemia była mu obca. Tęsknił za swymi uliczkami londyńskimi, a krajobraz Południa nie stanowił dlań żadnej rekompensaty. Do szału doprowadzało go ustawiczne bicie dzwonów kościelnych i ze wzruszeniem myślał o krajobrazie angielskim i tych dniach w Broadstairs, „jasnych, rozbrzmiewających śpiewem skowronka, kiedy powietrze było tak przezroczyste, że można było dostrzec brzegi Francji”. A jednak to właśnie dzwony genueńskie natchnęły go pomysłem do nowej opowieści. Rozradowany, czując w sobie przyływ słów, sięgnął po kartkę papieru i napisał przez jej środek linijkę szekspirowskiego „Henryka IV”, która, jak wiedział, obudzi echo w sercu Forstera.

„Słyszeliśmy dzwony o północy, panie Shallow!”

Taki był początek „Dzwonów” i teraz nie mogły już Karolowi przeszkodzić wszystkie dzwony w całej Europie, bo to, co dochodziło jego uszu, było tylko echem biegnącym ze starej

dzwonnicy londyńskiej, stworzonej w jego wyobraźni, gdzie Trotty Veck czekał na swą córkę. Znowu pragnął Karol występować w imieniu biednych i bezbronnych i atakować pysznych. Pisał ufnie i badał, jak podobają się poszczególne rozdziały jego własnej rodziny, lecz choć cieszyły go ich pochwały, nie zadowolili go w zupełności. Natychmiast po zakończeniu opowieści i po wysłaniu jej do wydawców uległ przemożnej chęci usłyszenia opinii przyjaciół. Zrobi sobie wakacje, zwiedzi po drodze Wenecję i Weronę i pozwoli sobie na tydzień — ale „ani godziny dłużej” — Londynu. „I gdybyś był dobry chłopak — pisał do Forstera — zebralbyś dla mnie parę osób w jakiś deszczowy dzień po moim przyjeździe”.

Przyjął go mróz i powódzie; w straszliwe zimno przejechał przez przełęcz Simplon saniami, a jednak — „znasz moją punktualność — pisał. — Mam zamiar wejść do kawiarni Cuttrisa w niedzielę pierwszego grudnia, w porze obiadowej — i będę cię szukał przy najdalszym stoliku koło kominka”.

Zgodnie z obietnicą przybył, jak zawsze pełen animuszu i wesela, a Forster zaprosił parę osób, by posłuchały pierwszego czytania „Dzwonów”.

Maclise naszkicował od niechcienia tę scenkę swym nieco kpiącym ołówkiem, okalając słonecznymi promieniami głowę Karola i przedstawiając Forstera jako krzepkiego wiejskiego jegomościa — przekazał jednak w ten sposób potoczności swoje bezpośrednie wrażenie z tego zebrania.

Nowa książka zdążyła się ukazać na Boże Narodzenie i przyniosła Karolowi pierwszy czek na tysiąc pięćset funtów. Wrócił zadowolony na kontynent, zatrzymując się w Paryżu, by spotkać się z Macready'm, który organizował tu krótki sezon szekspirowski i zapoznał Dickensa z Dumasem, Wiktorem Hugo i Lamartine'em. Karol szybko znalazł z nimi wspólny język. W połowie grudnia był już u swojej rodziny w Genui.

W sześć miesięcy później doszedł do wniosku, że dość już tego oszczędzania i liczna jego rodzina z radością ruszyła w podróż powrotną. Karol zgłosił natychmiast swój udział w doskonałym festiwalu amatorskich sztuk teatralnych wystawianych na cele dobroczynne. Wybraną przez niego sztuką była „Every Man in His Humour” Ben Jonsona *. Główne role grali Karol i Forster, a wraz z nimi czterej znakomici malarze: Cruikshank, Maclise, John Leech i Frank Stone. Namówili Macready'ego, by im udzielał wskazówek, a on przestał się opierać widząc, jak Karol zmusza wszystkich do cięż

kiej pracy i jak dobrze sam wciela graną przez siebie postać. Przedstawienie odniosło niebywały sukces, a z całego kraju nadchodziły prośby o powtórzenie spektaklu. Odegrali więc sztukę w Liverpoolu, Manchesterze, Birmingham — wszędzie spotykali się z prawdziwym entuzjazmem.

Były to pierwsze z występów teatralnych Karola, którym on sam i kilku jego przyjaciół mieli poświęcać się z prawie zawodowym zapałem przez następnych dwadzieścia lat. Do zespołu, który zapoczątkował te przedstawienia, dołączyli się nowi przyjaciele, przede wszystkim Wilkie Collins i John Tannie.

Zaledwie trzy tygodnie upłynęły od przyjazdu Karola do domu, a już zaczął myśleć o nowym opowiadaniu, o „Świerszczu za kominem” — trzeciej opowieści wigilijnej. Miała kilka złych recenzji, lecz rozeszła się jak gorące bułeczki i nim minął rok, grano ją w dwunastu teatrach londyńskich.

Zadowolony, wypoczęty po spokojnym okresie za granicą, Karol poczuł wkrótce przypływ nowych sił twórczych — przyszło mu też nagle do głowy coś jeszcze dziwniejszego niż wszystko, co dotychczas wymyślił. Postanowił wydawać nową gazetę codzienną i omawiał ten plan potajemnie z Douglasem Jerroldem i W. H. Willsem, dwoma dziennikarzami. Zbierał informacje o organizacji dziennika i był olśniony rozmiarami podobnego przedsięwzięcia. Znaleźli się opiekunowie pisma, gotowi poprzeć je pieniędzmi i radą, a sam Karol, jako „szermierz postępu i reformy”, został poproszony o objęcie stanowiska naczelnego redaktora dziennika. Przyjął tę propozycję i w wielkiej mierze przyczynił się do zapoczątkowania kierunku ideowego gazety, która nazywała się „Daily News” „Nowiny Codzienne”. Zaproponowano mu dwa tysiące funtów rocznie, co bardzo go ucieszyło, widział w tym bowiem zabezpieczenie finansowe, a przypuszczał, że znajdzie przy tym czas na pisanie. Ściągnął ojca z Devonshire i zrobił go kierownikiem wydziału reportażu. Ojcu Katarzyny powierzył dział krytyki teatralnej. Miał też nadzieję, że znajdzie pracę dla Toma Bearda.

Nim jednak ukazał się pierwszy numer, kryzys finansowy w City zmniejszył entuzjazm opiekunów. Karol zobaczył inne strony swego przedsiębiorstwa, co nappełniło go niepokojem, nieprzyjemnie mu bowiem było czuć „pana” za plecami. Zrozumiał, że nawet jako naczelny redaktor nie będzie mógł prowadzić pisma według własnej woli. Ciekawość jego była już zaspokojona i coraz mniej interesował się całym tym wielkim projektem. Złożył rezygnację w trzy tygodnie po wydaniu pierwszego numeru.

Oskarżano go o nieodpowiedzialne podejście do sprawy, lecz chociaż pozycja naczelnego re

daktora dogadzała mu całkowicie, była dla niego zbyt ciężka, a zadanie zbyt bezosobowe, by mógł je wykonywać ktoś o jego temperamencie. Te właśnie cechy, które uczyniły go sławnym, poszłyby tutaj na marne. Forster od początku miał wątpliwości, czy Karol mądrze postępuje przyjmując tę propozycję, i on to właśnie zajął opróżnione przez przyjaciela miejsce naczelnego redaktora.

Po złożeniu rezygnacji Karol napisał dla dziennika trzy dużej wagi artykuły o karze śmierci, na który to temat miał własne, bardzo wyrobione zdanie. Wyprzedzał tak dalece swoje czasy, że żądał całkowitego zniesienia tej kary, był jednak na tyle praktyczny, by widzieć, iż społeczeństwo, ogólnie biorąc, nie dorosło jeszcze do tego i że trzeba tutaj postępować powoli, krok za krokiem. Wziął wobec tego pod ostrzał jedynie zagadnienie publicznych egzekucji. Oglądał ich wiele, zarówno w Londynie, jak i za granicą, i widział, jak podniecony był wówczas tłum, który przez całą noc potrafił stać w kolejce po dobre miejsce i okres czekania spędzać na wrzaskach i picciu, po czym witał więźnia idącego na szafot okrzykami i gwizdaniem i przyglądał się, rycząc ze śmiechu, jak nieszczęśnik umiera. Karol rozmawiał ze strażnikami, kapelanami, a nawet z samym katem, chcąc jak najlepiej zrozumieć uczucia skazańca.

W trzy lata później ukazały się w „Timesie” dalsze artykuły Dickensa na ten sam temat, musiało jednak upłynąć dwadzieścia lat, by ustawa została zmieniona, choćby w tym względzie,

że karę śmierci wykonywano odąd w obrębie murów więziennych.

Z chwilą złożenia rezygnacji skończyła się wygodna pensja redaktorska i Karol musiał dobrze pilnować swoich spraw finansowych. Znowu wydawało mu się, że wyjazd za granicę będzie najrozsądniejszym dlań wyjściem, i tym razem wybrał Szwajcarię. Cała rodzina popłynęła tam Renem. Wiadomość o przejeździe Dickensa rozeszła się lotem ptaka i na brzegu gromadziły się tłumy, by powitać geniusza, który dał im „nieśmiertelnego Pickwicka”. Książki jego dobrze już były znane w Niemczech i na całym kontynencie, łącznie z Rosją. Niemcy uważali, że Karol jest niezwykle młody i tak jakoś „swojsko” wygląda ze swą przeogromną rodziną.

Jeszcze nim wyjechał z Londynu, nowa opowieść kiełkowała w jego wyobraźni — „studium nad dumą” — \ jak zwykle, kiedy płonęło w nim natchnienie, pragnął natychmiast zasiać do roboty. Przede wszystkim jednak musiał złożyć sprawozdanie lordowi Johnowi Russel o szkołach dla ubogich, w sprawie których robił wywiad dla panny Coutts. Zabrał się również do opowiadań z Nowego Testamentu dla swoich dzieci i dopóki tego nie skończył, nie mógł się uważać za wolnego. Potem zaczął pisać „Dom- beya”.

Z początku szło mu łatwo i zadowolony był ze swej roboty. Pierwsza część ukazała się w październiku i odniosła „niebываły sukces”. W książce tej mieściło się wiele zachowanych z dzieciństwa wspomnień Karola. Przypominał sobie spacer do Limehouse, do swego ojca chrzestnego, i drewniany posązek podchorążego na Leadenhall Street, którego pokochał jak starego przyjaciela i zawsze, gdy go mijał, przystawał, by go pogłaskać. Sol Gili i kapitan Cut- tle pochodzili z tego samego okresu co pani Pi- pchin, prowadząca „Internat dla Małych Dzieci”, do którego posłano Pawełka Dombey — choć w jakże innych okolicznościach niż te, w jakich mały Karol poznał prototyp postaci pani Pi- pchin.

Kiedy tak pracował, pochłonięty „Dombeyem”, nagle zdał sobie sprawę, że jeśli tego roku ma wydać opowieść wigilijną, musi ją natychmiast zacząć. Przedziwnie nie chciało mu się przerywać książki, która tak mu dobrze szła, a zastanawiał się, czy będzie mógł pisać dwie rzeczy jednocześnie, jak to zwykł był robić we wczesnych czasach swojej twórczości. Tak był zajęty „Dombeyem”, że starczało mu inwencji za ledwie na mgliste, niewyraźne pomysły drugiej książki. Próbował raz tego, raz owego, lecz nie wkładał w to całego serca. Przed kilkoma miesiącami podsunął Forsterowi szkic pewnego konfliktu i teraz próbował w pocie czoła coś

z tego zrobić — wyszła „Walka o życie”, całkiem udana, a poza tym przyniosła sporo pieniędzy, jednak ani Karol, ani jego przyjaciele nigdy jej specjalnie nie lubili. Natychmiast kiedy przestała mu wchodzić w drogę, wrócił zadowolony do pisania swej powieści.

Mieszkał pod Lozanną, gdzie zawarł wiele nowych przyjaźni, między innymi z dyrektorem szkoły dla niewidomych, która go ogromnie zainteresowała. Nowi przyjaciele nie mogli jednak zastąpić mu starych, toteż tęsknił za życzliwą ich krytyką, tak dla niego cenną. Mimo to zaczął czytać głośno swoje dzieło nowemu kółku znajomych i stwierdził, że ich bystre uwagi stanowią również podniecie i że z przyjemnością ożywia dla nich poszczególne sceny. Pozwalało mu to spojrzeć w inny sposób na stworzone przez siebie postaci, tak jakby każda z nich przemawiała we własnym imieniu przez jego usta. Stwierdził, że gra prawie tak jak w teatrze, i czuł, że wzmacnia przez to dramatyczność poszczególnych scen.

Widział, że słuchacze lgną do jego słów jak zakłęci, i zrozumiał, że może pobudzić ich do śmiechu lub do płaczu, zależnie od swojej woli. Była to dziwna siła, niezwykle ożywcza. Zaczął się zastanawiać, czy uległoby mu w ten sam sposób większe audytorium i jak przyjęto by pomysł w Londynie. Zbadał opinię Forstera na ten temat, pisząc doń: „W dzisiejszych czasach

wykładów i odczytów można by chyba zarobić duże pieniądze, oczywiście gdyby to nie było poniżeniem godności pisarza, na czytaniu własnych książek. Takie odczyty miałyby w sobie coś oryginalnego i myślę, że cieszyłyby się dużym powodzeniem. Co ty na to?”

Forster uważał wszakże, że byłoby to poniżeniem godności dżentelmena.

Rozdział dziewiętnasty „DAWID COPPERFIELD”

Kiedy pogoda miała się zmienić i widać było pierwsze tego oznaki, Karol doszedł do wniosku, że może już wyjechać z Lozanny. „Dombey” był na tyle zaawansowany, że pisarz nie bał się przerwy, tak więc „z kilkoma tonami bagaży, paroma tonami służby i paroma tonami dzieci” wyruszyła znów ta niezwykła karawana i po pięciu dniach przyjechała do Paryża. „Podróż odbyliśmy cudownie — pisał — choć nie tak szybko, jak się spodziewaliśmy. Dzieci zdrowe jak zawsze, a mały »Skittles« (nowe niemowlę) wesoły nadzwyczajnie. Nazywam go tak, bo przypomina mi kulę do gry w skittla albo małego piwosza. Wstawaliśmy codziennie o piątej rano, a wyruszaliśmy w drogę już przed siódmą. Mieliśmy trzy pojazdy — coś w rodzaju wozu ciężarowego połączonego z kabrioletem — na bagaże, rozklekotaną, starą huśtawkę na czterech Mach (wynajętą w Genewie) dla dzieci, a dla nas kolaskę podróżną”.

Przerwali podróż w Paryżu, zatrzymali się najpierw w hotelu, a potem wynajęli umeblowane pokoje i mieszkali tam przez trzy miesiące, prowadząc bardzo towarzyskie życie — często chodzili do teatru i przyjmowali u siebie pisarzy i aktorów. Tutaj otrzymał Karol smutną wiadomość, że siostra jego, Fanny, zasłabła w czasie występu śpiewaczego w Manchesterze. Już od pewnego czasu zauważył z niepokojem, że Fanny podupada na zdrowiu, i namówił ją, by poszła do specjalisty, który wówczas jeszcze uspokoił ich obawy. Teraz Karol posłał ją ponownie do lekarza, który stwierdził, że Fanny ma mocno zaawansowaną gruźlicę.

Zmarła tego roku w lipcu. Podczas ostatnich tygodni choroby Karol wiele przy niej przesiadywał. Potrafił dobrze wpływać na chorą, zresztą łączyły go z siostrą zawsze szczerą sympatia i wzajemne zrozumienie. Fanny miała trzydzieści dziewięć lat i była szczęśliwa zarówno w małżeństwie, jak i w muzycznej pracy zawodowej. Miała kilkoro dzieci, najmłodsze kilkumiesięczne zaledwie. Trudno jej było pogodzić się z myślą, że musi ich wszystkich opuścić, i przechodziła okres gorzkiego buntu, którego później żałowała; wreszcie zdolna była powiedzieć, iż nie czuje żalu umierając, tyle tylko, że według przyrodzonego porządku rzeczy dużo czasu będzie musiało upłynąć, zanim ujrzy znowu kogokolwiek z najbliższych.

Karol z siostrą wiele rozmawiali o sobie. Często sięgał do swych wspomnień pisząc „Dom- beya” i zapewne przypomniał sobie teraz wiele przeżyć, które dzieliła z nim tylko Fanny, choć liczniejsze chyba były te, o których nawet ona nie wiedziała. Musieli oboje pamiętać owe niedziele spędzane w Marshalsea i dbałość Karola, by zawsze wyglądać porządnie i czysto, gdy wstępował po nią do akademii muzycznej — jakże jednak mało wiedziała, w jaki sposób spędzał pozostałe dni tygodnia!

Cóż było źródłem tej głębokiej niechęci do zwierzeń, która trwała aż do tych dni? Zraniona duma? Obawa przed zdradą, nie pozwalająca mu zawierzyć nikomu całej prawdy? Dlaczego ta rana była tak głęboka? Zdaje się, że można szukać częściowo wyjaśnienia w wyobraźni Karola, zawsze tak ponurej i silnej. Jako dorosły człowiek potrafił się jeszcze bać tego, co już minęło. Kiedy matka wyjechała z domu, by połączyć się z ojcem w Marshalsea, czuł się jak opuszczone pisklę, wyrzucone z gniazda, nim jeszcze nauczyło się fruwać. Pamiętał sceny na Seven Dials oglądane ongiś z Jamesem, a wyobrażenia jego zmieniała je w obrazy „nieopisanego zepsucia”. Gorzko żałował, że zmuszono go do przerwania nauk, bo w ten sposób zniszczone zostały jego marzenia, i to przez rodziców, których kochał i którym ufał. Z pewnością nie był tchórzem i nie ustępował wobec przeciwności. Pozostał łagodny, dobry, pełen zapału, wciąż interesujący się otaczającym go światem, mimo wszelkich nieszczęść, które mogły z niego zrobić sobka. Być może, fakt, że nie mógł zawierzyć nawet swym rodzicom, kazał mu przypuszczać, że nikt inny nie jest w stanie go zrozumieć. Ukrywał swe cierpienia przed światem, lecz rozpamiętywał je często, a nawet zbyt często, co miało później wpływ na jego podejście do wszystkich młodych bohaterów jego powieści, bo w ich przeżyciach widział odbicie własnych doświadczeń, na przykład Olivera, Dawida czy Pipa. Przesadzał, opisując ich bezbronność i delikatność, i z nadmiernym współczuciem osłaniał ich przed światem, który musiał, jego zdaniem, być dla nich bezlitosny. Ale jakież kontrast zachodził pomiędzy tymi odległymi czasami a teraźniejszością, kiedy to „Nieporównany” osiągnął już sławę i otoczony był powszechnym szacunkiem, pewny jutra, posiadający rodzinę żyjącą w dostatku, piękny dom, powozy i konie!

Pobudzony rozmowami z Fanny, napisał teraz do Forstera: „Czy mam ci zostawić po śmierci mój życiorys w rękopisie?” — ale nie zdradził ani słowem, co by w nim miał do powiedzenia. Tak się złożyło, że w tym samym mniej więcej okresie wychyliła się z zazdrośnie ukrywanej przeszłości jeszcze jedna postać. Pewnego dnia Forster otrzymał drwiące zapytanie, czy słynny

Boz mógłby być synem Johna Dickensa, niegdyś pracownika Urzędu Płatniczego Marynarki, tym samym biednym chłopcem), co to pracował za witryną sklepu przy fabryce na Chandos Street?

Karol, zaskoczony, w pierwszej chwili zaprzeczył, lecz później przyznał, że jest tą samą osobą. Po tym wypadku pomysł wykorzystania swych własnych przeżyć ośwładnął nim całkowicie i tak zaczął się rysować kształt „Dawida Copperfielda”, który nie miał być autobiografią, lecz „czymś ogromnie pomysłowym, gdzie wątki prawdy i fikcji przeplatałyby się w bardzo skomplikowany sposób”.

Powieść pisana w odcinkach musiała otrzymać tytuł natychmiast po narodzinach samego pomysłu, a jeśli chodzi o Karola — jeszcze nim wątek przybrał realne kształty. Pisarz stanął więc przed zwykłymi trudnościami z wyszukaniem tytułu, który by mu odpowiadał. Z początku nazwał bohatera Dawidem Mag i proponował tytuł „Rozrywki Maga”, choć bał się, że będzie to brzmiało „zbyt komicznie”. Nie miał jednak ochoty rozstać się z tym nazwiskiem całkowicie, podsuwało mu bowiem wiele możliwości dowcipów i przycinków, ponieważ „mag” znaczy w żargonie ulicznym pół pensa, a również jest skrótem słowa „magpie”, czyli sroka. Potem Mag został zmieniony na Copperfielda (być może od słowa copper miedź, półpensówki

bowiem są miedziane) i wszyscy byli zadowoleni. Dopiero kiedy Forster zwrócił mu na to uwagę, Karol zdał sobie sprawę, że bohater ma jego inicjały, tylko przestawione.

Warunki, w jakich żył mały Dawid, przedstawił jako bardziej romantyczne niż jego własne i rzucił go w świat w sposób bardziej dramatyczny i w nieco wcześniejszym wieku, niż to się z nim stało. Na rysunku Hablota Browne, kiedy mały siedzi w saloniku panny Trotwood owinięty w szale, wydaje się śmiesznie dziecinny jak na tekst, do którego ów rysunek się odnosi, a jednak Karol musiał ten rysunek zaaprobować, bo bardzo krytycznie przeglądał zawsze wszystkie ilustracje do swoich książek. Ciekawe, że kiedy zobaczył pierwszy szkic postaci pana Micawbera, zawołał:

— Kapitalny! Niebywale charakterystyczny! — z czego można wnosić, że przypominał on żywo starego Johna Dickensa.

Nie jest wcale dziwne, że choć Karol dobrze wiedział, co chce zrobić, miał ogromne trudności z rozpoczęciem tej tak bardzo osobistej książki i narzekał, że „toczy się ciężko jak wóz bagażowy”. W listopadzie jednak wszystko już szło dobrze i Karol mógł stwierdzić: „Znakomicie już się czuję w tym chomacie. Nie drażni i nie uwiera”. Jeździł do Suffolk, żeby znaleźć w Blundestone otoczenie Wroniego Boru,

a w Yarmouth — domek Peggotty w przewróconej do góry dnem łodzi.

Chciał, żeby obraz małej Emilki zawierał w sobie głęboki morał, miał też nadzieję, że może w przyszłości pozostanie w ludzkiej pamięci dzięki tej właśnie postaci, jeśli już nie z innego powodu. Pragnął, by ludzie wiedzieli, jaka rzeczywistość kryje się za konwencjonalnymi pojęciami, zobaczyli, że poza bajeczką o „kobiecie upadłej” jest jeszcze wewnętrzne życie tego dziecka wybrzeża Yarmouth.

Gorzko-słodkie wspomnienia o Marii złożyły się na postać Dory, do tych wspomnień doszła na pewno i pamięć własnych, pierwszych dni małżeństwa, by stworzyć obraz „pięknej, zabawnej miłości” między Dorą a Dawidem. Nie mógł zapomnieć, jak go Maria zwodziła, i nie bardzo wiedział, co z tą postacią zrobić. W jednym z jego listów dziwnie brzmią słowa: „Muszę jeszcze zabić Dorę”.

Jedną z najmocniejszych kobiecych postaci u Dickensa jest Betsy Trotwood, wzorowana na kobiecie, która mieszkała w małym domku nad morzem, w Broadstairs, prawie w bezpośrednim sąsiedztwie hotelu Albion, gdzie tak często przebywał Karol i gdzie napisał kilka rozdziałów „Copperfielda”. Jeszcze długo po jej śmierci krążyły opowiadania o jej złości i kłótności, gdy zobaczyła osły pasące się na trawniku, a Karolek Dickens dobrze pamiętał, jak go wy

ganiała oburzona, dzierżąc szczotkę od kominka, kiedy przejechał na osle po kawałku trawy tak zazdrośnie przez nią strzeżonym. Domek jej stoi do dziś dnia, bez zmian; możecie zajrzeć przez bramę, tak samo jak wygłodzony Dawid, i zobaczyć okno bawialni, a nad nim to okno, z którego pan Dick wytrzeszczał oczy na stojącego na dole chłopca. Za półokrągłym oknem, na prawo od drzwi frontowych, leży mały pokój, z wysoko wbudowaną w ścianę szafą, z której panna Trotwood wyjęła dziwny asortyment środków trzeźwiących, kiedy Dawid zemdłał. Na górze, na poddaszu, znajduje się mały stryszek, gdzie położono Dawida do łóżka i gdzie leżał, spoglądając przez okno na księżyc, rzucający blaski na morze.

Karol tak przywykł opierać się w pisaniu na własnych, konkretnych obserwacjach z życia, że czasami przekraczał miarę — okazywało się, że napisał paszkwil. Tak było z postacią panny Mowcher w „Dawidzie Copperfieldzie” i z postacią Harolda Skimpole w „Domu na pustkowiu”, pod którą, jak twierdzono, krył się Leigh Hunt. Ponieważ Karol wykorzystał w „Dawidzie Copperfieldzie” także postacie własnych rodziców, był zły i zdumiony, kiedy inni wnosili protesty — lecz gdy zdał sobie sprawę, że jego portret panny Mowcher może boleśnie dotknąć osobę, na której był wzorowany, ogromnie się zawstydził i starał się jak mógł odrobić swoje

błędy. Tak więc po pierwszym, niezapomnianym opisie małej, żywej karliczki, tak niezwykle skorej do wszelkich złośliwości, która stawała na stole, by szczotkować piękne pukle Steerfortha i przerywała swe gorszące rozmowy, mówiąc co chwila: „Jaka ze mnie trzpiotka, panie Copperfield!” — panna Mowcher zostaje pieczołowicie przerobiona w dobroduszną nic, które już nikogo nie interesuje.

Wreszcie, widząc już w wyobraźni koniec swojej powieści, Karol pisał do Forstera: „Jestem o trzy strony od brzegu i jak zwykle przeskakuję od radości do smutku. Drogi mój, gdybym miał wypowiedzieć choćby połowę tego, co odczuwam dzisiaj przy pisaniu »Copperfielda«, byłbym się nawet tobie wydał dziwnie odarty z wszelkich zasłon. Mam wrażenie, że wysyłam w ten mroczny świat część samego siebie”.

Wydanie „Dawida Copperfielda” wywołało z przeszłości Marię Beadnell. Kiedy Karol, po czasowym wyjeździe z Londynu, przeglądał po powrocie listy, które się przez ten okres nagromadziły, zobaczył jeden adresowany jej pismem i biorąc go do ręki, czuł się jak mały chłopiec. W wyobraźni widział już ich dramatyczne spotkanie. Była mężatką, toteż Karol natychmiast wyprawił do nich Katarzynę z wizytą, tak by można im było wysłać zaproszenie na obiad. Kiedy jednak ujrzał swoją starą miłość, wspartą na ramieniu męża, żaden obraz z przeszłości

nie mógł mu pomóc. Spotkanie ich podobne było do późniejszego opisu spotkania Artura Clenna- ma z Florą Finching w „Małej Dorrit”: „Miłość ta zachwiała się i rozpadła w gruzy... Flora, która zawsze była wysoka, teraz w dodatku rozszerzyła się znacznie i nabrała skłonności do zadyszki — lecz to nie miałyby jeszcze wielkiego znaczenia. Flora, którą opuścił jako lilię, zmieniła się teraz w piwonię — lecz to także nie miałyby wielkiego znaczenia. Flora, której wszystkie słowa i myśli miały dla niego nieprzeparty urok, teraz była gadatliwa i śmieszna. Na to, niestety, niepodobna było zamknąć oczu. Flora, ongi zalotna i naiwna, widocznie postanowiła sobie niezłomnie, że będzie nadal zalotna i naiwna. Był to rozstrzygający cios” *.

W lutym umarł stary John Dickens. Od pewnego czasu cierpiał na jakąś chorobę wewnętrzną, o czym ani słowem nie wspominał rodzinie. Usiłowano go zoperować, lecz operacja się nie udała. Było to w czasach, kiedy nie znano jeszcze znieczulenia, a Karol widząc, jak chory dzielnie znosi ból, uczuł wzbierające w nim dawne przywiązanie i uwielbienie dla ojca. Zapomniał o złych chwilach, a pamiętał tylko o jego pogodzie i dobroci. Stare, kwieciste zdania bez sensu, które z takim powodzeniem włożył w usta pana Micawbera w „Copperfieldzie”,

zabrzmiały teraz w wyobraźni Karola jakimś nowym, pełnym czaru dźwiękiem. Przypomniawszy sobie, z jakim zapałem ojciec zajmował się cudzymi sprawami (choć nigdy, niestety, własnymi) i jako ostatni dlań hołd wybrał słowa: „człowiek żarliwego serca, uczynny, pogodny”.

W tym mniej więcej okresie sir Edward Bulwer (późniejszy lord) Lytton wraz z Karolem, Forsterem i innymi wybitnymi ludźmi robił starania, by stworzyć coś w rodzaju towarzystwa opieki nad ludźmi należącymi do zawodów artystycznych, którzy tak często wpadają w tarapaty, a nie mają żadnych środków na przetrzymanie złego okresu do chwili, gdy los się znowu do nich uśmiechnie. Karol bardzo dobrze wiedział, ile w życiu artysty jest ryzyka i przypadkowości, toteż poparł ten projekt w pełni. Lubił przytaczać tu przykład Samuela Johnsona, przypominając, że pisarz ten sprzedał prawa autorskie na swego „Rasselasa”, aby zapłacić za pogrzeb matki.

Stowarzyszenie miało nosić nazwę „Gildia Literatury i Sztuki”. Chcąc dopomóc w zbieraniu na nią funduszy, Lytton ofiarował część należących do niego gruntów, gdzie miały stać domy dla ubogich przedstawicieli profesji artystycznej. Aktorzy mieli dawać na ten cel specjalne przedstawienia, a Karol zabrał się z radością do powtórnego wystawienia „Every Man in His Humour”, w której to sztuce grali

swoje role on i jego starzy przyjaciele. Sztuka została wystawiona w Knebworth (w wielkim domu Lyttona), a w następnym roku ten sam zespół znakomicie wystawił amatorsko sztukę samego Lyttona pod tytułem „Not so bad as we seem” *. W miesiącu otwarcia Wielkiej Wystawy w Hyde Park wystawili ponownie tę sztukę przed królową Wiktoria i Księciem Małżonkiem w Devonshire House.

Karol był szczerze zachwycony tym znakomitym pretekstem do zajmowania się amatorsko sztuką teatralną — tak bardzo ją przecież lubił. Zrobił ze swym zespołem objazd wielu miast w kraju — był to objazd prawdziwie triumfalny, a Forster nazywa go „wspaniałą włóczęgą” Dickensa.

Fundusze na Gildię wzrastały, lecz mimo to pisarze, malarze i aktorzy, dla których były one przeznaczone, trzymali się od niej z daleka. Nigdy nie uznali rzeczywiście tej organizacji, woleli głodować jak dawniej. Wyrósł z niej jednak Królewski Fundusz Literacki, a wielu wybitnych pisarzy ma powód, by żywić dlań wdzięczność.

rwum r. <u'

Rozdział dwudziesty CZYTANIE PUBLICZNE

W roku 1850 Karol zaczął wydawać nowe pismo, nazwane „Household Words” („Słowa Powszednie”), które miało być, podobnie jak „Master Humphrey's Clock” periodykiem tanim i przynoszącym zarówno rozrywkę, jak i wiadomości, tak by każdy w rodzinie mógł znaleźć coś dla siebie odpowiedniego. Pismo miało duże powodzenie. Karol był dobrym redaktorem, szybko potrafił poznać się na ludzkich zdolnościach, a dla młodych pisarzy był hojny. Kiedy pani Gaskell* przysłała mu „Cranford” do druku w odcinkach, szepnął tylko:

— Znakomite, znakomite.

Kontrakt dzierżawny na dom przy Devonshire Terrace miał niedługo wygasnąć, lecz Karol upatrzył już sobie Tavistock House w Bloomsbury. Nie był to ani taki ładny, ani tak duży

dom jak dotychczas przez niego zajmowany, ale miał nad tamtym jedną przewagę, mianowicie wielką salę na pierwszym piętrze, którą można było przerobić na prywatny teatr. Wiele wystawiono tu sztuk, i to z takim powodzeniem, że amatorskie „premiery Dickensa” były traktowane przez prasę prawie tak samo poważnie, jak premiery w teatrach zawodowych. Na występ w Wieczór Trzech Króli wybierano zwykle sztukę, w której mogły wziąć udział wszystkie dzieci Dickensa — Charley, Mamey, Katey, Walter, Francis, Alfred, Sydney i Henryk. W roku 1852 przybył w rodzinie Edward, który otrzymał i zachował cudaczne przezwisko „Plor-nishamrootigoonter”, w skrócie Plorn. Odbił on swój „bezapelacyjnie pierwszy występ na scenie” w wieku lat trzech.

Karol przygotowywał każdego do jego występu, a i charakterystyka była dobra. Podczas jednego z najbardziej udanych przedstawień, Thackeray, który znajdował się wśród widzów, śmiał się tak serdecznie, że spadł z krzesła.

Gdy zbliżała się jesień 1851 roku, Karola opanowała „dojmująca żądza, by znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tam, gdzie teraz — jakby coś mnie stąd wypędzało”. Pomysł następnej powieści nie dawał mu spokoju, toteż ogromnie potrzebował samotności, by pozwolić mu się rozwinąć — marzył o dalekich dolinach w górach szwajcarskich, gdzie wieją silne wichry i gdzie mógłby być sam. Lecz to było niemożliwe, wobec czego zaczął pisać w Londynie wielką swoją powieść „Dom na pustkowiu” — wraz z jej niezapomnianym opisem jednej ze starych „osobliwości londyńskich”, co zstępuje na City i pełźnie w dół i w górę rzeki, rozpościera się ponad bagnami Essexu i wyżynami Kentu, drażni oczy i gardła, szczypie w palce u rąk i nóg; a w otchłani tej leżą ponure i złowróźbne gmachy Sądów, „ich rozpadające się budynki i jałowe ziemie w każdym hrabstwie, umęczeni wariaci — w każdym szpitalu obłąkanych, ich umarli na każdym cmentarzu”. Rozpaliły go tak reportaże z toczącego się niedawno procesu i Karol stał się wymowny jak święty Jan Chrzyciel nawołujący świat do skruchy.

Krucjaty Dickensa zawsze odnosiły skutek, zawsze były podbudowywane faktami — i zawsze przynosiły reformy.

Tym razem Karol nie miał żadnych trudności z rozpoczęciem powieści. Pióro jego przebiegało stronicie jak szalone, stwierdził jednak, że męczy się teraz o wiele szybciej i że stracił wiele ze swojej dawnej wytrzymałości. Martwił się tym i podejrzewał, że jest przepracowany. Niewątpliwie redakcja nowego pisma zabierała mu wiele czasu, poza tym sam dużo do niego pisywał. Pisał również dla swych dzieci książkę na tematy biblijne, a potem historię Anglii, ponieważ żadna mu nie odpowiadała. Lecz najwaź

niejsze były zapewne przygotowania tekstów z własnych książek do publicznego czytania, nad czym pracował mimo protestów przyjaciół. Wyczerpywało go to emocjonalnie, lecz postanowił sprawdzić, co z tego wyjdzie. W grudniu 1853 roku w Birmingham czytał na głos „Opowieść wigilijna” i „Świerszcza za kominem”, aby zdobyć fundusze na Instytut Ludzi Pracy.

Skrzętnie wyczyścił tekst, wycinając zeń wszystko, co mógł zastąpić tonem głosu czy gestem, a robił próby przed publicznym czytaniem tak, jakby się przygotowywał do występu w teatrze. Odniósł niewątpliwie wielki sukces. Od pierwszej do ostatniej chwili słuchacze siedzieli jak zaczarowani. Dla wielu ludzi nie starczyło już biletów wstępu, toteż urządził drugi dodatkowy wieczór, po niższych cenach, wyłącznie dla robotników i ich żon. Fundusze, jakie przez to zyskał, wahały się pomiędzy czterystoma a pięciuset funtami. Dickens nie wziął z tego nic dla siebie.

W ciągu następnych pięciu lat przejechał cały kraj, urządzając tego rodzaju wieczory na cele dobroczynne, a wszędzie ludzie gromadzi się tłumnie, by go posłuchać, i okazywali mu uznanie, które wzruszało go głęboko. Postanowił później urządzić cykl podobnych czytań w Londynie, już dla własnego zarobku, i stwierdził, że pomysł był dobry, bo bilety szły jak woda. Nawet

ci, co krytycznie odnosili się do tego pomysłu, ulegali po jednym wieczorze.

— Zanim Usłyszałem Dickensa — powiedział Tomasz Carlyle — nie miałem pojęcia, jakie możliwości kryją się w ludzkiej twarzy i głosie.

Wielki aktor, Macready, chodził wielokrotnie na wieczory Karola, podziwiając jego talent, pobudzany to do łez, to do śmiechu.

Pewna Amerykanka pisała, że tak żywo i wyraziście rysował poszczególne sceny, iż czasem trudno jej było uwierzyć, że słowa, jakich używał, to naprawdę słowa z książki — dopóki sama ich tam później nie znalazła. Wrażenie to było najsilniejsze, gdy czytał opis domu Peggoty przerobionego z łodzi oraz opis Lant Street, gdzie Bob Sawyer podejmował pickwickczyków kolacją. Mówiła, jak Karol czytał o Micawberach, przechylając się to w przód, to w tył, na palcach i na obcasach, gdy wciskał monokl w oko czy też udawał, że gestykułuje łyżką od ponczu, a policzki jego robiły wrażenie apoplektycznych niemal, zdławionych w otocze sztywnego kołnierzyka, kiedy mówił cienkim głosem pana Micawbera, przerywając sobie nieodłącznym kaszlem, tłumiącym raz po raz jego słowa. Opisywała też, jak znakomicie wcielał się w postać pani Micawber, pociągającej poncz drobnymi łyżkami i poprawiającej włosy, podczas gdy łagodnym tonem omawiała widoki swego męża na przyszłość.

Kiedy czytał „Opowieść wigilijną”, marszczył brwi i mówił cierpkim, wibrującym głosem:

— Ach, ale też z tego Scrooge'a nie byle jaki pracownik!

Karol czytał, zawsze mając rozłożony przed sobą skrypt, lecz rzadko do niego zaglądał. Stawał przed ciemną zasłoną przy prostym biurku, na którym leżały jego książki i stała szklanka wody. Głos jego rozchodził się bez pomocy tuby. Karol czytał przed audytorium złożonym z trzech tysięcy ludzi przez dwie godziny bez przestanku. Przedstawiał im znane opowiadania tak, jak chciał, by je rozumiano, wydobywając z nich humor i patos i wcielając się cudownie w każdą postać. „Dombey” był tak lubiany, że „moglibyśmy tu zostać przez tydzień z tym jednym tekstem do czytania” — pisał z Dublina. A dalej: „Nigdy nie widziałem, by mężczyźni płakali tak otwarcie” (jak podczas czytania opisu śmierci małego Pawełka). „Jeśli zaś chodzi o panią Gamp — ryczeliśmy razem ze śmiechu, bo słuchacze przyprawiali mnie

0 takie wybuchy wesołości, że czasem nie mogłem się opanować i czytać dalej”.

Mówił Forsterowi (który uważał, że czytanie nie jest zajęciem godnym dżentelmena), że wszędzie gdziekolwiek się obróci, spotyka się z demonstracyjnie okazywanym przywiązaniem

1 szacunkiem. „Największy tłum, najciaśniej stłoczony, cichnie natychmiast, gdy zobaczy mo

ją twarz. Zarówno ludzie prości, jak i wytworni zatrzymują mnie na ulicy mówiąc: » Proszę, niech mi pan pozwoli dotknąć ręki, która napelniła mój dom tak licznymi przyjaciółmi*”.

W dzień swoich czterdziestych drugich urodzin Karol, który nosił teraz „szatańskie, pokrętnie wąsy”, zaprosił Toma Bearda na włóczęgę od Gravesend do Rochester i z powrotem przez Cobham Woods. W piękny i słoneczny ranek znaleźli się na drodze prowadzącej do Dover i tam, przed domem na Gadshill, zobaczyli tablicę oznajmującą, że posesja jest do sprzedania. Karol stanął; wszystkie stare uczucia związane z tym miejscem ogarnęły go tłumnie. Natychmiast po powrocie do Londynu zasięgnął w tej sprawie informacji, lecz okazało się, że już za późno. Grunt został kupiony, lecz sam dom był jeszcze do sprzedania. Z lekkim dreszczykiem emocji i strachu kazał agentowi wszcząć rozmowy, lecz i targować się trochę, aby nie wydawało się, że mają na ten dom zbyt wielką ochotę. Koniec końców, zapłacił za ledwie

0 dziesięć funtów mniej, niż żądano z początku,

1 podpisał czek w piątek. Powiedział sobie chłodno, że doprowadzi dom do porządku i będzie go wynajmował wraz z umeblowaniem przez większą część roku, lecz zbyt mocno pokochał to miejsce. Wynajął dom raz tylko, i to za ledwie na parę tygodni. Gadshill stało się

Pewnego ranka, kiedy znajdował się w City w interesie związanym z dzierżawą, przeszedł na drugą stronę Tamizy, by zobaczyć, co pozostało po więzieniu Marshalsea, zburzonym niedawno. Przestały istnieć wielkie wrota i mury, zakończone zębatymi blankami, pozostał jednak nie tknięty pokój, w którym Karol był świadkiem podpisywania petycji przez ojca. Kiedy wszedł do środka, poczuł się znowu małym chłopcem przy boku ojca, pośród tamtego obdartego towarzystwa. Wspomnienia ogarnęły go tak tłumnie, że przez chwilę czuł, iż musi wynająć, musi mieć ten pokój, aby wspomnienia mogły pozostać ciągle żywe. Kiedy jednak odchodził, zdawał sobie sprawę, że ten pokój dał mu już wszystko, co miał do dania; wtedy właśnie narodziła się opowieść o Ojcu Marshalsea i o Małej Dorrit. Nie mógł jeszcze zdecydować się, jak zużytkuje ten materiał, i kilkakrotnie zaczynał, nim wpadł na szczęśliwy pomysł zebrania kilku postaci przypadkiem na kontynencie i pokazania czytelnikowi, jak przeplatały się dalsze ich losy. W tej to książce znajduje się pamiętny satyryczny obraz Ministerstwa Przelewania z Pustego w Próżne.

jego domem bardziej niż wszystkie inne, w których mieszkał. Wrósł weń — i nawet teraz, choć od kilku lat mieści się tutaj pensja dla dziewcząt, wciąż jeszcze dom przepojony jest wspomnieniami Dickensa.

Karol pozwolił staremu pastorowi, który mieszkał w Gadshill w chwili dokonania kupna, by sam zdecydował o dacie swego wyprawienia, a stało się to dopiero latem 1857 roku. Gotowe już były plany unowocześnienia domu, odmalowania go i przyozdobienia, toteż natychmiast armia robotników przystąpiła do dzieła. Trzeba było przerobić rurociągi do nowych łazienek i kuchni, zaczęto więc kuć ściany, co trwało parę miesięcy. Zburzono stare stajnie i zbudowano nowe. Wozownia została przerobiona na pomieszczenia dla służby, a nad nią zrobiono wygodny, przestronny pokój do zabawy dla chłopców, w odpowiedniej odległości od gabinetu ojca.

Karol nie mógł się doczekać zakończenia robót, przyjeżdżał i biwakował wśród murarzy, podczas gdy roboty były jeszcze w toku, ciesząc się wrzawą i hałasem, mimo iż czasem na nie narzekał. Wkrótce przyjaciele na całym świecie mogli stwierdzić na podstawie jego listów, jak bardzo był rad. Puszyl się, pisząc skromnie o tym, że „moja maleńka posiadłość w hrabstwie Kent jest równie malownicza, jak widoki, które oglądasz robiąc typowo angielską całodzienną wyprawę konną — godny dom z czerwonych cegieł, przyjemnie nieregularny”. Lubował się też w opowiadaniu o Gadshill i sir Johnie Falstaffie. „Rabunku dokonano przed naszymi drzwiami — pisze w jednym z listów —

a Falstaff uciekał z miejsca identycznego jak to, gdzie znajduje się teraz pokój, w którym właśnie piszę. Nieco dalej leży mała, wiejska gospoda, zwana »Gospodą Pod Sir Johnem Falstaffem«, na cześć owego wypadku. Za domem ciągną się lasy Cobham, z przodu w oddali Tamiza, po bokach Medway i Rochester. Cała ta cudowna posiadłość leży przy starym gościńcu prowadzącym do Dover".

Dickens cieszył się również budową kolei. Doprowadzono ją właśnie do Gravesend, a wkrótce miała już dochodzić do Higham, leżącego mniej więcej o milę od jego domu. Po pewnym czasie można było często spotkać go na gościńcu, jadącego w koszykowym faetonie zaprzężonym w konia zwanego Newman Noggs; z tyłu biegły dwa psy, od czasu do czasu podsuwając swemu panu łby do poklepania.

Karol był dobrym ojcem, przyjacielskim i wyrozumiałym. Lubił sprawiać dzieciom przyjemności, lecz zdawał sobie dobrze sprawę, jak bardzo, poza poczuciem wolności, potrzebują dyscypliny i porządku. Uważał, że musi im dopomóc, by stały się samodzielne, uczciwe, godne szacunku.

W święta, kiedy się wszyscy zjeżdżali, dom był pełen; wszędzie słychać było stąpanie ciężkich butów, wciąż ktoś biegał po schodach tuż pod drzwiami jego gabinetu.

Jednym z pierwszych znakomitych gości „Gads" był Hans Andersen. Przysłał on Dickensowi dziesięć lat temu egzemplarz angielskiego przekładu swoich bajek, a Karol zachwycił się nimi, specjalnie zaś „Małym ołowianym żołnierzykiem". Po przyjeździe do Anglii Andersen poprosił wspólnego ich przyjaciela, by go przedstawił Dickensowi, bo „kiedy czytam jego książki, często myślę, że już to gdzieś widziałem, i wydaje mi się, że mógłbym tak pisać. Nie zrozum mnie źle — nie wiem zupełnie, jak by ci to lepiej wytłumaczyć. Często dyszałem również w zimie, w deszczowe wieczory, wiatr,

który gwizdał wokół sznura na dzwonnicy, a doskonale pamiętam cykanie świerszcza w zacisznym kącie ubogiego domku moich rodziców".

Andersen był dziwnym mężczyzną — bardzo wysokim, o sterczących łokciach i kolanach oraz o długiej, nieregularnej twarzy. Nie można było przewidzieć żadnej jego reakcji, był też przesadnie wrażliwy, tak zagubiony w świecie własnej wyobraźni, że trudno mu było zrozumieć, czego od niego chcą. Synowie Dickensa mieli z nim ciężką robotę, zwłaszcza Charley, który na prośbę gościa musiał go codziennie golić. Z Katarzyną był w dobrych stosunkach i często zbierał dla niej bukietki kwiatów w lesie. Młodsze dzieci zachwycały się jego delikatnymi wycinankami elfów, gnomów, duszków, drzew i kwiatów.

Ogromnie pragnął przewędrować w towarzystwie Boza Londyn, jaki znał z jego powieści, lecz było to niewykonalne ze względu na jego dziwactwa. Postać jego zbyt zwracała uwagę, poza tym mógłby się bardzo przerazić oglądanymi scenami, ponieważ był niezwykle nerwowy. Pewnego dnia, kiedy jechali razem do Londynu, Andersen zagubił się na London Bridge Station, tam znalazł sobie fiakra i sam pojechał na miejsce, gdzie miał się spotkać z Karolem. Woźnica jechał przez nie wykończone ulice Clerkenwell i Andersen przeraził się panicznie,

myśląc, że wiozą go w odludne jakieś miejsce, aby go ograbić, a może nawet zamordować. Zdjął buty i wepchnął w nie pieniądze, zegarek i papiery. Kiedy dorożkarz zatrzymał się, Karol, który niespokojnie czekał na Andersena, zobaczył, jak ten wysiada chwiejnie z pojazdu, ledwo powłócząc nogami, oniemiały z przerażenia.

Rozdział dwudziesty pierwszy GADSHILL

Nim jeszcze Karol osiadł w swoim nowym domu, stwierdził, że stoi przed nim do rozwiązania ogromnie przykry problem osobisty. W ciągu ostatnich miesięcy niejednokrotnie już zwierzał się Forsterowi z rosnącego w nim strachu przed załamaniem, lecz nie na tym polegał problem. Z pewnością odbiło się mocno na pisarzu owo niezwykle napięcie, z jakim pracował przez tyle lat. Nigdy też nie był wolny od lęku, że zawiedzie go natchnienie i że pewnego dnia stwierdzi, iż nie ma już o czym pisać. Czytania własnych tekstów stanowiły jakby drugą cięciwę w jego łuku, lecz i im musiał zapłacić wysokie myto czasu i siły. Często kusiło go, by uciec gdzieś, znaleźć odległe miejsce, gdzie mógłby pomyśleć i z właściwej perspektywy spojrzeć na własne życie. „Powiesz, że to niepokój — pisał do Forstera. — Wszystko jedno, co to jest, ale wciąż mnie to prześladowuje i nic na to nie poradzę”. Lecz nie tylko o to chodziło.

Nieco później „zupełnie roztrzęsiony” zapytywał: „Czemuż to dzieje się ze mną tak, jak z biednym Dawidem (Copperfieldem), że zawsze, kiedy jestem w podłym nastroju, nachodzi mnie przytłaczająca świadomość, iż nie zaznałem nigdy w życiu tego szczęścia — aby spotkać tego jednego przyjaciela i towarzysza”.

Gdyby mógł się tylko uwolnić od wszystkiego, chciałby — tak sobie myślał — zamieszkać na jakiś czas z zakonnikami w ich hospicjum na Przełęczy Świętego Bernarda. Potem powiedział sobie z żalem, że chyba „lepiej iść dalej i martwić się niż stanąć w miejscu i martwić się; jeśli zaś idzie o odpoczynek — dla pewnych ludzi nie ma go na świecie”,

W tym stanie ducha postanowił wreszcie zawierzyć swoje strapienia Forsterowi i oświadczył mu, że doszedł do wniosku, iż powinien rozejść się z Katarzyną.

„Nie idzie tu tylko o to, że ona drażni mnie i sprawia, że jestem nieszczęśliwy, lecz że i ja na nią tak samo akurat działałam i unieszczęśliwiam ją jeszcze bardziej — pisał. — Wiesz doskonale, jak ona potrafi być miła i ustępliwa, lecz dziwnie jesteśmy niedobrani do istniejącego między nami związku. Bogu wiadomo, że byłaby tysiąc razy szczęśliwsza, gdyby poślubiła człowieka innego pokroju. Serce krwawi mi czasem na myśl, jaka to straszna dla niej szkoda, że kiedykolwiek stanąłem na jej drodze. Wiem, że gdy

bym jutro zachorował czy stał się kaleką, żałowałyby mnie ogromnie. Lecz z chwilą, w której bym wydobrzył, zapanowałyby znowu niezgoda. Rozumiem, że nie możesz mi pomóc. Nie wiem wcale, dlaczego to ci w ogóle piszę, lecz myśl, że wiesz dokładnie, jak wyglądają nasze sprawy małżeńskie, stanowi choć niewielką, ale jednak pewną ulgę".

Bolesna to była sprawa; Katarzyna cierpiała na swój sposób tak samo jak Karol. Nie znając bliżej okoliczności, trudno wyjaśnić, jak mogło do tego dojść po dwudziestu latach małżeństwa i urodzeniu dziewięciorga dzieci. W owych czasach rozwód był rzeczą nie do pomyślenia, poza tym jasne było, że Karolowi wcale nie chodzi o to, by uzyskać wolność i żyć własnym życiem. Pomimo wszystkich swoich marzeń o ciszy i samotności zatrzymał dzieci przy sobie i miał równie związane ręce jak i przedtem.

Katarzyna odjechała, bardzo nieszczęśliwa, spłakana, nie rozumiejąc zapewne, o co w ogóle idzie. Nie ulega wątpliwości, że kochała Karola, lecz w jego życiu było wiele rzeczy, których nie chciała z nim dzielić. Brak jej było jego żywotności. Jakże inaczej wyglądałoby wszystko, gdyby jej miała choćby odrobinę. Mogłoby się zdawać, że nie potrafi stanąć do walki o samą siebie, nie potrafi ani argumentować, ani tłumaczyć — umie tylko cierpieć bez rozeznania i płakać.

Karol nigdy nie lubił niezdecydowania; kiedy postanowił, że coś przeprowadzi tak, a nie inaczej, nie spoczął, póki tego nie dokonał. Kiedy uświadomił sobie, że ponad wszelką wątpliwość pragnie separacji przeprowadzonej prawnie i ostatecznie, natychmiast rozpoczął działanie, prosząc Forstera, by występował w jego imieniu, a Marka Lemon — w imieniu Katarzyny. Hogarthrowie okazali wyraźne niezadowolenie, zwłaszcza że Georgina nie chciała opuścić Karola i dzieci i w rezultacie na pewien okres odsunęła się od własnej rodziny.

Karol przyznał Katarzynie sześćset funtów rocznie i wynajął dla niej dom koło Regents Park, gdzie posłał również Charleya, przykazując mu, by serdecznie zajmował się matką.

Kiedy zmałał pierwszy ból, Katarzyna zebrała wszystkie listy męża i związała je w pakiet, jakby to był jakiś talizman przeciw rozpaczce, dowód, jak powiedziała, że ją kiedyś kochał. Między owymi listami znajdowały się przytaczane już tutaj poprzednio, pisane jeszcze przed ślubem, które dowodzą, że nawet wówczas to, co istniało między nimi, nie było łatwe i proste. Dzieci mogły odwiedzać ją w domu, kiedy tylko chciały, a córki mówią o niej z miłością w swoich wspomnieniach — Katarzyna jednak nie wiedziała prawie nic o pełnym, szczęśliwym życiu, jakie toczyło się w Gadshill.

Przez resztę tego roku i dużą część następane

Czasy zmieniły się, trudno tego nie przyznać. Za przywilej wydania tej powieści w odcinkach, które miały ukazywać się następnego dnia po wydrukowaniu ich w Anglii, firma amerykańska zapłaciła Dickensowi tysiąc funtów.

go Karol ustawicznie jeździł po krajach z odczytami. Czytał w Londynie co czwartek przez cały lipiec, a w początku sierpnia ruszył na czteromiesięczny objazd Anglii, Irlandii i Szkocji, podczas którego czytał cztery do pięciu razy tygodniowo. Być może chciał w ten sposób odsunąć od siebie myśl o skutkach owej życiowej zmiany, lecz w rezultacie powiększał tylko męczący niepokój, na który tylokrotnie narzekał, oraz poczucie ustawicznego napięcia. Forster po prostu przypisywał fatalny stan psychiczny przyjaciela jego publicznym czytaniom. Podczas takich objazdów Karol żył zbyt nerwowo. W tym okresie Forster zresztą ożenił się i odtąd przyjaciele rzadziej się widywali.

Tak więc ulgą było dla Karola, kiedy następnej wiosny przyszedł mu do głowy pomysł następnej książki i kiedy praca nad wątkiem całkowicie go pochłonęła. Odkąd przeczytał „Revolucję francuską” Carlyle'a, zbierał w umyśle materiał i wątek do „Opowieści o dwóch miastach”. Ze względu na samą fabułę książka ta zawsze przykuwała uwagę czytelników. Jako sztuka wielokrotnie powracała na scenę teatru, filmu i w radio.

Pewnego razu, kiedy znalazł się na północy w objeździe z odczytami, mając przed sobą długi, samotny wieczór, Karol wysłał chłopca hotelowego z poleceniem, by wynalazł mu coś do czytania — „cokolwiek Waltera Scotta — powiedział — albo nawet i moje własne”. Chłopak wrócił z egzemplarzem „Antykwariatu” i Karol czytał z rosnącą wesołością przy huczącym ogniu — nie ze względu na samą opowieść, ale na obudzone przez nią wspomnienia okoliczności, w jakich została napisana. Natychmiast po powrocie do Londynu zaczął ponownie odwiedzać miejsca, w których niegdyś często bywał, i stwierdził, że jedno wiedzie go do drugiego, jakby go coś urzekło. Było to dobre lekarstwo na jego stan psychiczny — Karol zaczął spisywać swoje nowe wrażenia i wspomnienia o starych. I z tego również wyrosła książka, którą nazwał „Komiwojażer niehandlowy”. Czytelnik ciekawy i dociekliwy wyłuska z tych opowiadań wiele materiału autobiograficznego, jak opis zabaw układanych na podstawie książek dla Fanny i Stroughillów, kiedy Karol był młodym chłopcem w Chatham, oraz wiele innych obrazków z życia w tym mieście. Są również drobne scenki z okresu, kiedy był kancelistą w Grays' Inn i starał się o względy Marii, oraz opis owego „starego i odrapanego, diabła wartego pojazdu”, w którym podróżował wraz z rodziną do Włoch w 1844 roku.

Kiedy tak grzebał się w przeszłości, napisał do Angeli Burdett Coutts o Gadshill i opisał jej, jak to on, będąc jeszcze bardzo dziwnym małym chłopcem, włókł się tam z Chatham u boku ojca i że już wówczas musiał mieć w głowie pierwsze mgliste zarysy wszystkich napisanych książek.

„Household Words” wciąż prosperowało. Wyszło w nim kilka opowieści Karola w odcinkach, jak również dwie najslawniejsze powieści Wilkie Collinsa „Kamień księżycowy” oraz „Kobieta w bieli”.

Collins poznał Karola w okresie jego „cudownej włóczugi”, a obecnie byli już bliskimi przyjaciółmi. Karol ogromnie lubił u przyjaciela jego pociąg do melodramatu. Niektórzy twierdzili, że on sam był pod zbyt wielkim tego wpływem. Forster nie mógł znieść Collinsa i nie robił z tego tajemnicy, lecz własne życie małżeńskie coraz bardziej odciągało go od starych przyjaciół i Karol zaczął teraz omawiać swą pracę i pomysły z Collinsem zamiast z Forsterem.

Nie wynajmował już obszernego Tavistock House, bo uważał, że zbędny mu jest dom w mieście, kiedy ma dom na wsi, lecz wynajął dwa czy trzy pokoje na Wellington Street, koło Strandu, nad redakcją „AU the Year Kound” („W Ciągu Całego Roku”), gdzie mógł, jeśli zachodziła tego potrzeba, spędzić kilka nocy. Cza sami wynajmował pokoje umeblowane, jeśli musiał przyjmować gości czy też chciał, by Mamey trochę się zabawiła, lecz Gadshill było jego prawdziwym domem. Tam był szczęśliwy, tam miał poczucie spokoju i zadowolenia, które rzadko znajdował gdziekolwiek indziej,

W ciągu kilku lat dokonał w domu tym wielu ulepszeń, dokupił też kawałek ziemi po przeciwnej stronie drogi, pod którą przekopał tunel, tak że mógł wejść na nowy teren, nie wychodząc poza swoją posiadłość. Tam, pomiędzy pięknymi drzewami, ustawił szwajcarski składany domek, który przysłał mu jego wielki przyjaciel i wielbiciel, aktor niemiecki Fechter. Domek był z dziewięćdziesięciu czterech części, które składały się łatwo jak dziecinna łamigłówka, i miał dwa piętra. Wokół ścian w pokoju na górze, który stał się jego letnim pokojem do pracy, Karol umieścił pięć wielkich lusterek, aby chwytały odbicia kołyszących się gałęzi drzew, ptaków, motyli, a nawet dalekich łąnów zboża i wód Medway.

Dom zachował do dziś ową atmosferę, jaką tchnął weń Dickens. Tunel dotychczas prowadzi pod drogą na drugą stronę, ładnie porosłą krzewami, lecz szwajcarskiego domku już nie ma — przeniesiono go do Cobham Park. Na prawo od drzwi frontowych, jeśli stanąć twarzą do domu, mieści się gabinet Karola, gdzie jest imitacja półek z książkami — kazał je zrobić na

drzwi swojego gabinetu w Tavistock House. Półki te były jednym z jego wielu żartów, tytuły zaś, jakie wymyślił na grzbiety fałszywych książek, do dziś wywołują uśmiech. W ogrodzie znajdują się groby wielu domowych ulubieńców — psów, kotów i kruków. Wszystkie one były kiedyś kochane przez Karola i jego dzieci, wszystkie też zostały tu przez nich pogrzebane.

Znane było powszechnie w tych okolicach powiedzenie, że nikt, kto ma pensa w kieszeni, nie minie gospody „Pod Sir Johnem Falstaffem”. Sezonowi robotnicy najmowani do pracy przy chmielu pojawiali się tłumnie na Dover Road i zatrzymywali się w gospodzie. Włóczędzy, Cyganie, cyrkowcy i chłopcy jadący na jarmark rozkładali się obozem wokół gospody. Karol trzymał czujne psy dla obrony domu i rodziny, lecz lubił po staremu mieszać się w tłum włóczędów i łotrzyków i wdawać się z nimi w rozmowę.

Do Gadshill i z Gadshill zrobił wiele mil, które tyle lat temu przemierzył małymi stopkami jako dziecko. Włóczył się po starych skałach Rochester i wokół drewnianych domów, znowu zaglądał do portu i wciąż jeszcze dostrzegał romantyzm w tysiącnych powiązanych z nim czynnościach; spacerował po Cooling Marshes i patrzył na grób na cmentarzu, gdzie znajdowały się „małe, czworokątne, kamienne

nagrobki, na stopę długie, ułożone w równy szereg” — było ich trzynaście, nie pięć jak te, które Dickens nazwał „świętą pamiątką po pięciu małych braciszkach, urodzonych leniuchach” — w powieści, jaką właśnie obmyślał. Jeszcze raz port przypomniawszy mu o „pływających więzieniach” i o zakutych w kajdany ludziach, którzy na nich pracowali — i tak opowieść o Pipie i kamieniach nagrobnych, o Pipie i Gargerych, o Pipie i Magwiche wyrosła w „Wielkie nadzieje”. Autor był zadowolony z tej książki. Spokojnie rozwijał wątek, a rysując słabości Pipa, wykazał wielką i subtelną znajomość charakterów. Początkowo zamierzał inaczej zakończyć powieść, lecz uległ wreszcie namowom Bulwer Lyttona. Karol uważał, że będzie naturalne, jeśli Pip ostatecznie straci Estellę; zgadzało się z nim w tym względzie wielu przyjaciół. Dickens nigdy nie był specjalnym zwolennikiem szczęśliwych zakończeń.

Przez te wszystkie lata w dalszym ciągu czytał publicznie swoje utwory, jeżdżąc po całym kraju, a nawet do Paryża, gdzie zgotowano mu przyjęcie gorętsze od wszystkiego, czego dotychczas zaznał. Publiczność francuska mało nie rozniosła gmachu, tak gwałtowna była burza oklasków, która trwała, kiedy już wyszedł do swego powozu i odjeżdżał przed sali odczytowej.

Wreszcie zaczął zdawać sobie sprawę, że pi-

sanie i czytanie źle idą ze sobą w parze. Mógł robić albo jedno, albo drugie, lecz nie obydwie rzeczy naraz. Po „Wielkich nadziejach” upłynęły całe cztery lata, nim wydał następną książkę. Były to lata ciężkich dla niego strat. Umarła matka Karola i pani Hogarth, umarł Henry Austin i wielu przyjaciół, między nimi Thackeray. Własny syn Karola, Walter, umarł za granicą. Potem przyszła niezwykle ostra zima, którą sam Karol przypłacił zdrowiem. Temperatura była „nie wiadomo ile poniżej zera — pisał do przyjaciela. — Łazienka zamarzła, wszystkie rury zamarzły i w takim kamiennym stanie pozostawały przez pięć czy sześć tygodni. Śnieg na dachu zamarzył, aż trzeba go było rąbać siekierami. Broda mi zamarzła na spacerze i nie mogłem oderwać jej od płaszcza i krawata, dopóki nie odmarzła przy ogniu. Moi chłopcy i oficerowie stacjonujący w ChatHam zajechali na łyżwach aż do Gravesend, bez przeszkody — pięć mil stąd — i powtarzali ten spacer przez trzy czy cztery tygodnie”. Karol musiał doglądać wielu spraw zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz swego domu, toteż gdy tak łąził po głębokim śniegu, a zbytnia niecierpliwość nie pozwalała mu zmienić butów, odmroził sobie lekko lewą nogę, co nie zostało od razu rozpoznane właściwie. Dolegliwość była bardzo przykra i choć próbowano wielu leków, noga bolała go do końca życia.

Kiedy układał scenę oswobodzenia Magwicha w „Wielkich nadziejach”, często wędrował wzdłuż brzegu Tamizy, przyglądając się pracom na nadbrzeżu; zauważył wówczas, jak wiele jest na ścianach i ogrodzeniach ogłoszeń z podaniem opisów zwłok wyłowionych z rzeki. To kazało mu się zastanowić nad sposobem, w jaki te ciała znalazły się na brzegu, oraz nad tym, jacy to ludzie zarabiają na życie w tak okropny sposób. Tak narodził się pomysł powieści „Nasz wspólny przyjaciel” oraz postaci Hexa- ma i Rogue Riderhooda.

Niejednokrotnie wyrzucano mu, że zrobił Fa- gina Żydem, toteż w nowej swej powieści pokazał, niejako w rekompensacie, dobrego Żyda,

takiego, jakiego miał pośród swych osobistych przyjaciół. Jednocześnie nie przyznawał, by tamte zarzuty były słuszne. Uważał, że przedstawił po prostu złą postać charakterystyczną dla owego okresu, stworzoną na podstawie własnych jego obserwacji, podkreślał ponadto, że mimo wszystko Fagin był jedynym Żydem w całej tej bandzie złych duchów.

W lecie 1865 roku, kiedy wracał z podróży do Francji, miał wypadek kolejowy. Most (w Stap-lehurst) załamał się, gdy przejeżdżał przezeń pociąg, w którym znajdował się Karol. Pisarz stwierdził, że jego wagon wisi nad rzeką na wysokości piętnastu stóp nad wodą. Wykazał dużą przytomność umysłu, odszukując konduktora, by wziąć od niego klucze, otworzyć wagon i wypuścić zeń ludzi. Potem widząc, że wiele osób jest ciężko rannych, powrócił do przedziału po brandy i kapelusz, którego użył jako miski, i opatrywał rannych, dopóki nie przybyła inna, bardziej wykwalifikowana pomoc. Niektórzy ranni wyglądali tak straszliwie, że ledwo mógł na nich patrzeć. Wielu z nich umierało, gdy podnosił im głowy. Był to dlań wielki szok, który zostawił na nim swoje ślady. Nagle podróże stały się dla niego koszmarem i nawet jadąc własnymi końmi, musiał czasami stawać i wysiadać, nie mogąc zapanować nad nerwami.

A jednak w osiemnaście miesięcy później zgodził się na propozycję objazdu Ameryki

284

m

z wieczorami czytelniczymi, choć wiedział, że będzie to bardziej wyczerpujące niż wszystko, co dotychczas robił.

Przyjaciele byli przerażeni, widząc, że zastanawia się poważnie nad tą wyprawą, on zaś był pod naciskiem najrozmaitszych komitetów i stowarzyszeń z tamtej strony Atlantyku.

„Uparli się, żebym tam czytał, i wierzą (nie wiem, na jakiej podstawie), że będę tam czytał — pisał do Forstera. — Jeżeli w ogóle pojedę, to wtedy dopiero, kiedy nasz numer bożonarodzeniowy pójdzie do drukarni. W początkach listopada”.

W parę tygodni później wciąż jeszcze się wahał. „Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie dręczy niepokój o tę sprawę. Ale nagroda wygląda tak okazale”.

Wiedział, że zdrowie zaczyna mu nie dopisywać, toteż finansowe zabezpieczenie przyszłości wydawało mu się nagrodą naprawdę wartą wysiłku.

Rozdział dwudziesty drugi

„ZNIKAM TERAZ NA ZAWSZE SPOŚRÓD TYCH ROZJARZONYCH ŚWIATEŁ”

Przed dwudziestoma czterema laty miesięczne odcinki „Marcina Chuzzlewita” zostały porwane ze statku, który je przywiózł z Anglii, i publicznie spalone na bulwarze; miało to być protestem przeciwko takiemu przedstawieniu życia amerykańskiego, jakie znalazło się w książkach Dickensa. Pisarza nękały więc obawy, czy na jego widok nie odżyje czasem dawna niechęć. Z chwilą jednak, kiedy postawił nogę na amerykańskiej ziemi, uspokoił się całkowicie. Jak poprzednio, tak i teraz wyszedł na jego spotkanie wiwatujący tłum. Zmienił się jednak ton powitania. Zwykła ciekawość ustąpiła miejsca głębokiemu uwielbieniu, a również i uczuciu. Powitano go jako wielkiego artystę, czczono jako jednego z nieśmiertelnych.

Objazd był triumfalny, udany „poza wszelką możliwość opisu i przesady”. Żadna sala nie mogła pomieścić wszystkich, którzy chcieli go słuchać. Ludzie stali przez cały dzień w ogon

kach, tysiącami, w niepogodę, aby tylko dostać bilety. Na ulicach handlarze proponowali dwadzieścia dolarów za bilet każdemu, kto go zechciał sprzedać, wiedzieli bowiem, że dostaną dwa razy tyle. Ceną rekordową chyba było „pięćdziesiąt dolarów i kieliszek brandy” za jeden bilet.

Karol odczuł na własnym ciele, że jego marszruta została źle ułożona przez agenta, zbyt wiele bowiem musiał podróżować. Wciąż wracał do Nowego Jorku i znowu stąd wyruszał do odległych miejscowości. Rychło też odczuł skutki tego wysiłku. Męczył go ostry katar. Serce miał osłabione. Cierpiał na bezsenność. Listy pisane do domu mówiły o triumfie, jaki tu odnosił, brakło w nich jednak zwykłego zapału. Wykonał ciężki program jedynie dzięki największym wysiłkom woli i zaciętej wytrwałości. W każdym mieście po kolei, kiedy zakończył czytanie, tłumy otaczały jego powóz, wołając: „Czy wrócisz tu jeszcze?” — i nikt nie chciał mu uwierzyć, gdy potrząsając głową, odpowiadał smutnie: „Nigdy”.

Doskonale zdawał sobie sprawę, jakiego podjął się wysiłku, i w pełni doceniał powagę swych objawów chorobowych.

Objazd trwał pięć miesięcy i przyniósł, po opłaceniu kosztów, „nagrodę” w sumie dwudziestu tysięcy funtów. Zdobył zabezpieczenie na przyszłość, niewątpliwie, ale za jaką cenę!

Wygłaszając mowę pożegnalną na oficjalnym bankiecie w Nowym Jorku, mówił, jak wiele zauważył tu zmian od czasu swojej ostatniej wizyty; tyle powstało miast, życie ma o wiele więcej uroku, niż to widział poprzednim razem, poprawił się ton prasy — obiecał też, że kiedy wróci do Anglii, napisze posłowie, w których da świadectwo tym zmianom, i dopilnuje, by posłowie te ukazały się w następnych wydaniach „Martina Chuzzlewita” i „Notatek amerykańskich”.

Podczas podróży powrotnej w kwietniu 1868 roku odpoczął bardzo i tak dobrze wyglądał, że przyjaciele, którzy wyszli na jego spotkanie w Liverpoolu, przyznawali niemal, iż nie mieli racji przewidując złe skutki tej podróży. Cerę miał zdrowszą, oczy bystrzejsze, niż się spodziewali. Przyjęto go w Gadshill niezwykle uroczyście. Domy wzdłuż drogi, od stacji, udekorowane były flagami, a farmerzy z okolicy zjechali bryczkami i wołali: „Witaj w domu!”, gdy jechał między nimi w swoim starym koszykowym faetonie zaprzężonym w Newmana Noggasa, za którym biegły dwa psy rasy nowofundlandzkiej.

„Dom zastałem w porządku i pełen uroku — pisał do jednej z pań, która przyjmowała go w Ameryce. — Ptaki śpiewają przez cały dzień, a słowiki w nocy”.

Karol opowiadał, że kiedy jego doktor zobaczył go po raz pierwszy po powrocie z Ameryki,

zawołał: „Wielki Boże! O siedem lat młodszy!” Uspokojony tym, Karol zaczął układać plan pożegnalnego objazdu z odczytami po całym kraju.

Tego lata wyruszył w świat Plorn, najmłodszy z jego dzieci. Był to serdeczny, miły chłopiec, lecz bez najmniejszych ambicji. W szkole nigdy nie dawał sobie rady, najlepiej czuł się w domu, a już najbardziej lubił biegać na dworze. Z tych to względów ojciec uważał, że najlepiej będzie, jeśli Plorn pojedzie do swego brata, Alfreda, który mieszkał już w Australii. Plorn odjechał smutny. Kiedy przyszedł moment pożegnania, chłopiec w milczeniu siedział z ojcem na ławce stacyjnej; trzymali się za ręce, obaj we łzach.

Działo się to we wrześniu. Wkrótce Henry, przedostatni syn Dickensa, otrzymał stypendium do Cambridge, do Trinity Hall. Trudno było bardziej ucieszyć Karola. „Pamiętaj jednak — pisał do syna — że nie chcemy słyszeć o najmniejszych nawet długach. Wyrównuj wszystko — niech ani ćwierć pensa nie pozostanie z żadnego rachunku, kiedy napoczniemy twoją miesięczną pensję”. Karol nie dożył, by zobaczyć, jak dobrze dawał sobie radę Henry na uniwersytecie (z pewnością sprawiłoby mu to specjalną satysfakcję) i jaka długa i zaszczytna była kariera prawnicza jego syna w Sądach, gdzie ustały już wszelkie nadużycia, które kiedyś ujawniał ojciec.

Karol nie zamierzał opuścić rąk i grać roli chorego, choć zdawał sobie sprawę, że stan jego zdrowia nie polepszył się i że nie wypoczął, jak się tego spodziewał. Stwierdził, że cierpi „jak chory na bezsenność”, a jednak w dalszym ciągu układał plany dalszych odczytów i nawet przygotował nowy tekst lektury, a mianowicie scenę zamordowania Nancy z „Olivera Twista”. Sam przyznawał, że nawet jemu włosy jeżą się z przerażenia, a serce tłucze się w piersi jak oszalałe, a jednak nieodwołalnie postanowił ten właśnie tekst przekazać publiczności.

Tekst dzielił się na trzy części: pierwsza, jak Fagin rozkazuje Noah Claypole śledzić Nancy, druga — na moście Londyńskim, i trzecia — jak Fagin zmusza Claypole'a, by powtórzył swą opowieść Sikesowi, puszczając w ten sposób w ruch szaleńcze siły, które miały doprowadzić do zamordowania Nancy i do jego własnej śmierci.

Wiele było niepokoju o wrażenie, jakie ten tekst zrobi na publiczności, lekarze ostrzegali też poważnie Karola, że „jeśli choćby jedna kobieta krzyknie, kiedy pan będzie mordował dziewczynę, całe audytorium zarazi się natychmiast histerią”.

Nie wierzył w to i postanowił wypróbować ten tekst prywatnie na specjalnie dobranym audytorium w Londynie.

— Chcę zostawić po sobie wspomnienie cze goś bardzo dramatycznego i pełnego napięcia — odpowiedział na gwałtowne protesty Forstera.

Próbne czytanie odbyło się jak należy, bez paniki, choć z pewnością dramat zrobił głębokie wrażenie na słuchaczach. Macready przyjechał na ten wieczór specjalnie ze wsi i nie szczędził pochwał i zachwytów. Karol osiągnął swój cel i rozpoczął objazd kraju, czytając ów nowy tekst cztery razy tygodniowo, aż pewnego dnia, w Perston, zasłabł i lekarz zabronił mu do końca życia czytać publicznie.

Tego ostatniego wieczoru, nim wyszedł na podium, powiedział do przyjaciela:

— Nie mów o tym nikomu, ale ta niezwykle ciężka praca trochę mnie wyczerpuje. Miewam zawroty głowy, jestem bardzo niepewny czucia zarówno w lewej nodze (była to noga odmrożona kiedyś), jak i w lewej ręce i ramieniu.

A mimo to czytał jeszcze raz w Londynie, na specjalne żądanie, lecz skutek, jaki to dało, był zbyt straszliwy, by nawet Karol chciał potem czytać raz jeszcze. 15 marca 1870 roku czytał po raz ostatni, a jak mówił Forster, nigdy jeszcze nie czytał tak dobrze. Wybrał „Opowieść wigilijną” i „Sceny z Pickwicka”, a skutek, jaki to na jego zdrowie wywarło, był przerażający. Kiedy mógł znowu oddychać, wrócił opadający z sił na salę, by się pożegnać ze słuchaczami i powiedział:

M[^]m

W .[^]Hi

— Znikam teraz na zawsze spośród tych rozjarzonych światel, żegnając was serdecznie, z wdzięcznością, szacunkiem i przywiązaniem.

Poprzedniego wieczoru rozpoczął nową powieść, również opowiadanie o Rochester, „Tajemnicę Edwina Drooda”, lecz opuściło go dawne natchnienie.

Kilka lat temu pisał do Forstera: „Za późno dzisiaj mówić: trzeba nałożyć wędzidło, trzeba się oszczędzać — ja zaś nie jestem człowiekiem, któremu by można to powiedzieć. Ulgę odczuwam tylko w działaniu. Nie potrafię odpoczywać. Przekonany jestem, że zardzewiałbym, załamałbym się, umarłbym, gdybym się oszczędzał. O wiele lepiej umrzeć, robiąc coś... Zawsze myślałem, że jeśli o mnie idzie, muszę, jeśli Bóg da, umrzeć w jarzmie”.

Umarł w jarzmie 9 czerwca 1870 roku.

Ranek spędził w pokoju na piętrze, w szwajcarskim domku, patrząc na świeży, czerwcowy poranek i pisząc szóstą część „Drooda”.

Ostatnie niemal słowa, jakie napisał, brzmiały: „Cudowny poranek zaświtał nad starym miastem. Zdumiewająco wypiękniały jego stare budynki i ruiny, oplecione dorodnym, lśniącem w słońcu bluszczem; bujne drzewa kołyszą się w balsamicznym powietrzu.

Cudowne światło

słoneczne pada na przemian z cieniami chwiejnych gałęzi, śpiewy ptaków, to, co się dzieje w ogrodach, na polach i w lasach... wszystko to przenika do katedry”. Z miejsca, w którym siedział, widział te lasy i pola i sięgał wzrokiem nieomal do samej katedry.

Był tego ranka w dobrym humorze i przy śniadaniu powiedział, że chyba będzie pisał cały dzień i na codzienny swój spacer czy przejażdżkę wybierze się dopiero wieczorem. Przyszedł na obiad do domu i wypalił cygaro w oranżerii. Mamey wyjechała na kilka dni do Londynu i Karol był sam z Georginą. W dobrym nastroju powrócił do pracy i na godzinę przed kolacją przyszedł do domu bardzo zmęczony, cichy i zaprzątnięty myślami. Ale nawet wtedy nie odpoczął, tylko poszedł do biblioteki uporządkować korespondencję.

Kiedy usiedli do kolacji, Georgina uderzona była jego wyglądem i zapytała z niepokojem, czy dobrze się czuje.

— Bardzo źle — odparł. — Byłem bardzo chory przez tę ostatnią godzinę.

Z wysiłkiem starał się zjeść w jej towarzystwie kolację, ale widoczne było, że cierpi. Georgina błagała go, by poszedł się położyć.

Odpowiedział bardzo wyraźnie:

— Tak, na ziemi — i osunął się na podłogę. W dwadzieścia cztery godziny później nie żył.

Pochowany został w Opactwie Westminster- skim. Ciało jego spoczywa pod płytami posadzki „Zakątku Poetów”, a po jego bokach leżą Tomasz Hardy i Rudyard Kipling.

Pogrzeb jego był ściśle prywatny i bardzo cichy, lecz grób przez dwa dni pozostał otwarty i przez cały ten czas przeciągał koło niego nie kończący się sznur żałobników.

Był tak powszechnie kochany, że kiedy rozeszła się wiadomość o jego śmierci, obdarci ludzie z nędznych uliczek i małych sklepików i dorożkarze na postoju dorożek mówili jeden do drugiego: „Straciliśmy przyjaciela”.